

ROZMOWA „DO RZECZY”

Patryk Jaki: Warszawę trzeba odbić
z rąk mafii reprivatyzacyjnej



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

120
stron

NR 20/272 14-20 MAJA 2018
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kto nie posłuchał
Lecha Kaczyńskiego

SZUKAJ WYDANIA
Z PORUSZAJĄCĄ
KSIĄŻKĄ
TERLIKOWSKIEGO



Łysiak rozlicza pokolenie
Maja '68. W tym – Michnika

INTRYGGA PRZECIWI CZARTORYSKIM

Polityka i awantura w arystokratycznej rodzinie



Księżniczka Tamara Laura Czartoryska

Książę Adam Karol Czartoryski



POLSKA WIELKI PROJEKT

WARTOŚCI

17-20 MAJA 2018



1918-2018

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w roku 100-lecia
Odzyskania Niepodległości 1918-2018

17-18 maja 2018 r. Teatr Wielki Opera Narodowa w Warszawie,
Sale Redutowe, pl. Teatralny 1

19-20 maja 2018 r. Zamek Królewski w Warszawie, Arkady
Kubickiego

Wśród panelistów:

- Cernea
- Sulyok
- Stawrowski
- Legutko
- Blond
- Łuczewski
- Engels
- Szczerski
- Sosnowski
- Piotrowski
- Krasnodębski

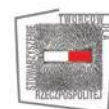
Goście specjali:

- **Prof. Thomas J. Sargent – laureat Nagrody Nobla
w dziedzinie nauk ekonomicznych**
Gość specjalny Kongresu PWP w partnerstwie z Grupą PZU
- **Prof. Peter Sloterdijk – niemiecki filozof,
kulturoznawca i eseista**

Organizator



Współorganizatorzy



Partnerzy



Fundacja



Patronat
medialny





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Z ręką w nocniku

Choć niektórzy polscy politycy do końca powtarzali, że mają nadzieję na to, że Donald Trump nie podpisze ustawy Just Act 447 w sprawie zwrotu mienia żydowskiego, stało się inaczej. Prezydent USA bez mrugnięcia okiem złożył swój podpis pod dokumentem. Biały Dom wydał z tej okazji krótki komunikat: „Sprawiedliwość dla ocalałych, którzy nie otrzymali zadośćuczynienia», która nakłada obowiązek składania raportu o działaniach niektórych państw obcych w odniesieniu do mienia pochodzącego z epoki Holocaustu”. W przełożeniu na ludzki język oznacza to tyle, że od tej pory Departament Stanu będzie mógł wspierać politycznie organizacje żydowskie, które ubiegają się o odzyskanie majątków żydowskich właścicieli – obywateli

prawo do spadku po żydowskich ofiarach niemieckiej akcji ludobójstwa w Polsce, mimo że nie można wykazać więzi pokrewieństwa między zgłaszającymi roszczenia a zabitymi. Jest to czysty przykład prawa kaduka. Żeby uzasadnić takie roszczenia, należałoby odwołać się do rasy – przynależność do rasy okazałaby się ważniejsza niż obywatelstwo, państwowość i wszystko inne. Tak faktycznie rozumują przedstawiciele części organizacji żydowskich: uważają, że mają prawo do występowania w imieniu ofiar, mimo że nie łączy ich z nimi ani obywatelstwo, ani państwowość, ani religia (w większości są ateistami lub agnostykami), ani bezpośrednie więzi krwi. Przedstawiciele organizacji zakładają po prostu, że gdyby ofiary Holocaustu mogły, to zapisałyby im swój majątek! A cały świat powinien się na to zgodzić, bo zgodnie z podstawowym dogmatem holokaustianizmu nie ma zbrodni nad Holocaustem, a organizacje żydowskie (najlepiej z USA) są jedynym właściwym jej interpretatorem. Skoro ta zbrodnia jest tak absolutna, że wymyka się prawom logiki, to i zapłata za nią nie podlega żadnym uniwersalnym regułom. Można się na to zżymać, można wykazywać niedorzeczność takiej fikcji prawnej – nie zmienia to faktu, że organizacje żydowskie są na tyle silne, że – jak pokazała przeszłość – potrafiły już zmusić różne państwa do sowitych wypłat. W przypadku Polski Światowa Organizacja ds. Restytucji Mienia Żydowskiego w Nowym Jorku wspomina o sumie 360 mld dol.

W praktyce będzie to wyglądać tak, że amerykańscy dyplomaci od tej pory przy okazji różnych spotkań i negocjacji – czy to bezpieczeństwa gazowego, czy zakupu broni, czy sprzedaży technologii – będą rozmawiać z polskimi politykami, ministrami, dyplomatami i będą dawać im do zrozumienia, że Polska musi zapłacić odpowiednie sumy. Przypominać to będzie trochę rozmowy z firmą ochroniarską o haracz – jeśli chcecie mieć spokój, to płacicie. A jeśli nie?

A jeśli nie, to poza utrudnieniami we wzajemnych relacjach czeka was, przykro to powiedzieć, sporo upokorzeń i kłopotów.

Najciekawsze i najsmutniejsze jest w tym wszystkim to, że skala zagrożenia w ogóle zdaje się do wielu polskich polityków nie docierać. Nie wiem do końca dlaczego. Może chodzi o to, że wielu z nich nie jest w stanie sobie wyobrazić, że ta ukochana i wyśniona Ameryka może być tak skrajnie niewdzięczna. A może chodzi o to, że skoro cała polska polityka bezpieczeństwa była oparta na sojuszu z USA, to teraz polska klasa polityczna została z ręką w... nocniku. No bo co teraz zrobić? Specjalne więzi z USA miały być fundamentem bezpieczeństwa Polski. Teraz okazuje się, że amerykański Senat, Kongres i prezydent mają to, mówiąc eufemistycznie, w głębokim poważaniu, bo dla nich znacznie ważniejsze są dobre relacje z silnym lobby żydowskim.

Nic przeto dziwnego, w sensie psychologicznym, że niektórzy polscy politycy w tym samym czasie, kiedy prezydent USA podpisywał tę ustawę, domagali się... większej amerykańskiej obecności w Polsce. Jeśli rzeczywistość zbyt odbiega od naszych wyobrażeń o niej, to ludzie mają skłonność wypierać wiedzę na jej temat. Naprawdę przypomina to wołanie karpi chcących przyspieszyć Wigilię. Przecież oczywista reakcja powinna być odwrotna: jeśli wy, Amerykanie, tak nas traktujecie, to musimy wyciągnąć z tego wnioski. Jeśli dla was sojusz z Polską jest tak mało ważny, to spróbujemy zmienić naszą politykę. Nie możemy wszystkiego stawiać na jedną kartę. Tylko czy polscy politycy są w stanie tak rozumować?

Bardzo jestem ciekaw, co będzie się działo dalej. Znając dotychczasowe reakcje polskiej klasy politycznej, spodziewam się, że zacznie się teraz proces bagatelizowania niebezpieczeństwa. Wkrótce usłyszycie: O co właściwie chodzi? Jeśli za kilkaset miliardów dolarów można sobie kupić bezpieczeństwo, to trzeba płacić... ©©

RYSUNEK TYGODNIA



polских, którzy nie zostawili po II wojnie światowej spadkobierców. Co więcej, amerykański Departament Stanu będzie mógł sprawdzać, jak rozdysponowane jest mienie po Holocaustie.

Niestety, w tym przypadku słowo „sprawiedliwość” nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Raczej użyłbym określenia „granda” lub „bezczelność”. Rzecz dotyczy bowiem tzw. mienia bezspadkowego. Na całym świecie taki majątek przechodzi na skarb państwa. Na całym świecie i zawsze, tylko nie w tym jednym przypadku. W tym jednym przypadku organizacje zrzeszające współcześnie żyjących Żydów chcą uzyskać



TEMAT TYGODNIA

16 MARCIN MAKOWSKI

OPOZYCJA CHCE „KRWI”

Jak Polska wykupiła kolekcję Czartoryskich

KRAJ

22 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM
**TO LUDZIE Z CHARAKTEREM
ZMIENIAJĄ ŚWIAT**

Warszawę trzeba odbić z rąk mafii
reprzywacizacyjnej

26 PIOTR SEMKA
MŁODE WILKI PIS

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BARWY PREKAMPANII

32 ŁUKASZ WARZECHA
WIZERUNKOWY GANG OLSENA

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
BURMISTRZ DEWELOPERÓW

37 JOANNA BOJAŃCZYK
SPLENDOR PRZYWRÓCONY

40 MATEUSZ MARANÓWSKI
PIEKŁO ROBICIE SAMI

KULTURA

42 KRZYSZTOF MASŁOŃ
NOBEL Z NADSZARPNIĘTĄ REPUTACJĄ
Skandal w Akademii

45 PIOTR GOCIEK
BALLADY O KOŃCU ŚWIATA

48 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
Z GINTROWSKIM PODRÓŻ W CZASIE

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

76 ROZMOWA Z ARKADIUSZEM STELMACHEM
PRO-LIFE TO WSPÓŁCZESNE RYCERSTWO
Polacy potrafią bronić wartości – uważa
wiceprezes Stowarzyszenia Kultury
Chrześcijańskiej im. Piotra Skargi

78 FILIP MEMCHES
LECH KACZYŃSKI OSTRZEGAŁ

80 SZEWACH WEISS
KAROL MARKS I TOTALITARYZM

CYWILIZACJA

82 WALDEMAR ŁYSIAK
MAJ '68
50. rocznica rewolty, która przemodelowała
zachodnią cywilizację

HISTORIA

90 ROZMOWA Z SZYMONEM NOWAKIEM
NOC GENERAŁÓW
Losy polskich oficerów po II wojnie światowej

ŚWIAT

94 TERESA STYLIŃSKA
**WINDSOROWIE
W NOWYCH CZASACH**
Księżę Harry poślubi aktorkę
i rozwódkę. To znak tego,
jak zmieniła się monarchia

96 JACEK PRZYBYLSKI
IRAŃSKI ZAKŁAD

100 ROZMOWA Z DANIELEM LÖTTEREM
Z FRONTU NARODOWEGO W RPA

**W RPA NADCHODZI
KOMUNIZM**

104 ŁUKASZ ZBORALSKI
WITAJCIE W EUROPIE EPIDEMII

O ZDROWIU

110 KATARZYNA PINKOSZ
WALKA O ŻYCIE
Rak płuca może stać się chorobą przewlekłą



FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (81), ZYCHOWICZ, KOPER (92), KOWALCZUK (103), GABRYEL, RYBIŃSKI (106), KOMUDA (112), TYRMAND (116), KATARYNA (118), ŁYSIAK (119)

Do sejmowej Komisji Regulaminowej, Spraw Poselskich i Immunitetowych trafił wniosek Prokuratury Krajowej o wyrażenie zgody na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej Sławomira Neumanna, szefa klubu PO. Posłowie zajmą się jego rozpatrzeniem na jednym z najbliższych posiedzeń.

Pracownicy Kancelarii Sejmu przez miesiąc badali prawidłowość wniosku śledczych i ostatecznie zaopiniowali go pozytywnie. Sam Sławomir Neumann w rozmowie z radiem RMF zapowiedział, że zrzeknie się immunitetu w ciągu najbliższego tygodnia.

Sprawa wiąże się z pracą Neumanna w charakterze wiceministra zdrowia w rządzie PO-PSL. – Prokuratura Okręgowa w Jeleniej Górze zamierza przedstawić posłowi na Sejm RP Sławomirowi Neumannowi zarzut przekroczenia uprawnień w 2013 r. w związku z kontraktowaniem usług przez mazowiecki oddział Narodowego Funduszu Zdrowia – informuje Ewa Bialik, rzecznik Prokuratury Krajowej.

We wrześniu 2013 r. dyrektor Mazowieckiego Oddziału Wojewódzkiego



FOT. ADAM LERKOWSKI/WIKIPEDIA

Szef klubu Platformy usłyszy zarzuty?

NFZ, Adam T., wypowiedział umowę zawartą z jedną z warszawskich klinik świadczących usługi medyczne w zakresie okulistyki. Powodem jej wypo-

wiedzenia było ujawnienie, że klinika bezpodstawnie pobierała od pacjentów dodatkowe opłaty za usługi medyczne świadczone na podstawie umowy z NFZ.

Umowa, po trzymiesięcznym okresie wypowiedzenia, przestała obowiązywać 20 grudnia 2013 r. Jednak Adam T. po niespełna dwóch tygodniach (31 grudnia 2013 r.) podpisał z kliniką aneks przedłużający umowę od 21 grudnia na kolejny rok kalendarzowy.

– Zebrany przez prokuratora obszerny materiał dowodowy wskazuje, że podpisanie wspomnianego aneksu było rezultatem niezgodnych z prawem działań ówczesnego sekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia – Sławomira Neumanna. Już w październiku 2013 r., po wypowiedzeniu wspomnianej umowy, podejmował on działania zmierzające do kontynuowania przez mazowiecki NFZ współpracy z warszawską kliniką okulistyczną – informuje prokurator Ewa Bialik.

Zdaniem śledczych podpisanie aneksu do tej umowy pozwoliło warszawskiej klinice na uzyskanie korzyści majątkowej w wysokości 13,5 mln zł. ©

Wojciech Wybranowski

REKLAMA

IL DIVO

TIMELESS

Koncert z okazji
jubileuszu 1050-lecia
Archidiecezji Poznańskiej
pierwszego biskupstwa w Polsce

22 czerwca 2018

Poznań, Ostrów Tumski

Bezpłatne wejściówki - szczegóły: www.archpoznan.pl Bilety na miejsca siedzące: eBilet.pl, EMPIK

PROGRAM OBCHODÓW JUBILEUSZU

PIĄTEK, 22 czerwca 2018
WIARA I KULTURA

- Procesja Maryjna przez Stary Rynek
- Śpiewanki Wielkopolskie
- Koncert Il Divo

SOBOTA, 23 czerwca 2018
JEDNOŚĆ W RÓŻNORODNOŚCI

- Spotkanie wspólnot i stowarzyszeń katolickich
- EUCHARYSTIA JUBILEUSZOWA PRZED KATEDRĄ
- Koncert uwielbienia

NIEDZIELA, 24 czerwca 2018
JESTEŚMY W RODZINIE

- Festyn rodzinny na Ostrowie Tumskim



Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu opinia naszego Czytelnika o podwójnych standardach postrzegania prawa w sprawie oskarżenia o korupcję sekretarza generalnego PO.

Sąd nie spojrział w oczy

W sprawie oskarżenia o korupcję sekretarza generalnego PO Stanisława Gawłowskiego Sąd Okręgowy w Szczecinie podjął decyzję o odrzuceniu zażalenia mec. Romana Giertycha i Gawłowski pozostanie w areszcie. Grozi mu kara do ośmiu lat więzienia. W tej sprawie, o której nawet „Rzeczpospolita” zamieściła

8 maja 2018 r. tekst pt. „Mocne zarzuty, słuszny areszt”, siedmiu byłych marszałków Sejmu również złożyło do sądu zażalenie w obronie skorumpowanego – zdaniem prokuratury – polityka PO.

Są to prominentne postacie polskiej polityki, działające w opozycji, ale jeszcze niedawno rządzące naszym krajem, uzurpujące sobie należny autorytet. Jedyną, jak dostrzegam, ich motywacją, aby bronić przegranej sprawy (wypowiedział się przecież niezawisły sąd), jest występowanie przeciw organom władzy kierowanych przez PiS. Siedmiu eksmarszałków Sejmu znalazło rzekome uchybienie proceduralne w sposobie głosowania w Sejmie i tzw. wniosku o reasumpcję. Zarzucili też „uzurpację” marszałka Sejmu i „niedopuszczalne złamanie reguł funkcjonowania parlamentu”.

I kto to napisał? Eksminister Ewa

Kopacz, znana z podawania kłamliwych informacji nt. badania katastrofy smoleńskiej, i eksminister Radosław Sikorski – znany z gróźb pod adresem polityków ukraińskich – „podpiszcie ugodę (z prorosyjskim Janukowyczem) albo jutro będziecie martwi”.

Powinniśmy się martwić niską jakością morale tak interesownych polityków, którzy niedawno ze świeczkami w rękach demonstrowali w obronie „niezależnych

sądów”, a dzisiaj protestują wobec postanowień tychże sądów.

Roman Giertych jest przereklamowanym adwokatem, a nawet groteskowym, skoro zarzucił sądowi w Szczecinie, że „podczas ogłaszania

postanowienia ani razu nie spojrział nam w oczy”. Oto zarzut! „Nie spojrział w oczy”? Było obecnych trzech obrońców Gawłowskiego, a sam oskarżony pozostał w celi. I w żadne z tych adwokackich oczu sąd nie spojrział. Zaiste, nieludzki sąd! Scena doprawdy filmowa.

Oto poziom niedawnych elit III RP.

Z poważaniem
Witold Orzechowski



TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski**
(I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Waldemar Łysiak,
Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cencikiewicz, Wiesław Chelminski, Dominika
Ćosić (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn,
Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz,
Anna Piotrowska, Jan Pospieszański, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz
P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tymmand, Paweł Wawrzyński, Sewach
Weiss, Piotr Wójcicki, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski,
Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr,**
Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski (także Polskie Radio),
Jan Fiedorczuk

Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia),
Marta Bensalem, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójcik,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,**

Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa,**

Miroslaw Owczarek

Okładka: **Michał Okla/CTK/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMGP
POLSKIE MEDIA SA

spółka
notowana na
GPW

WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż):

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z książką 296430

Nakład 94,5 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adaptacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów tylko

za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów

prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Amerykański rajd polskich weteranów

Trzech żołnierzy – weteranów misji na Bliskim Wschodzie – przejedzie na rowerach ok. 6 tys. km, by w 44 stanach Ameryki opowiedzieć mieszkańcom o 44 polskich żołnierzach, którzy polegli w trakcie misji wojskowej w Afganistanie.

„Rajd Pamięci 44” rusza w połowie czerwca i potrwa dokładnie 44 dni. Przez ten czas polscy weterani misji w Afganistanie: Michał Paćko (ranny w 2010 r. podczas wybuchu miny pułapki pod pojazdem, którym dowodził), Adam Lewkowski (postrzelony w nogę w trakcie walk z rebeliantami w 2009 r.) i Sebastian Stępniać przejadą z zachodniego wybrzeża USA na wschodnie, codziennie pokonując ponad 130 km. Każdego dnia w innym z 44 wybranych stanów upamiętnią jednego z 44 polskich żołnierzy poległych w czasie przeszło 10-letniej historii naszej misji wojskowej w Afganistanie.

– Chcemy na miejscu, w osobistych rozmowach, spotkaniach opowiedzieć Amerykanom, że nie tylko oni walczy



FOT. USA CHALLENGE/FACEBOOK

i giną na Bliskim Wschodzie, że wśród tych, którzy oddali życie w walce o ich bezpieczeństwo, są również Polacy. Pokazać im sylwetki naszych poległych, ich rodzin, dzieci – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” plutonowy Michał Paćko, pomysłodawca rajdu. – Przy okazji będziemy mogli też, dzięki współpracy z organizacją Project Hero, podpatrzeć, jak Amerykanie poprzez sport aktywizują i wspierają swoich weteranów – dodaje żołnierz.

Organizatorem Rajdu jest Dowództwo Generalne RSZ, a patronatem objęło go już Ministerstwo Obrony Narodowej,

weteranów wsparło też nowe kierownictwo Polskiego Związku Kolarskiego.

– Wyposażymy ich w sprzęt zapasowy oraz stroje i poinformujemy amerykański związek, że jadą tam fajni ludzie, tak by mogli liczyć na pomoc na miejscu. Środowisko weteranów to grupa, która bardzo potrzebuje wsparcia, tymczasem zbyt często, podobnie jak ich rodziny, są zostawieni sami sobie – mówi nam Marcin Wątrobiński, dyrektor biura zarządu Polskiego Związku Kolarskiego. Niebawem ruszą też kolejne projekty dedykowane weteranom i ich rodzinom. Jak informuje Wątrobiński – PZKOl chce w najbliższym czasie otworzyć bezpłatne szkoły kolarskie dla dzieci poległych i rannych żołnierzy.

Ostatnim Polakiem, który zginął w Afganistanie, był plutonowy Rafał Celebudzki, który we wrześniu 2014 r. poniósł śmierć w Kabulu, gdy obok wojskowej kolumny pojazdów zamachowiec samobójca zdetonował samochód pułapkę. ©

Wojciech Wybranowski

REKLAMA

LENIN

UPRZEJMY, BESTIALSKI DŻENTELMEN Z WYŻSZEJ KLASY ŚREDNIEJ.

POZNAJcie INTYMNĄ PORTRET CZŁOWIEKA ODPOWIEDZIALNEGO ZA NAJWIĘKSZY HORROR LUDZKOŚCI.

PREMIERA 24 MAJA

patroni medialni:

www.proszynski.pl



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Marks ciągle groźny

Jean-Claude Juncker, szef Komisji Europejskiej, wziął udział w 200. rocznicy urodzin głównego ideologa komunizmu Karola Marksa. „Marks nie ponosi odpowiedzialności za wszelkie zbrodnie, za które odpowiedzialność powinni jego rzekomi spadkobiercy” – przekonywał Juncker.

O tym dziwnym dowodzie na niezwykle ważną rolę, którą w UE odgrywa pokolenie lewackiej rewolty 1968 r., pisano w Polsce niewiele. W Parlamencie Europejskim na słowa protestu przeciw gestowi Junckera zdobyli się Marek Jurek i Jacek Saryusz-Wolski. Protesty płynęły też z Węgier, nawet do szefa EPP Manfreda Webera z CDU. Jednak to już wszystko.

Znacznie mniej uwagi poświęcono innemu znaczącemu zjawisku. Oto z okazji 200. urodzin w obronę niepokalanej czci Marksa zaangażowała się polska lewica. Gdy ośmieliłem się napisać, że groteskowe jest ucinanie wszelkich pytań na temat związku idei Marksa ze zbrodniami dokonywanymi w imię marksizmu, zagrmiał sam Adrian Zandberg, szef partii Razem. „Piotr Semka już wkrótce ruszy na bój z Arystotelesem, Platonem i najgor-

szym z najgorszych, Demokrytem z Abdery. Skoro bez nich nie byłoby Marksa, to – w myśl rozumowania Semki – są w oczywisty sposób odpowiedzialni za gułagi. Precz skomuno!”

Inną linię obrony „mędrca z Trewiru” zaprezentował tygodnik „Polityka”. W wymagowanym wywiadzie z Marksem kwestię wzięcia go na sztandary z Leninem i Stalinem zgrabnie sprowadzono do absurdu. „Mam propozycję. Jak będzie pan przeprowadzał wywiad z Jezusem, to proszę go koniecznie spytać, czy czuje się odpowiedzialny za wyprawę krzyżową. Gdy umierałem, Stalin miał pięć lat, a Lenin – jeśli mnie pamięć nie myli – 13. Skończmy więc może z tymi bzdurami”.

Ten ostatni, niezwykle wygodny dla obrońców Marksa chwyt: „skończmy z tymi bzdurami” powtarzał się w poirytowanych reakcjach naszych lewicowców przez cały okres przed 200. rocznicą i po niej.

Nie, nic się nie skończy, bo łączenie Marksa ze zbrodniami dokonywanymi w imię jego idei ma głęboki sens. Idee mają swoje konsekwencje. Można dyskutować, na ile

marksowska obserwacja zjawiska wyzysku wniosła do historii rozwoju społeczeństw nowe impulsy. Nic jednak nie zmienia faktu, że Marks uznawał terror za nieunikniony środek walki z klasami uprzywilejowanymi. I polityczne efekty tej tezy były straszne. Od ofiar rewolucji i „rozkułaczania” w ZSRS do dzisiejszej nędzy Kuby i Korei Północnej. I nie ma tu żadnego porównania z Jezusem, który głosił miłość bliźniego, a nie walkę klasową.

Jeden z polemistów kpiąco pisał, że czytał dzieła Marksa i nic w nich nie znalazł o gułagach.

Doprawdy? W dziełach ideologów walki ras Arthura de Gobineau (1816–1882) i Houstona Stewarta Chamberlaina (1855–1927) też nie ma nic o komorach gazowych, a jednak na ich nazwiska pada cień nazizmu.

I dlatego nie wolno odwracać oczu od faktu, że wirus marksizmu tkwi jak drzazga w dzisiejszej lewicy.

Nie wiadomo, kiedy ten wirus znów zatruje umysły i posłuży do usprawiedliwiania przemocy. I żadne gry słowami nic tu nie zmieniają, drodzy towarzysze z Razem, Krytyki Politycznej i „Polityki”. © ©

MAGIEROWSKI AMBASADOREM W IZRAELU

Sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych jednomyślnie zaakceptowała kandydaturę wiceszefa dyplomacji na nowego ambasadora w Izraelu. Wcześniej Marek Magierowski pracował w Kancelarii Prezydenta jako dyrektor biura prasowego i rzecznik Andrzeja Dudy. Zanim zdecydował się wejść do polityki, był dziennikarzem. Publikował m.in. w tygodniku „Do Rzeczy”, „Uważam, Rze”, „Rzeczpospolitej” i „Gazecie Wyborczej”. (jap) © ©



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

„Do Rzeczy” na targach książki

Jedna z największych literackich imprez w Polsce – Warszawskie Targi Książki, rozpocznie się już w tym tygodniu i potrwa od 17 do 20 maja na Stadionie Narodowym. W jej trakcie będzie też możliwość spotkania z autorami znanymi z łamów tygodnika „Do Rzeczy”.

Warszawskie Targi Książki to impreza cyklicznie organizowana od 2010 r. W tym roku weźmie w nich udział blisko 800 wystawców z 32 krajów, 1 tys. twórców, a w trakcie kilku dni imprezy zaplanowano aż 1,5 tys. wydarzeń związanych z literaturą polską i światową: m.in. warsztaty rysowania komiksów czy warsztaty literackie.

Autorzy i publicyści tygodnika „Do Rzeczy” zapraszają do dyskusji:

– 17 maja w godz. od 15 do 16 na stoisku Wydawnictwa Dolnośląskiego o swojej nowej książce „Ribbentrop-Beck. Czy pakt Polska – Niemcy był możliwy?” będzie opowiadał Piotr Gursztyn.

– 19 maja między godz. 13 a 14 Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”, na stoisku wydawnictwa Fronda będzie podpisywał swoją najnowszą książkę „Luter. Ciemna strona rewolucji”.

– 19 maja od godz. 12 do 13 na stoisku wydawnictwa Fabryka Słów z czytelnikami spotka się Jacek Komuda, autor wielu poczytnych książek historycznych.

– 20 maja między godz. 13 a 14 na stoisku Rebis będzie możliwość rozmowy z Piotrem Zychowiczem, autorem wydanej niedawno „Skazy na pancierzach”.

– 20 maja od godz. 14 do 15 na stoisku wydawnictwa Zys z czytelnikami spotka się Piotr Gociak, autor książki „Analfabet III RP”.

– 20 maja w godz. 14–15 na stoisku Fabryki Słów swoje książki będzie podpisywać Rafał A. Ziemkiewicz. Będzie też okazja rozmowy z autorem o wydanej niedawno książce „Sanacja czy demokracja”. (ww) ©

**PATRONAT
DO
RZECZY**

KTO POJEDZIE NA MUNDIAL DO ROSJI?

Trener polskiej kadry piłkarskiej ogłosił, których piłkarzy bierze pod uwagę przy ostatecznej selekcji kadry na mistrzostwa świata w piłce nożnej. Z tych zawodników Adam Nawalka wyłoni najlepszych 23:

Bramkarze: Bartosz Białkowski, Łukasz Fabiański, Łukasz Skorupski, Wojciech Szczesny.

Obrońcy: Jan Bednarek, Bartosz Bereszynski, Thiago Cionek, Kamil Glik, Artur Jędrzejczyk, Marcin Kamiński, Tomasz Kędziora, Michał Pazdan, Łukasz Piszczek.

Pomocnicy: Jakub Błaszczykowski, Paweł Dawidowicz, Przemysław Frankowski, Jacek Góralski, Kamil Grosicki, Damian Kądzior, Grzegorz Krychowiak, Rafał Kurzawa, Karol Linetty, Maciej Makuszewski, Krzysztof Mączyński, Sławomir Peszko, Maciej Rybus, Sebastian Szymański, Piotr Zieliński, Szymon Żurkowski.

Napastnicy: Dawid Kownacki, Robert Lewandowski, Arkadiusz Milik, Krzysztof Piątek, Łukasz Teodorczyk, Kamil Wilczek. Polska rozpocznie fazę grupową meczem z Senegalem 19 czerwca (24 czerwca mecz z Kolumbią, a 28 czerwca z Japonią). (luz) ©

REKLAMA

WARSZAWSKIE TARGI KSIĄŻKI PGE Narodowy

Spotkania z autorami Stoisko Nieprzeczytane.pl 94A/DI5

Paweł Lisicki

19 maja (sobota) - godz. 13.00,
stoisko Nieprzeczytane.pl (94A/DI5)

Paweł Lisicki podpisuje
książkę „Luter. Ciemna
strona rewolucji”.



Magdalena Ogórek

20 maja (niedziela) -
godz. 15.00, poziom +2, scena B

Spotkanie promocyjne
najnowszej książki Magdaleny
Ogórek pt. „Lista Wächtera.
Generał SS, który ograbił
Kraków”.



Zbigniew T. Nowak

19 maja (sobota) - godz. 15.00,
stoisko Nieprzeczytane.pl (94A/DI5)

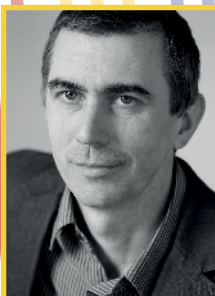
Zbigniew Nowak podpisuje
książki „Zielony detoks”,
„Nie lecz się reklamami
leków” i „Zdrowie i odporność.
Reaktywacja”.



Szymon Nowak

19 maja (sobota) - godz. 12.00,
stoisko Nieprzeczytane.pl (94A/DI5)

Szymon Nowak podpisuje
swoją najnowszą książkę
„Niechciani Generałowie”.





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nowa **twarz**

Na krakowskim festiwalu filmowym OFF Camera zadebiutowała pani Dominika Kulczyk. Nie w roli filmowca, ale... właśnie, tu mam problem, w jakiej. Być może lidera politycznego, a być może intelektualistki i autorytetu moralnego.

Niech państwo oceniają sami: „Lubicie być sobą? Lubicie iść swoją drogą, w której jest szansa na suk-

cową, by pokazać swoją prawdziwą twarz”.

Tutaj pani Dominika wręczyła nagrodę (czek) reżyser film „Twarz”, „opartego na faktach”, który z prawdą ma tyle wspólnego, że istotnie doszło kiedyś w Polsce do wypadku utraty i przeszczepu twarzy, ale losy prawdziwej ofiary wypadku w prawdziwej polskiej prowincji potoczyły się diametralnie odmiennie niż w filmie. „Prawda czasu, prawda ekranu” – standard „Poklosia”, by już nie sięgać w głębszą przeszłość.

Mniejsza o film. Wysłuchałem słów pani sponsorki festiwalu uważnie, potem jeszcze przeczytałem je kilka razy. I uznaję, że muszą to być słowa bardzo mądre, albowiem za diabła kosmatego nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego konkretnie pani Dominika nie chce PiS-u i „takiej” Polski. Chociaż, oczywiście, w istocie wszyscy to wiemy. Jednak nie z tych słów.

Pani Dominika odpowiedziała swą przemową na ważne zapotrzebowanie społeczne. Rzecz w tym, że rzesze intelektualistów, funkcjonariuszy mediów, polityków i zwykłych wyborców gorąco nie chcą PiS-u i „takiej” Polski, ale nie są w stanie powiedzieć, dlaczego. To znaczy, po długim zastanowieniu potrafią wydukać: bo nam zabierają wolność. Jednak gdy w radiu zadano posłance PO pytanie:

„A jaką konkretnie wolność i jak PiS odebrał pani?”, umiała tylko rzec, że dobra zmiana nie skróciła kolejek w służbie zdrowia. Teraz wystarczy nauczyć się na pamięć (przynajmniej łatwo) słów pani Dominiki: „Nikt nie rozumie, więc nie musisz się obawiać, że ktoś zapyta...”

Oj, nie, cholera. Z tym zabranianiem pokazywania twarzy to przecież może zabrzmieć antyimigrancko i islamofobicznie. Chyba jednak debutantka powinna jeszcze trochę pocwiczyć. ©©

Wystarczy nauczyć się na pamięć słów pani Dominiki: „Nikt nie rozumie, więc nie musisz się obawiać, że ktoś zapyta...”

ces? Czy może lepiej żyć w świadomości, że żyjemy w hejcie? Hejt jest charakterystyczny dla Polski PiS-u. To brak szacunku dla wolności i dla drugiego człowieka. Nie chcę takiej Polski. Nie chcę PiS-u! Dlatego bardzo szanuję tych, którzy mają



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Partia **kobiet**

Tonący brzytwy się chwyta, ale żądanie części parlamentarzystów Nowoczesnej, by do łask przywrócić Ryszarda Petru i zrobić go szefem klubu, siłą rzeczy musi świadczyć o skrajnej desperacji polityków partii, która miała być siłą, która odbije Polskę z rąk prawicy, a balansuje w okolicy progu wyborczego. A przecież jeszcze pół roku temu, zaraz po tym, jak klubowe koleżanki Petru zabrały mu partię, lewicowo-liberalne media przekonywały, że Nowoczesna ma nowe otwarcie i staje się lepszą partią kobiet, która być może zagrozi Platformie. Z napinki wzmożonych

feministycznie publicystów wokół Nowoczesnej wyszło to, co zwykle wychodzi z projektów kreowanych przez medialny leftstream, czyli kupa śmiechu.

„Polityczki” nawarzyły takiego piwa, że żeby same go nie pić, właśnie uciekły z partii. Nowoczesną opuściły Joanna Schmidt – zasłużona dla Madery jak nikt w Polsce od czasu Piłsudskiego – oraz Joanna Scheuring-Wielgus – jedyna parlamentarzystka tego ugrupowania, której udało się zdobyć sympatię części prawej strony. Udało się jej to raz, kiedy podczas „czarnego marszu” tak się zaplątała, że wzniosła hasło: „Dość dyktatury kobiet”.

Scheuring-Wielgus odchodząc z partii, poskarżyła się w TVN24: „Kiedy zmieniamy instrumenty, dyrygenta, to zespół zaczyna fałszować”. Podobno kilka innych posłanek zrozumiało, że w Nowoczesnej mogą jedynie podśpiewywać: „To już jest koniec, nie ma już nic”, więc szykuje się liczna rejterada z partii.

W kulisach mówi się, że uciekinierki z Nowoczesnej prawdopodobnie zasilą nowy ruch, który – jak twierdzą lewicowe media – zamierza niebawem utworzyć Robert Biedroń, co, szczęśliwie dla prawej strony, nie wróży dobrze ani politycznej przyszłości Biedronia, ani jego projektowi. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Marsz ofiar ekoszmiergla

Nie wierzę w wiadomości niezdementowane – mawiał książę Aleksander Gorczakow. I jest to jedna z najcelniejszych maksym, jakie kiedykolwiek wygłoszono. Kiedy więc były minister środowiska Jan Szyszko zapewnia, że sobotni Marsz św. Huberta nie jest skierowany przeciwko nikomu, a już zwłaszcza przeciwko partii rządzącej – możemy spokojnie wspomnieć rosyjskiego ministra

Pod sztandarem byłego ministra Szyszki zebrali się ci, którym wszedł w drogę rozkwitający w szeregach PiS ekoszmiergel

spraw zagranicznych. Tym bardziej że sami politycy PiS otrzymali odgórny stanowczy zakaz uczestniczenia w tej demonstracji mocy frakcji konserwatywnej.

To pierwszy przypadek, gdy swoją siłę w kontrze do głównego PiS-owskiego nurtu pokażą ci, którym rządząca partia zdążyła nadebrać na odcisk. I jest to nadeptanie bardzo realne, nierzadko przeliczane na pieniądze – w przeciwnym wypadku nie byłoby motywacji, aby zgromadzić się w Warszawie.

PiS z powodów głównie ideologicznych uderzył już w hodowców zwierząt futerkowych, bo choć zakaz nie został jeszcze przegłosowany, to z powodu wiszącego nad nimi miecza Damoklesa przedsiębiorcy mają już problemy ze

spłatą kredytów i utrzymaniem płynności. Taki miecz wisi też nad rzeźniami, eksportującymi koszerne mięso z uboju rytualnego. Wściekli są myśliwi, w których uderzyła nowa ustawa łowiecka. Nie mogą już szkolić w realnych warunkach psów myśliwskich (jeżdżą w tym celu do Czech – tam panuje większa wolność) ani zabierać na polowania własnych dzieci. Wściekli są sołtysi, których nowe prawo zmusza do szacowania szkód łowieckich, ale nie mają do tego kompetencji ani nie dostają za to pieniędzy, więc odmawiają. Takie są skutki niemądrego prawa.

Pod sztandarem byłego ministra Szyszki zebrali się ci, którym wszedł w drogę rozkwitający w szeregach PiS ekoszmiergel, popychający tę partię ostro w lewo. Przy – jak się zdaje – pełnej akceptacji prezesa Kaczyńskiego, uwielbiającego zwierzątko. Jan Szyszko był po przeciwnej stronie spektrum jako myśliwy oraz autor jedynej chyba prawdziwej wolnościowej ustawy, którą PiS uchwalił po 2015 r. – tej o swobodzie ścinania drzew na własnym terenie. Ustawy szybko „poprawionej” po napomnieniu prezesa.

Patronem marszu był o. Tadeusz Rydzik, a to nie przelewki. Jego media to wciąż duża siła, zaś ich sojusz z PiS coraz bardziej wydaje się małżeństwem z rozsądku, trzymanym w ryzach jedynie przez wspólny kredyt. Ponieważ miłości to tu już chyba wcale nie ma. ©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Bawią i uczą

Wybory samorządowe, choć oficjalnie jeszcze się nie rozpoczęły, a ci, którzy wystartowali z kampanią, po prostu „prowadzą dialog z mieszkańcami”, nie przestają bawić i uczyć. „Działająca cały rok karta – bez niej nawet poseł nie wejdzie do metra :D W Warszawie powinien obowiązywać bilet roczny – gwarantujący zniżki posłom, którzy non-stop korzystają z komunikacji miejskiej” – stwierdził Rafał Trzaskowski, zamieszczając zdjęcie karty miejskiej przy bramce metra wraz z biletem, na potwierdzenie, że w przeciwieństwie do poprzedniczki wie, jak go skasować.

Wydaje się, że nie wiedział jednak, iż posłowie jeżdżą i tak za darmo. Przytomni internauci mu jednak o tym przypomnieli, więc korekta programowego faux pas przyszła równie szybko jak przejazd z Politechniki do Centrum. „W Warszawie powinny obowiązywać zniżki dla warszawiaków, którzy używają komunikacji miejskiej non-stop – cały rok!” – zadeklarował kandydat Koalicji Obywatelskiej.

Ponieważ tweety nie płoną, a złośliwy Patryk Jaki rozkręcił już szyderę ze zniżek dla posłów, Trzaskowski z charakterystycznym sobie inteligentem luzem odbił piłeczkę. „W tłoku w metrze warszawskim popełniłem czeski błąd :) Oczywiście, że dla warszawiaków! Pan poseł nie wie o darmowych przejazdach? Nie korzysta z komunikacji...”

Autoironii nie zrozumiała najwidoczniej Aleksandra Dyjak, która zamiast się zaśmiać, sięgnęła po Wikipedię. Czym jest zatem czeski błąd? „Prze-stawienie liter w wyrazach pisanych na maszynie lub komputerze. Dla przykładu: »skdła« zamiast »skład«, »wsyzdek« zamiast »wyszdek«, »posek« zamiast »warszawiak«”. Mam wrażenie, że ten ostatni fragment dodała od siebie.

A skoro o nauce mowa, oddajmy głos poseł Kindze Gajewskiej. Okazja nie była jaka, bo rocznica uchwalenia Konstytucji 3 maja, która to konstytucja: „Miała zbliżyć Rzeczpospolitą Obojga Narodów do standardów szanowanego, postępowego Zachodu, bo nie ma wolności bez nowoczesności. 227 lat temu ludzie, pisząc konstytucję – wiedzieli, że musi ona dawać prawo autonomii małym ojczyznom” – odparła absolwentka politologii oraz dziennikarstwa, pisząca obecnie pracę doktorską. I tak państwa z tą refleksją zostawiam. Do przemyśleń podczas jazdy metrem. ©

BEZINTERESOWNA PRZYJAŹŃ?

Na planie „Tańca z gwiazdami” kwitną nowe przyjaźnie. Beata Tadla po głośnym rozstaniu z Jarosławem Kretem znalazła przyjaciela w osobie Gojdzia Krzysztofa, czyli słynnego chirurga gwiazd, który sam stał się celebrytą. Podobno Beata i Krzysztof znaleźli nic porozumienia i dobrze im się ze sobą rozmawia. Przyjaźń przyjaźnią, ale Gojdz ma wobec Tadli pewne plany. – Krzysiek zaprasza Beatę do swojej kliniki – ujawnił znajomy prezenterki w rozmowie z „Faktem”. Czy Tadla skusi się na poprawianie urody? – Chociaż ona nigdy nie była zwolenniczką ingerowania w urodę, to on przekonuje ją, że to nic złego. Krzysiek zachęca, by Beata wybrała sobie takie zabiegi, które nie zmieniają jej rysów twarzy i nie robią z niej karykatury – dodaje informator tabloidu. W show-biznesie tak jak w polityce. Nie ma przyjaźni, są tylko interesy.

WRZESZCZĄCA BABA

Małgorzata Rozenek vel Majdan w ostatnim wywiadzie nieoczekiwanie wyznała, że oglądając siebie w telewizji, wstydzi się sama za siebie. Także jeśli chodzi o sztandarowy program jej i Radka Majdana „Iron Majdan”. – Powiem wprost: ja się wstydzę swoich słabości w tym programie. Sama, jak widzę tę latającą, wrzeszczącą i machającą rękami babę, to się dziwię. Na co dzień jestem osobą poukładaną, żyjącą spokojnie. Naprawdę nie jestem ekstremalna i nigdy nie byłam – opowiada w jednym z magazynów. Jak to nie? Za każdym razem, gdy coś mówi – czy to w programie, czy w wywiadzie – jest przecież ekstremalnie! Ekstremalnie śmiesznie.

POCHMURNA CODZIENNOŚĆ I MAGICZNY PYŁ

Anna Lewandowska zdenerwowała się na to, że dzisiaj każdy może być coachem i że to wciskanie ludziom kitu. „No limit! Te setki informacji w Internecie pod tytułem: »Pokaż swoją ukrytą moc«, »Zmień coś w swoim życiu« itd. To zdania, które często rzucane są na wiatr, bez głębszego przemyślenia. Przecież teraz każdy może być motywatorem czy też coachem.

Trener powie Ci teraz, że Twoim limitem jest niebo! A Ty pewnie z przekąsem odpowiesz, że Twoim limitem są problemy w pracy, sprzeczki z mężem czy też zepsuty komputer” – pisze na swoim Instagramie Lewandowska. I już myśleliśmy, że coś przemyślała, coś zrozumiała,



FOT. RENATE FELL/IMLS/EAST NEWS

że to taka autorefleksja z tym nabijaniem się z domorosłych motywatorów. Ale nie. W tym samym wpisie czytamy złote i głębokie rady Anny. – Nie nakręcaj się negatywnie i zamiast tego pomyśl, jak możesz odczarować pochmurną codzienność. Nie ma na to żadnego zaklęcia, nie pstrykniesz palcami i nie rozsypie się magiczny pył – pisze Lewandowska. – Spokój i równowaga to dobry doradca. Gdy popełnisz błąd, wykorzystaj go, aby się nauczyć. Gdy za dużo weźmiesz na głowę, zrób sobie przerwę – radzi dalej Anna. My radzimy (choć coachami nie jesteśmy), aby też zrobiła sobie przerwę. Od Instagrama. Albo nie. Od Internetu.

NIE MA JAK SIEDZIEĆ W PROGRAMIE

Piosenkarka Patrycja Markowska prawdopodobnie znów zostanie jurorką w muzycznym show „The Voice of Poland” w TVP. Wcześniej, gdy zrezygnowała z jurorowania, tłumaczyła, że za długo się już w programie zasiadziała i cierpi na tym jej kariera muzyczna, bo nie ma czasu skupiać się na ambitniejszych muzycznych wyzwaniach. – Łatwiej jest siedzieć w programie, niż robić płyty – mówiła wtedy. – Bycie w show to w zasadzie łatwa kasa, popularność. Pani w kiosku cię pozna. Żyć, nie umierać – dodawała wówczas złośliwie. Ciekawe, czego jej zabrakło, skoro postanowiła wrócić. Kasy, popularności? My obstawiamy jednak zainteresowanie pani w kiosku. Są rzeczy ważne i ważniejsze. ©©

FOT. PAMEŁ GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Straszna siara przed Europą, a zwłaszcza przed Niemcami. Otóśh, jak informują media, w tym roku zabrakło Polaków do zbiorów szparagów.

Widzimy tutaj oczywiście przede wszystkim destrukcyjny wpływ „500+” na wspólnotę europejską. Rozbestwieni Polacy wolą siedzieć w swoich popegeerowskich małych ośrodkach, niż wyjechać na Zachód do bauera. I kto niby ma teraz pozbierać te szparagi? Przecież Niemcy sami nie będą się schylać po takie pieniądze w ramach tak prostych prac, do których potrzeba niewykwalifikowanej siły roboczej z tego kraju.

Nie będą tego też robić architekci, adwokaci, inżynierowie i lekarze z krajów pigmentalnie uposażonego łądu, iż należy uszanować ich prawo do pobierania zasiłków.

Jak zawsze niewdzięczni Polacy muszą narobić kłopotów i mają problemy z wdzięcznością. Już kiedyś, w czasie II wojny, Niemcy ratując mieszkańców

tego kraju przed bezrobociem, zapraszali ich do pracy w swoich gospodarstwach i fabrykach. A teraz nikt już o tym oczywiście nie pamięta :/

Mamy mindfuck z tym, co się dzieje w Nowoczesnej. Z jednej strony kiedyś posłanka Scheuring-Wielgus krzyczała, iż „dość dyktatury kobiet”, a teraz opuściła

Żeby zrealizować hasło: „Dość dyktatury kobiet”, na stanowisko szefa musi więc wrócić Richie Petru. Of kors nie chcemy Nowoczesnej ani Lubnauer wciskać do brzucha dziecka z kąpielą, ale jednak za Richiego nie było dyktatury, a Richie kobietą też raczej nie jest, chociaż oczywiście szanujemy jego prawo do wyboru.

W tym roku zabrakło Polaków do zbiorów szparagów. Widzimy tutaj oczywiście przede wszystkim destrukcyjny wpływ „500+” na wspólnotę europejską

partię, której szefową jest, przypomnijmy, Katarzyna Lubnauer.

Zastanawiamy się więc, czy to odejście Scheuring-Wielgus ma związek z tym, iż jednak wciąż istnieje dyktatura kobiet, a jeśli tak – to czy osobolubnauer okazała się dyktatorem, czy może raczej dyktaturą?

Wielka awantura z tym burmistrzem Jersey City, który powiedział kilka gorzkich słów na temat Pis-owskiego marszałka. Nawet jeśli ten marszałek rzeczywiście może i nie jest winny tych konkretnych zarzutów, a burmistrz popełnił pewną nadinterpretację, ewentualnie niezręczność, to i tak miał do niej prawo.

Dlaczego? – zapyta Podkarpace, bo nie wy, iż wy doskonale wiecie, ale przypomnijmy: ano dlatego, iż każdy heteronormatywny pigmentalnie nieuposażony osobnik męski jest potencjalnie winny nacjonalizmu, ksenofobii, seksizmu i antysemityzmu. Nawet jeśli nie on osobiście, to odpowiada za wszystkie akty tychże dokonane przez innych osobników męskich o podobnej specyfikacji.

Dlatego też słowa burmistrza jesteśmy w stanie usprawiedliwić i chętnie byśmy go zaprosili do nas na jakieś odczyt, konferencję lub wystąpienia na uczelniach wyższych. ©©

Od czasu, kiedy kotniki zjadły Puszczę Białowieską, w okolicy do jedzenia zostali tylko wielkowiejscy „ekolodzy”



cezary kryjztopa biopublica.com

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

My w sprawie wagi państwowej. To znaczy w sprawie kolana. Otóż kolano już dawno temu miało być cięte, ale było jedynie regularnie okładane i masowane. My też wolimy, kiedy nas masują, zamiast ciąć skalpelem chirurga, więc w pełni rozumiemy preferencje Kaczora Dyktatora.

Niestety, z okazji kryzysu kolanowego ujawnili się w PiS obrzydliwi krytykanci, którzy wskazują na to, że problem kolana należałoby rozwiązać dietą, to znaczy schudnąć. Chcielibyśmy publicznie napiętnować ludzi, którzy chcieliby odebrać Polsce Kaczora Dyktatora. To znaczy odebrać Polsce kilka jego kilogramów.

Apropos kolana. Kiedy widzieliśmy ostatnio Michała Dworczyka, szefa kancelarii premiera Mateusza, to też się uskarżał na kolano. Najwyraźniej to najnowszy krzyk mody w Zjednoczonej Prawicy.

Michał Dworczyk twierdzi, że jego kolano boli, bo w MON regularnie biegał, ale po awansie do kancelarii przestał. Kaczora Dyktatora boli, bo nigdy nie biegał, więc nie przestał, bo nie mógł. Sic transit gloria kolan.

Wszystko przez Polki. Na przykład żona wpływowego kolegi burmistrza Jersey City jest Polką. O sympatiach politycznych bardzo odległych od panującej w Polsce władzy. No i tak się złożyło, że ta żona okrutnie nakręciła przeciw wstrętnym PiS-owcom i antysemitom znad Wisły swego męża. A jej mąż podzielił się swą niechęcią z burmistrzem Jersey City. Stąd chryja o Pomnik Katyński w Ameryce. Tak przynajmniej utrzymują amerykańskie wiewiórki. Ale nie wiemy, czy im wierzyć, bo słabo rozumiemy po amerykańsku.

Wkręgach rządowo-prokuratorskich trwa intensywne lustrwanie nowych przepisów o tzw. rewizji nadzwyczajnej. Ktoś wypatrzył, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zostały napisane przez niejakiego Michała K., byłego wicka sprawiedliwości, znanego z naszej rubryki jako Kato-Królik. Tak, tego zawiniętego za przechowanie

pewnego przelewu z VAT. Trwa intensywne główkowanie, czy aby rewizja nie została stworzona dla przekręciarzy z PeŁo, takich jak Stasiu Gawłowski. A nie jest to przecież ostatni przedstawiciel minionego reżimu, którym interesują się prokuratorzy i CBA.

**Trwa intensywne
główkowanie, czy aby rewizja
nie została stworzona
dla przekręciarzy z PeŁo
takich jak Stasiu Gawłowski**

Żarcik z okolic Nowogrodzkiej. Na pytanie: „To jak będzie z referendum prezydenta Andrzeja Sebastiana?” pada odpowiedź: „Referendum? Z jakim referendum?”.

Żarcik z okolic wierchuszki PeŁo. „Rysiek wicepremierem? Jakim wicepremierem?”.

Już wyjaśniamy ostatni żarcik. Otóż jeszcze ładnych parę miesięcy temu wiewiórki z PeŁo i Nowoczesnej były zgodne co do jednego – Rysiek Petru rozpoczął Wielką Grę, której celem był strategiczny sojusz ze Schetyną, ale na takich warunkach, żeby w przyszłym rządzie tworzonym przez Eine Tota-



FOT. ROBERT CAROŹŃSKI

**dwaj
panowie** S

lopposition Rysiek miał gwarancję teki wicepremiera. Stąd konszachty i rozmaite ustalenia czynione z dala od reszty Nowoczesnych Kropiek. Niestety, odbicie partii przez Kaśkę Lubnauer uczyniło Ryśka wyjątkowo mało atrakcyjnym partnerem dla PeŁo.

Teraz zamiast Wielkiej Gry Rysiek Petru będzie miał małą partię, razem z dwiema Aśkami (Scheuring-Wielgus i Schmidt) oraz być może Robciem Biedroniem. Jesteśmy tym podekscytowani przynajmniej tak bardzo jak działalnością stowarzyszenia Dom Wszystkich Polska innego Ryśka – Kalisza. Ci, którzy nas znają, wiedzą, jak bardzo jesteśmy nią zainteresowani.

A miało być tak pięknie. Żli ludzie opowiadają, że dodatkowy zastępca Rafcica Trzaskowskiego był blisko i miał nim być kandydat SLD na wiceprezydenta stolicy. Obok Pawła Rabeja, czyli potencjalnego wicka z ramienia Nowoczesnej. Ale Grzesiek Schetyna grał na zwłokę, a kiedy zobaczył, w jakim tempie i jak skutecznie PeŁo pożera Nowoczesną Kropkę, stwierdził, że dodatkowego sojusznika nie potrzebuje. Stąd zamieszanie.

Zamieszanie polega na tym, że zamiast Ryśka Kalisza na prezia Warszawy miałyby z poparciem SLD kandydować Andrzej Celiński, to wiecie, bo sam się wypaszczał w mediach. Niestety, jak każdy polityk z przeszłością w Unii Demokratycznej i Unii Wolności nie jest w stanie jasno powiedzieć, czego chce i co robi, tylko hamletyzuje. Hamletyzowanie dobiegnie końca wraz z końcem bieżącego tygodnia – mówią wiewiórki.

Naszym zdaniem Celiński byłby idealnym kandydatem na prezia Warszawy, bo był przez kilka lat felietonistą pisma „Passa”, ursynowskiego tygodnika sąsiadów. Tam wykuwał zręby swego programu. „Autorytety zadeptane. Tłuszcza górą” – pisał. „Przegraliśmy Polskę” – pisał. I takie tam inne. Czyli typowy warszawski spleen. Najbardziej cenimy jednak Celińskiego za wyznanie, dlaczego jego dawne partie oddały Polskę ohydny prawicowcom z PO i PiS. Jak wyznał w książce o historii ROAD, jego środowisko polityczne

Kandydatem na prezydenta Katowic z ramienia RAŚ ma być Ilona Kanclerz, projektantka mody. To w sumie logiczne, że zwolennicy RAŚ chcieliby żyć pod rządami pani Kanclerz. Chociaż prawdopodobnie chodzi im o zupełnie inną kanclerz

zbyt często kierowało się zasadą „centralizmu towarzyskiego”.

Wracając do Rafcica Trzaskowskiego. Chcielibyśmy przedstawić publiczności ksywę, pod którą jest znany zarówno w Brukseli, jak i w Warszawie. Brzmi ona Womanizer. Jest jednak istotna różnica. W Brukseli biją tylko dwa poważnie złamane serduszka, w Warszawie jest ich dużo więcej.

My też mamy złamane serduszko. Wszystko przez krakowskiego majchra Jacka Majchrowskiego, który jednak chce kandydować ponownie na prezydenta grodu Kraka. Po pierwsze, współczujemy mieszkańcom. Po drugie, kandydatura Majchra sprawia, że wariant zastępczy nie wchodzi w grę. A myśmy naprawdę chcieli zobaczyć Władka Kosińskiego-Kamysza walczącego o ten fotel. Takich rzeczy się nie zapomina.

Tymczasem na Śląsku. Kandydatem na prezydenta Katowic z ramienia Śląskiej Partii Regionalnej (czyli Ruchu Autonomii Śląska) ma być Ilona Kanclerz, projektantka mody. To w sumie logiczne, że zwolennicy RAŚ chcieliby żyć pod rządami pani Kanclerz. Chociaż prawdopodobnie tak naprawdę chodzi im o zupełnie inną panią kanclerz.

Ilona Kanclerz ma bogatą przeszłość. Kiedyś zakładała Partię Kobiet. Kandydowała też do sejmiku śląskiego z listy Peezela. A do Senatu z kolei kandydowała z list Nowoczesnej Kropki. Obecnie Kanclerz jest radną dzielnicy Brynów-Wschód nazywanej Ptasim Osiedlem. To taki katowicki Leningrad, jedyna obwodowa komisja, gdzie Nowoczesna Kropka pokonała PiS w wyborach parlamentarnych w 2015 r.

Katowice to w ogóle niezwykle miasto. Jedyne w Polsce, gdzie znajduje się plac Marii i Jarosława

Kaczyńskich. Tak przynajmniej twierdzi oddział pewnego lokalnego banku, odsyłając klientów spod zamkniętej placówki do innej, która jest w pobliżu otwarta. Prosimy nie szydzić, warszawskim elitom trafiają się gorsze wpadki. W 2009 r. to „Dziennik” poinformował zdumionych czytelników, że Lech Kaczyński otworzył w Olsztynie „Aleję Ofiar Kaczyńskich”. Oczywiście chodziło o „Katyńskich”.

Tymczasem odkryliśmy ukrytą opcję niemiecką w Zjednoczonej Prawicy. Nie, nie chodzi o Jakiego, choć on z Opola. Jest gorzej. Na kongres Polska Wielki Projekt ma podobno niespodziewanie zawitać Peter Sloterdijk, który nazywa się może i dziwnie, ale jest filozofem niemieckim. My tam go jednak lubimy, to on podsumował rządy Angeli Merkel zdaniem: „Nieustannie zarządzanie kryzysem”.

Dla równowagi opcję amerykańską reprezentował będzie Thomas Sargent, noblista w dziedzinie ekonomii, który zajmuje się tym, co politycy robią z gospodarką. Czyli jak znalazł partner dla dobrej zmiany. Nie wiemy tylko, jak rozumieć to, że wśród prelegentów znalazł się także niejaki Engels. Przypadek?

Rubryka towarzyska. Były poseł PiS zostanie ojcem. Radość tym większa, że matką będzie jeden z byłych aniołków Kaczyńskiego. I tylko dziadzius będzie nie były, a przyszły. Gratulujemy!

Na koniec rozdziawiamy japy w szczerem zdumieniu. Jerzy Jachowicz w tym tygodniu kończy 80 lat, co w branży dziennikarzy śledczych zdarza się równie rzadko jak napotkanie uczciwego esbeka. Wszystkiego najlepszego, Jurku! Państwo tego nie wiedzą, ale Jachu to jedyny człowiek, któremu wierzymy, kiedy mówi: „W życiu nie napisałem niczego na wyrost”. Szacun i sto lat, sto lat! ©



Marcin Makowski

W historii zakupu kolekcji Czartoryskich niemal wszystko jest duże: pieniądze, politycy, dzieła sztuki, tajemnicze fundacje i rodzinny konflikt. Brakuje tylko jednego: rzetelnej analizy

Czwartek, 29 grudnia 2016 r., Zamek Królewski. W świetle kamer wicepremier Piotr Gliński podpisuje umowę z księciem Adamem Karolem Czartoryskim oraz Fundacją Czartoryskich. Za 100 mln euro w ręce Skarbu Państwa przechodzi licząca prawie 90 tys. obiektów bezcenna kolekcja z „Dumą z gronostajem” na czele. Rozpoczyna się świętowanie największego zakupu dóbr kultury w historii Polski.

Wtorek, 8 maja 2018 r., budynek Sejmu. Najpierw na Komisji Kultury i Środków przekazu, następnie wieczorem, już w Sejmie – wicepremier Piotr Gliński odpiera zarzuty, które stawia mu opozycja, domagająca się jego odwołania. Chodzi m.in. o negocjowanie zakupu kolekcji poza władzami zarządu Fundacji Czartoryskich, naciskanie na sąd w celu szybszej zmiany statutu, co przyczyniło się do wytransferowania pieniędzy do Liechtensteinu.

Jak to możliwe, że sytuacja tak diametralnie się zmieniła? Żeby zrozumieć zawłość towarzyszącą zakupowi jednej z najcenniejszych prywatnych kolekcji dzieł sztuki w Europie, trzeba prześledzić jej dotychczasowe losy.

HISTORYCZNE DNA

Warto zacząć od pytania, które od samego początku tej historii rozpalało wyobraźnię opinii publicznej i polityków: Czy za 100 mln euro było warto? Jak wycenić coś tak abstrakcyjnego jak sztukę? – Ta kolekcja jest po prostu bezcenna – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” kustosz Muzeum Książąt Czartoryskich Anna Lebet-Minakowska. W końcu chodzi o zbiory pierwszej tego typu instytucji w Polsce, które w sposób przemyślany i metodyczny gromadzono od XVIII w. Nie byłibyśmy dzisiaj w posiadaniu Leonarda da Vinci, Rembrandta czy pamiątek po Rousseau, Szekspirze, Cooku i Voltairze,

Opozycja chce „krwi”



Książę Adam Czartoryski w 2011 r. w Madrycie podczas otwarcia wystawy prac należących do Fundacji Książąt Czartoryskich FOT. JAVIER LIZON/EPA/PAP

gdyby nie pasja księżnej Izabeli Czartoryskiej, która ostatecznie zaprowadziła ją do skompletowania jednej z najbardziej wyjątkowych ekspozycji sztuki oraz artefaktów w ówczesnej Europie. – Można się na tych zbiorach uczyć historii Polski i świata. Jest tam wszystko, od starożytnych broni po fortepian Chopina, odlew jego dłoni i zasuszone kwiaty z pogrzebu – dodaje Lebet-Minakowska.

Jeśli dzieło świadczy o mistrzu, Muzeum Czartoryskich dosyć wiernie oddaje z kolei charakter jego fundatorki. Księżna Izabela od początku była bowiem niezależnym i niespokojnym duchem, w młodości wdawała się w głośne romanse, m.in. z rosyjskim posłem w Warszawie Nikołajem Repinem oraz królem Stanisławem Augustem Poniatowskim. Udzielała się politycznie w słynnej Familii, próbowała sił w pisarstwie. Przede wszystkim była jednak patriotką, która po utracie niepodległości przez Rzeczpospolitą postanowiła w wybudowanej z tej okazji Świątyni Sybilli w Puławach udostępnić rodakom gromadzone przez lata dziedzictwo.

– To w pewnym sensie nasze historyczne DNA. Nie przez przypadek już w 1939 r. sięgnął po nie niemiecki okupant. Kolekcja Izabeli była oczkiem w głowie Hansa Franka, który „Damą z łasiczką” ozdobił swój gabinet na Wawelu – opowiada Magdalena Ogórek. Zagadnienie, które spędzało sen z powiek muzealników, nie dotyczyło jednak wyceny prawie 90 tys. eksponatów, ale rzeczy znacznie bardziej prozaicznej – stanu ich zachowania, sposobu przechowywania oraz nieustannych transportów. Właśnie dlatego od lat bili oni na alarm, przekonując kolejnych ministrów kultury i dziedzictwa narodowego, że wykup kolekcji Czartoryskich to rzecz priorytetowa.

„MYŚLAŁAM, ŻE SERCE MI PĘKNIE”

Chociaż status kolekcji pozostawał w prawnej próżni od początku PRL, prawdziwe problemy zaczęły się 11 stycznia 2010 r. Rozpoczęto wówczas zaplanowany przez Fundację remont generalny Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie, który według obietnic księcia Adama Karola miał potrwać nie dłużej niż trzy lata. Nie skończył się on jednak do dzisiaj, co zmusiło państwo do opieki nad eksponatami za pieniądze podatnika. – Nagle musieliśmy znaleźć przestrzeń magazynową na składowanie ogromnej i wymagającej kolekcji,

a stan, który miał być tymczasowy, przeciągał się w nieskończoność – mówi dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie Andrzej Betlej. Czartoryscy, by sfinansować prace, rozpoczęli regularne wypożyczanie „Damy z gronostajem” zagranicznym muzeom. Gdy „Dama” podróżowała, eksperci drżeli ze strachu. – Obiekt, który jest wielokrotnie rozpakowywany, ramowany i rozramowywany, jest narażony na mikrowstrząsy, które nie pozostają bez wpływu na ogólną kondycję obrazu. Tego procesu nie da się wyeliminować, a dzieła tej rangi nie powinny opuszczać miejsca swojej stałej ekspozycji – przekonuje Betlej.

Jak opowiada mi jeden z polityków opozycji, który interesował się sprawą kolekcji, jeszcze zanim została ona tematem tabloidowych rewelacji z życia rodziny Czartoryskich, „czuł wstyd, gdy widział, jak podobne dzieła traktują poważne muzea, które nie pozwoliły sobie na handel obwoźny swoimi perłami”. Gdy okazało się jasne, że renowacja budynku nie zakończy się w planowanym terminie, paląca stawała się kwestia ich magazynowania.

– Kiedy przyszedłem tam pracować, myślałam, że serce mi pęknie – wspomina wejście do piwnic, w których Fundacja umieściła znaczną część eksponatów, Anna Lebet-Minakowska. – Do magazynu tkanin lała się woda przez okno. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Szybko kupiliśmy uszczelki, umyliśmy pomieszczenia.

Opowiada, że w wielu tymczasowych pomieszczeniach, w których zalegała kolekcja, czuć było wilgoć i stęchłąk.

– Lampa ultrafioletowa działała przez całą dobę, aby wytruć grzyby i drobnoustroje, ale nie bez szkód dla samej struktury przedmiotów – mówi kustosz. – Musieliśmy je nakrywać kocami, aby promienie UV w pierwszej kolejności degradowały ich włókna, a nie drogocennych tkanin. I te kocy po kilku miesiącach rozpadały się w pył. Osuszacze również pracowały 24 godz. na dobę. Codziennie wylewaliśmy po 10, 20 litrów wody. Ja i mój kolega po sześćdziesiątce.

ZEGAR TYKA, ZARZĄD CZEKA

Kończy się wiosna 2016, wielkimi krokami zbliża pierwszy rok rządów Zjednoczonej Prawicy. Mniej więcej w tym czasie, chwilę przed aferą wokół zmiany dyrektora Teatru Polskiego we Wrocławiu, do gry dyskretnie wkracza wicepremier Piotr Gliński. Najpierw w maju z mównicy sejmowej sugeruje,

że ze względu na postępowanie jego poprzedników państwo może stracić „Damę z gronostajem”. Następnie, jak ujawnia „Gazeta Wyborcza”, 30 czerwca z pominięciem zarządu Fundacji Czartoryskich wysłał list do rąk własnych księcia Adama Karola. Proponuje w nim spotkanie, by „wspólnie rozważyli możliwość nabycia całości zbiorów XX Czartoryskich przez Państwo Polskie”.

Jak twierdzi Piotr Gliński w rozmowie z naszym tygodnikiem, procedurę wykupu kolekcji zainicjował z dwóch powodów: „Ze względu na głosy środowiska muzealniczego oraz rezerwę budżetową, którą można było wydać do końca 2016 r.”.

Gdy rząd dał zielone światło i wygospodarował ponad 100 mln euro, rozpoczął się wyścig z czasem, który po fakcie będzie służył opozycji do wykazywania błędów proceduralnych szefa resortu Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Miał on bowiem negocjować z księciem, który w 1991 r. po utworzeniu fundacji przekazał zbiory oraz prawo do dysponowania nimi w ręce zarządu, kierowanego przez Mariana Wolskiego i Rafała Slaskiego. A zarząd ze względu na brzmienie ówczesnego statutu Fundacji sprzedać tego po prostu nie mógł.

Rozpoczyna się przeciąganie liny. 9 grudnia pod naciskiem rodziny Czartoryskich Fundacja zmieniła statut, wykreślając z jego treści zapisy wykluczające sprzedaż i podział dóbr. Również dwa tygodnie później do dymisji w ramach protestu podają się Slaski i Wolski. Nie godzą się na przekazanie spuścizny księżnej Izabeli na rzecz Skarbu Państwa, ale pod zmienionym statutem się wcześniej podpisują. 27 grudnia rada Fundacji, której członkiem jest Adam Karol Czartoryski, powołuje nowych zarządców – Jana Lubomirskiego-Lanckorońskiego oraz Macieja Radziwiłła, brata byłego już ministra zdrowia Konstantego. To on sygnuje transakcję z MKiDN.

Na ostatniej prostej pozostawał jeszcze jeden problem natury prawnej. Legalność zmiany statutu trzeba było zatwierdzić, a sąd okręgowy musiał go zatwierdzić, wpisując do Krajowego Rejestru Sądowego. Tymczasem zegar tyka. Pierwszą sprawę bierze na siebie zaufana kancelaria PiS z Gdańska, już wcześniej będąca na liście płac partii. Drugą zajmuje się sam minister Gliński, równocześnie z Fundacją składając wniosek o przyspieszenie zmian w statucie. Zanim ten formalnie

wpływa do przewodniczącej XI Wydziału Gospodarczego KRS, już 20 grudnia w KRS zapada pozytywna decyzja. Dzięki temu 29 grudnia w Zamku Królewskim w Warszawie można podpisać umowę sprzedaży, ogłaszając sukces. Na uroczystości obok ministra, księcia Adama Karola oraz jego drugiej żony, pochodzącej z Libanu Josette Calil, obecni są m.in.: wicepremier Jarosław Gowin, minister Mateusz Morawiecki, minister Jan Szyszko i kardynał Stanisław Nycz.

NEGOCJACJE POD GÓRKĘ

Od tego momentu właściwie sprawa zakupów zbiorów Fundacji Czartoryskich schodzi w kraju na drugi, a nawet trzeci plan życia politycznego. Pojawiają się jednak wątpliwości odnośnie do tempa, które towarzyszyło procedurze w KRS. „Každy obywatel może też wysłać prośbę do sądu, ale tu mowa o ministrze. Nie tak funkcjonuje trójpodział władzy w Polsce. Jestem zdumiona, że sąd zareagował tak gorliwie. Rejestrując tak szybko zmiany w statucie, pozbawił się przecież szansy na przeanalizowanie, czy nowe zapisy nie działają na niekorzyść fundacji, co mogłoby okazać się niebezpieczne dla cennych zbiorów” – mówiła „Gazecie Wyborczej” Małgorzata Omilanowska, poprzedniczka ministra Glinńskiego. Ten z kolei broni się dzisiaj, gdy zarzuty wracają, że nie naruszył standardów, prosząc o przyspieszone rozpatrzenie sprawy. – Pismo zostało złożone zgodnie z procedurami, oficjalnie, bez nacisków i znajomości. Chodziło o to, żeby móc wydać nadwyżkę budżetową, która nie mogła przejść na następny rok. To był interes Polski. I polski wicepremier napisał oficjalne pismo do prezes niezależnego sądu – tłumaczy „Do Rzeczy” szef resortu kultury.

W środowisku muzealnym atmosfera po zakupie jest szampańska. – Gdy w końcu doszło do finalizacji transakcji, środowisko muzealne zgodnie przyjęło ją z entuzjazmem. Ten zakup był po prostu oczekiwany. Sprawa, która przez dekady wydawała się nierozwiązywalna, wreszcie znalazła swój finał – mówi Andrzej Betlej, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. Jak dodaje, poprzez ciągłe niedofinansowanie i cedowanie odpowiedzialności za konserwację na Muzeum, Fundacja Książąt Czartoryskich „nie była w stanie realnie sprawować opieki nad posiadanymi zbiorami”.

Obecny prezes zarządu Fundacji Książąt Czartoryskich dziwi się zarzutom mówią

o działaniu za plecami Wolskiego i Slaskiego. – Poprzedni zarząd skłonny był podpisać umowę sprzedaży z MKiDN, jest na to wiele dokumentów – przekonuje Maciej Radziwiłł. – Dopinano szczegóły i szykowano notariusza. Wkroczyłem w tę sprawę, kiedy byli szefowie podali się do dymisji – dodaje. Jego zdaniem również negocjacje z Adamem Karolem Czartoryskim nie są rzeczą bez precedensu. Już wcześniej, choćby w 2012 r., minister Bogdan Zdrojewski podpisywał umowy dotyczące losów Fundacji z księciem, choć nie był on jej oficjalnym reprezentantem. „To jednak nie w porządku, kiedy minister podejmuje działania poza zarządem [...]. To droga na skróty i przekroczenie prawa. Nie grozi mu za to odpowiedzialność karna, ale polityczna już tak” – oponował jednak w mediach prof. Hubert Izdebski, ekspert prawa fundacyjnego.

Chociaż wątpliwości związane z działaniem za plecami ówczesnego zarządu nie znikną, trzeba zaznaczyć, że sam wykup depozytu Czartoryskich – wyjątkowy w swojej skali – jeśli chodzi o modus operandi, wyjątkowy jednak nie był.

W październiku 2012 r. dzięki dofinansowaniu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, kierowanego przez Bogdana Zdrojewskiego, Muzeum Narodowe w Krakowie pozyskało na własność trzy obrazy flamandzkich artystów z XVII w., pochodzące z kolek-

W 2012 r. minister Zdrojewski też podpisywał umowy dotyczące losów Fundacji z księciem, choć nie był on jej oficjalnym reprezentantem

cji rodziny Tarnowskich z Dzikowa. Jak twierdzą eksperci, podobne wykupy są w europejskim muzealnictwie rzeczą stosunkowo powszechną.

Mój informator dodaje również, że wątpliwości może budzić jeszcze jedna kwestia związana z postępowaniem Fundacji Czartoryskich. Otóż w grudniu 2016 r., czyli w chwili negocjacji sprzedaży zbiorów, ówczesny zarząd bez informowania Muzeum Narodowego podpisał umowę z miastem Puław na udostępnienie części kolekcji na stałe. Miała być ona eksponowana w zamian za kwotę 150 tys. zł rocznie oraz połowę zysków

ze sprzedaży biletów. – Od lat panowało napięcie pomiędzy zarządem fundacji a ministerstwem. Niestety ówczesny zarząd nie miał interesu w tym, aby zmienić sytuację. Panował całkowity brak symetrii pomiędzy Fundacją a MKiDN. „Dama” nie zawsze była wystawiana, remont budynków ciągnął się osiem lat i nie było widać końca. Za wszystko płaciło państwo, a decyzje dotyczące kolekcji były w rękach Fundacji. Trzeba było z tym skończyć – uważa minister Piotr Gliński. „Niestety, te 25 lat historii Fundacji to pasmo konfliktów i niepowodzeń. Mimo wielu prób nie udało się wypracować odpowiedniej formuły współpracy z Muzeum Narodowym w Krakowie i Ministerstwem Kultury” – stwierdził w wywiadzie z „Super Expressem” książę Adam Karol Czartoryski. Z Marianem Wolskim i Rafałem Slaskim niestety nie udało mi się skontaktować. Od czasu powrotu sprawy do mediów unikają wystąpień publicznych.

KIERUNEK LIECHTENSTEIN

Kwestie statutowe i zawiłe relacje z zarządem Fundacji to za mało, aby sprawa wykupu kolekcji Czartoryskich mogła odżyć z pełną mocą, dodatkowo prowokując konflikt wewnątrz rodziny. Musiało być coś jeszcze. Jak zwykle poszło o pieniądze. Ten element układanki znalazł się w marcu 2018 r., gdy media zaczęły informować o „odnalezieniu fortuny Czartoryskich”, którzy „przetransferowali 100 mln euro do raju podatkowego w Liechtensteinie”. Nie trzeba było długo czekać, aby opozycja podchwyciła trop. Już 18 kwietnia Platforma Obywatelska poinformowała o złożeniu dwóch zawiadomień, do CBA i prokuratury, z prośbą o przyjrzenie się sprzedaży kolekcji dzieł sztuki na rzecz Skarbu Państwa. – Mamy do czynienia z gigantyczną aferą, z grabieżą majątku narodowego na kwotę pół miliarda złotych – mówił na konferencji prasowej w Sejmie Paweł Olszewski. Poseł PO zarzucił Prawu i Sprawiedliwości, że zezwoliło na sytuację, w której „500 mln zł popłynęło do jakiejś fundacji w Liechtensteinie”. – Chcemy zbadać rolę polityków PiS, rolę pana wicepremiera Glinńskiego, który skierował do księcia Czartoryskiego specjalną propozycję zakupu za taką, a nie inną kwotę, w dziwnym trybie, tej kolekcji. Chcemy zbadać, dlaczego pan wicepremier naciskał na sąd, aby sąd przyspieszył pewne działania – wyjaśnił parlamentarzysta, podkreślając równocześnie udział

„zaprzyjaźnionej kancelarii prawnej PiS”, która brała udział w zatwierdzaniu zmienionego statutu Fundacji.

Nowy zarząd oraz ministerstwo nie pozostawiły tych słów bez komentarza. – Jestem zaskoczony temperaturą debaty, która toczy się prawie półtora roku po sprzedaży kolekcji. Przetranferowanie pieniędzy z Fundacji Książąt Czartoryskich do fundacji Le Jour Viendra [taką nazwę nosi „następczyni” fundacji z Krakowa – przyp. red.] nie jest niczym niezwykłym ani niezgod-

ne, bo do wielu formalności wymagane jest osobiste stawiennictwo. Liechtenstein umożliwia również ustanowienie funkcji protektora, czyli kogoś w rodzaju władzy zwierzchniej, która wydaje polecenia zarządowi. Obowiązkowe jest zatrudnienie audytora, badającego wydatki fundacji. Co ważne, funkcje protektora można przekazać wskazanej osobie w przypadku choroby lub śmierci – mówi prezes zarządu Fundacji Czartoryskich. Na podobnych zasadach od lat funkcjonują również Fundacja

i utworzeniu nowej w Liechtensteinie, wystąpiliśmy jako ministerstwo do sądu w celu zbadania zgodności tej decyzji z jej statutem i celem. Nie stwierdzono żadnych naruszeń. Jesteśmy demokratycznym krajem i jeżeli ktoś funkcjonuje w ramach prawa, nie możemy mu zabronić obracania własnymi środkami – ucina minister.

WEJŚCIE CÓRKI

Im dłużej trwają przepychanki polityczno-medialne, tym więcej aktorów pojawia się na tej scenie. I tak z dyskusji o dziełach sztuki oraz lukach prawnych dochodzimy do opery mydlanej z wyciąganiem rodzinnych brudów w roli głównej. Zaczyna Tamara Czartoryska – jedyna córka księcia Adama Karola z pierwszego małżeństwa z Egipcjaną Norą Picciotto, rozwódką z dwójką dzieci, pracującą jako modelka i specjalistka od PR w przemyśle filmowym. Związek zawarty w 1977 r. przetrwał niespełna dekadę. Po rozwodzie w 1986 r. Tamara miała osiem lat i postanowiono, że zamieszka z matką. Zanim osiągnęła pełnoletność, uciekła jednak z domu, aby trenować jeździectwo i skoki przez przeszkody w jednej z renomowanych brytyjskich stajni. W roku 2000 Czartoryski poślubił Calil, która nigdy nie przypadła do gustu jego córce. Rodzina przez długi czas wiodła żywoty równoległe i nie wchodziła sobie w drogę. Gdy Tamara dorosła, przeprowadziła się do Bostonu, skończyła studia i próbowała swoich sił w modelingu, aktorstwie, dziennikarstwie i biznesie. Wyszła za mąż w ubiegłym roku, a jej wybrankiem został portugalski ekonomista Lourenço Vasconcelos e Sá. Młodzieńcza pasja nie dała jednak o sobie zapomnieć i obecnie Tamara zarządza firmą, która pośredniczy w handlu końmi.

Chłodne relacje po sprzedaży kolekcji zamieniły się w gorące. A po czasie w publiczny konflikt, który ujrzał światło dzienne 3 kwietnia 2018 r., gdy Tamara – jej zdaniem pominięta w decyzjach finansowych Fundacji Czartoryskich – w oficjalnym oświadczeniu oskarżyła ojca oraz macochę o defraudację milionów euro i sprzeniewierzenie się misji Fundacji.

„Wielokrotnie podkreślałam w pisemnej korespondencji z Maciejem Radziwiłłem, że takie działanie jest niemoralne i potencjalnie łamiące prawo, głównie z powodu zagrożenia unikaniem podatków



Od lewej: Tamara Czartoryska z ojcem księciem Adamem Czartoryskim i macochą Josette Calil FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

nym z prawem – mówi Maciej Radziwiłł i zapewnia, że Liechtenstein „nie jest rajem podatkowym, ale państwem, które spełnia wymogi prawa Unii Europejskiej i przekazuje pełną dokumentację podatkową do kraju, w którym rezyduje właściciel fundacji”. Równocześnie, jak twierdzi, „żadne środki nie mogą być wydane na cele prywatne, a w Polsce fundacje też nie płacą podatku dochodowego, dlatego kwestie fiskalne nie miały znaczenia w podjęciu tej decyzji”. Dopytuję zatem, dlaczego akurat Liechtenstein, a nie np. Francja czy Niemcy? Od Radziwiłła słyszę, że to w jakimś sensie kwestia logistyczna, ponieważ Adam Karol Czartoryski w ciągu roku mieszka w Libanie, Monako, Hiszpanii i Peru. – W Liechtensteinie istnieją firmy, które umożliwiają zdalne sterowanie fundacjami, co w Polsce jest niezwykle trud-

Lanckorońskich oraz Fundacja Andrzeja Ciechanowieckiego.

Opinia Radziwiłła nie do końca odzwierciedla jednak to, co jest zapisane w statucie fundacji Le Jour Viendra. Jak wskazaliśmy w „Do Rzeczy” (tekst „Miliony za sztukę” w numerze 15 z 9 kwietnia), z celów fundacji wynika, że część pieniędzy w niej ulokowanych w rozmaitych formach trafiać będzie do rodziny i osób z nią związanych.

Gdy rozmawiam o niejasnych transferach gotówkowych z ministrem Glińskim, odpowiada jednoznacznie: „Opozycja szuka krwi”. Nie jest to jednak satysfakcjonujące wyjaśnienie, dlatego dopytuję: – Czy zostały podjęte jakiekolwiek czynności sprawdzające legalność wyprowadzenia majątku z Polski?

– Po tym, gdy dowiedzieliśmy się o likwidacji Fundacji Czartoryskich

■ i ryzykiem prania pieniędzy Fundacji Czartoryskich” – napisała Tamara Czartoryska, komentując transfer pieniędzy do Liechtensteinu. Jak dodała, nie wtajemniczono jej w negocjacje i nie uwzględniono przy podpisywaniu dokumentów transakcyjnych, które niejednokrotnie fałszowano. Nie zasiada również w zarządzie nowo założonej fundacji Le Jour Viendra, choć jako jedynaczka jest spadkobierczynią księcia Czartoryskiego i nie może być wydziedziczona. – Nie rozumiem też, jak minister Gliński mógł zainicjować likwidację Fundacji, skoro ma ona pieniądze na realizowanie swoich celów (ochrona i promowanie kolekcji) i nie wymusza tego, żeby środki były wykorzystywane na rzecz kupionej właśnie kolekcji, jak i wielu innych celów, które były w jej statucie – mówi w wywiadzie z Onet.pl. W innych rozmowach twierdzi, że ojciec „nienawidzi Polski”, a do wszystkiego skłoniła go druga żona. – Kolekcja, należąc do fundacji, nie stanowiła źródła dochodu dla mojego ojca i Josette. Uzyskane w wyniku sprzedaży kolekcji środki były jedyną szansą dla Josette i jej dzieci na uzyskanie spadku po moim ojcu. [...] pomysłodawczynią była Josette Calil, która nie czuje się związana z Polską poza faktem związku z moim ojcem i która nie ma z nim potomka. Fundacja Czartoryskich i kolekcja sztuki okazały się dla niej godne uwagi wyłącznie wtedy, kiedy środki przekazano za granicę na jej korzyść – twierdzi i zaznacza, że nie rozumie, dlaczego minister Gliński mógł zainicjować likwidację Fundacji Czartoryskich, skoro ta nie mogła przekazać kolekcji za granicę. – Tamara Czartoryska zarzuca mi jakieś zmiany w statucie Fundacji, ale przecież to są głupstwa. Powinna wiedzieć, że to nie minister zmienia takie zapisy – odpowiada wicepremier.

Po początkowym milczeniu w końcu głos zabiera książę Adam Karol. I nie przebiera w słowach. „To smutne, że moja córka wypowiada się w sposób, który wywołuje nienawiść i płytkie emocje”, „Tamara przez lata mieszkała i wiodła uprzywilejowane życie w Los Angeles i jej sensacyjne opinie mają w sobie coś rodem z filmu fantastycznego. Jej agresja wybuchła zaraz po ślubie, za który w całości zapłaciłem. Jestem zażenowany jej zachowaniem”, „Okazuje się, że moja córka jest niezbyt rozsądna i nieco zazdrosna; na jej postawę mogło wpłynąć wychowanie przez matkę”. To wszystko wypowiedzi z wywiadu dla „Super Expressu”.

– Zdanie o tym, że ojciec „nienawidzi Polski i Polaków”, jest wyjęte z kontekstu – mówi Maciej Radziwiłł. – Każdy z nas czasami jest wściekły na to, co się dzieje w Polsce, czy działanie niektórych instytucji, ale to nie ma nic wspólnego z nienawiścią do całego kraju. W przypadku księcia Czartoryskiego do kraju przodków, ponieważ wychował się w Hiszpanii – dodaje.

Swoje do obrazu sytuacji dorzuca również dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. – W całej sprawie dyskurs polityczny przeważa nad chęcią normalnego i spokojnego spojrzenia na kwestię kolekcji Czartoryskich. Nagle na przykład dowiedziałem się, że Tamara Czartoryska chciała współpracować z Muzeum w opiece nad zbiorami. Jakoś do tej pory nie przejawiała takiej inicjatywy – mówi

Tamara Czartoryska publicznie oskarżyła ojca i macochę o defraudację milionów euro i sprzeniewierzenie się misji Fundacji Czartoryskich

„Do Rzeczy” Andrzej Betlej. Tamara Czartoryska upiera się jednak, że wszystkie oskarżenia może poprzeć dowodami.

SZLACHECKA OPERA MYDLANA

– Konflikt z Tamarą ciągnie się od dawna – wskazuje Radziwiłł. – Wiadomo, że relacje córki z drugą żoną ojca nigdy nie są łatwe. Myślę, że Tamarze zależało przede wszystkim na tym, żeby mieć kontrolę nad pieniędzmi Fundacji i mieć dostęp do możliwości pokrywania kosztów osobistych – przekonuje. Według niego, pomimo reprocyj ojca i obietnicy przełania 2 mln euro, Tamara Czartoryska nie chciała prowadzić fundacji charytatywnej w Polsce, ponieważ „zażądała bezwarunkowych transferów gotówki co roku oraz pełnej kontroli nad fundacją liechtensteińską”. Zdaniem Radziwiłła w ten sposób chciała zastąpić księcia Adama Karola w roli protektora Le Jour Viendra. Pytam, czy to nadal możliwe. – Ojciec tego nadal nie wyklucza, ale nie chce, aby to się stało w sposób automatyczny. Jest to przykre dla wszystkich, że konflikty rodzinne zostały upublicznione, a ludzie interesują się arystokracją wtedy, gdy dzieją się wokół niej skandale

obyczajowe – tłumaczy prezes zarządu Fundacji Czartoryskich.

Tamara nie pozostaje mu dłużna. Mówi o oszczerczej kampanii Radziwiłła, pogroźkach, które jej wysyłał, i działaniu w zмовie z ojcem i Josette Calil. Wszystko za sprawą wstawiennictwa ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła u Piotra Glińskiego. – Nie obawiam się tego procesu, ale powiem więcej, ja sam będę musiał wytoczyć Tamarze Czartoryskiej proces za względu na opowiadane na mój temat kłamstwa. Zrobię to w Polsce, czyli tam, gdzie nastąpiło zniesławienie. Moja cierpliwość się skończyła. Nie fałszowałem żadnych dokumentów, a mój brat, były minister zdrowia, nie miał żadnego udziału w sprzedaży kolekcji państwu polskiemu. Niestety obecnie konflikt wszedł w fazę nieprzyjemnej mydlanej opery – zapowiada „Do Rzeczy” Maciej Radziwiłł.

Gdy staram się dopytać o tę niezręczną sytuację inne osoby, nabierają wody w usta albo twierdzą, że spraw prywatnych nie wypada komentować.

– Wiedzieliśmy, że pewne cechy tej rodziny podnoszą ryzyko bezpieczeństwa kolekcji – rzuca enigmatycznie minister Gliński.

– Nie rozumiem wojny, która toczy się w rodzinie Czartoryskich. Takie rzeczy załatwia się między sobą, a nie poprzez media – uzupełnia Anna Lebet-Minakowska.

– Czartoryski nie okazał się godnym potomkiem księżnej Izabeli. Dla stworzonej przez nią kolekcji nie zrobił nic. Poza tym, że ją Polsce sprzedał. I to niedrogo – stwierdziła Zofia Gołubiew, była dyrektor Muzeum Narodowego i była prezes Fundacji Czartoryskich, w wywiadzie dla „Polska. The Times”.

WŁASNOŚĆ NARODU? NIE DO KOŃCA

Jest jeszcze jeden aspekt historii zakupu kolekcji Czartoryskich, który podniosła opozycja, a bez którego ta opowieść nie będzie pełna. W pewnym uproszczeniu można go zamknąć w następującym pytaniu: po co zapłacono pieniędzmi podatnika za coś, co i tak nie mogło na stałe opuścić granic Polski ani zostać odsprzedane, a zgodnie z prawem istniały zapisy, które obowiązywały rodzinę Czartoryskich do profesjonalnej opieki nad dziedzictwem kulturowym, które posiadała? Arkadiusz Myrcha na wspomnianej już konferencji sejmowej zauważył, że przepisy prawne w tej sprawie uchwalono w czasie rządów

PO-PSL. – Te przepisy, dotyczące listy skarbów dziedzictwa, wicepremier Gliński odziedziczył i miał do dyspozycji od samego początku. One nakładają bardzo rygorystyczne obowiązki na właściciela kolekcji czy danych nieruchomości dotyczące przechowywania, konserwowania, ale także nakładające praktycznie zakaz wywożenia tych dóbr bez zgody ministra – powiedział Myrcha. Wielu polityków, a także niektórzy dziennikarze, dodawali do tej narracji jeszcze jeden argument, mówiący o kolekcji, jako „dobru narodowym, przekazanym na rzecz Polski przez księżną Izabelę”.

żone. Choćby dlatego, że obowiązywała już nowelizacja ustawy z 10 lipca 2016 r. o ochronie i opiece nad zabytkami, którą w sierpniu podpisał prezydent Andrzej Duda [chodzi o wspomnianą ustawę zakładającą stworzenie Listy Skarbów Dziedzictwa, na którą można wpisać szczególnej wartości obiekt muzealny bez zgody właściciela, a nawet przejąć go na rzecz Skarbu Państwa, jeśli grozi mu niebezpieczeństwo zniszczenia, kradzieży lub nielegalnego wywieżenia za granicę – przyp. red.] – argumentuje były minister kultury.

Według wicepremiera Glińskiego w obowiązujących przepisach istniała

cję dla Polski za 5 proc. jej wartości, niż płać później Czartoryskim 100 proc. ceny – mówi Piotr Gliński.

PREZENT NA ŚWIĘTA

Na inny, potencjalnie czarny scenariusz zwraca uwagę Magdalena Ogórek. – Wyobraźmy sobie, że obraz jedzie na zagraniczną wystawę i ktoś jest żywo zainteresowany, żeby jednak został na dłużej. Nagle lokalni muzealnicy stwierdzają, że widzą delikatne pęknięcia na cienkim drewnie orzechowym, które nie pozwalają na powrót dzieła do Polski, i zatrzymują je pod pretekstem przeprowadzenia prac konserwatorskich. I „Dama” nie wraca 10, 15, 20 lat. Co byśmy wtedy zrobili jako państwo, skoro nie mieliśmy do tego dzieła żadnego prawa? Wystarczyłoby, żeby księżę Czartoryski i rada Fundacji zgodzili się na podobny stan rzeczy i tyle. Udałoby się to zrobić na granicy prawa – twierdzi historyk sztuki i dziennikarka.

Chociaż Piotr Gliński obronił się 9 maja przez wnioskiem PSL-UEd o zwolnienie go z funkcji ministra, losy zakupu zbiorów Czartoryskich będą miały swój ciąg dalszy. W tej chwili wygaszana jest działalność struktur polskiej fundacji. – Kończymy swoją misję w Polsce, ale to nie oznacza szybkiego zamknięcia jej podwojów – tłumaczy Radziwiłł, który wyjaśnia, że musi jeszcze zamknąć „kilka spraw spornych, roszczeń finansowych odnośnie do niektórych przedmiotów” oraz sprawę „wygaszenia Fundacji z pustym kontem, jak życzy sobie tego sąd w Krakowie”. – Jeśli mimo tego na koncie pozostaną jakieś fundusze, zostaną one przekazane na działalność statutową oraz darowizny – zapewnia prezes zarządu.

Gdy emocje wokół sprawy opadną, przyjdzie czas na jeszcze jedno wydarzenie. Kropkę nad i, czyli otwarcie Muzeum Książąt Czartoryskich, które stoi zamknięte w centrum Krakowa od prawie dekady. Ono również przeszło w ręce państwa. – Naszym celem jest otwarcie Muzeum Książąt Czartoryskich 19 grudnia 2019 r. Chciałbym, żeby to był prezent gwiazdkowy dla wszystkich zwiedzających. Prace konserwatorskie idą pełną parą – zapewnia dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. Oby zdążył z prezentem na czas. W końcu po raz pierwszy państwo posiada w ręku wszystkie argumenty. A jak głosi stare przysłowie, z wielką władzą idzie w parze wielka odpowiedzialność.



Wicepremier i minister kultury Piotr Gliński oraz książe Adam Czartoryski podczas uroczystości sprzedaży kolekcji dzieł Skarbowi Państwa, Zamek Królewski w Warszawie, grudzień 2016 r. FOT. KRYSZTOF MAJ/FOTUM

Sprawa jest jednak nieco bardziej skomplikowana.

– Ta kolekcja nigdy nie była własnością narodu polskiego. Izabela Czartoryska udostępniła swoje muzeum publiczności, ale nie każdemu. Pobierano opłaty za wejście. Poza tym wiele obiektów wpisanych w poczet kolekcji w latach 50. stanowiło część wyposażenia nieruchomości Czartoryskich. Nie można im było tego po prostu zabrać – tłumaczy kustosz Muzeum Czartoryskich, która uważa, że odkupienie ponad 86 tys. eksponatów było jedynym sposobem na przerwanie szkodliwej dla nich dwuwładzy.

W podobnym tonie do posła Myrchy dla „Wyborczej” wypowiedział się również Bogdan Zdrojewski. – Bezpieczeństwo zbiorów Czartoryskich nie było zagro-

jednak luka, którą Czartoryscy mogli wykorzystać. Fundacja nie występowała bowiem o wpis do rejestru zabytków, który zabezpieczyłby kolekcję Czartoryskich przed stałym wywozem za granicę. Samo ustanowienie Listy Skarbów Dziedzictwa wymagało również wpisania każdego dzieła sztuki do katalogu oraz jego wyceny. Ile lat by to trwało w przypadku tej kolekcji, trudno oszacować. – W nowelizacji istnieje zapis mówiący, że w przypadku stałego zagrożenia dla dzieła sztuki wpisanego na Listę Skarbów Dziedzictwa minister musi je wykupić po cenach rynkowych. Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby doszło do takiej sytuacji z kolekcją Czartoryskich. Wolałem kupić kolek-

KAMILA BARANOWSKA: Wszędzie pana ostatnio pełno. Nie boi się pan, że zmęczy sobą warszawiaków?

PATRYK JAKI: Jedyne, czego się boję, to to, że nie zdążę poruszyć wszystkich ważnych problemów, z którymi borykają się warszawiacy, a narosło ich naprawdę wiele przez 12 lat rządów PO w stolicy. A Rafał Trzaskowski zadaje mi pytania dotyczące tylko spraw ideologicznych, niezwiązanych z pracą samorządu. W gruncie rzeczy wybór w Warszawie to dwie możliwości. Albo Rafał Trzaskowski i Warszawa ideologiczna, albo Patryk Jaki i Warszawa pragmatyczna.

Nie za wcześnie wystartował pan z tą kampanią? Do wyborów jest jeszcze pół roku.

Proszę pamiętać, że mamy wiele miesięcy straty. Mój główny konkurent ogłosił swoją kandydaturę ponad pół roku temu i musimy teraz to pół roku nadrobić. Dlatego wiem, że trzeba

Na przykład przy kielbasce z grilla.

W naszym mieście dużo osób korzysta z uroków majówkowych grilli. A ja chcę być razem z nimi. Platforma rządzi w Warszawie od 12 lat. Jeśli zapytać mieszkańców, jak oceniają współpracę ratusza przy rozwiązywaniu ważnych problemów miasta, to usłyszymy, że takiej współpracy nie było i nie ma. Hanna Gronkiewicz-Waltz znana jest z tego, że stosunkowo rzadko bywa w urzędzie, ma inne etaty. Ja nie tak sobie wyobrażam rolę prezydenta miasta. Gospodarz miasta powinien zawsze mieć czas na rozwiązywanie problemów mieszkańców. A żeby je poznać, trzeba z nimi rozmawiać. Warszawa ma pełno nierozwiązanych spraw, które są wynikiem zaniechań pani Gronkiewicz-Waltz i Platformy. Mogę wymienić godzinami.

Nowe żłobki, nowe miejsca parkingowe, nowe mosty – to pana pierwsze zobowiązania, które – jak rozumiem – są odpowiedzią na te zaniechania.

proc., dla przykładu Kraków czy Poznań w ok. 60 proc. Samorząd warszawski nie radzi sobie z najprostszymi sprawami dotyczącymi rozwoju miasta. Z polityką mieszkaniową, ekologiczną, sportową, edukacyjną czy antysmogową. A po 12 latach były szef sztabu pani prezydent powtarza obietnice składane w zakresie parkingów, żłobków czy porządkowania przestrzeni miejskiej, które składała Hanna Gronkiewicz-Waltz w... 2006 r. Groteska.

Mimo niespełnionych obietnic warszawiacy trzy razy z rzędu głosowali na Hannę Gronkiewicz-Waltz. Nie ma pan poczucia, że pana misja jest stracona, bo Platforma i tak ma wygraną w kieszeni?

Prawdą jest, że wiele osób szczerze odradzało mi start w Warszawie, przekonując, że tutaj się nie da wygrać, że analiza dotychczasowych wyników wyborczych wskazuje na to, że cokolwiek by się zrobiło, i tak wygra Platforma. Jednak ja wierzę w to, że Warszawa może być prawdziwym europejskim i uczciwie zarządzanym miastem.



Z Patrykiem Jakim, wiceministrem sprawiedliwości, kandydatem Zjednoczonej Prawicy na prezydenta Warszawy rozmawia Kamila Baranowska

To ludzie z charakterem

pracować dwa razy ciężiej, żeby w ogóle mieć jakąkolwiek szansę na zwycięstwo. A to, co sprawia, że jesteśmy tak zdeterminowani do walki, to świadomość, że Warszawą obecnie rządzi mafia dewelopersko-reprywatyzacyjna. Naszym celem jest odbicie stolicy z jej rąk i to nam dodaje energii do działania.

Rafał Trzaskowski drwi, że „w panice biega pan po Warszawie”.

To jest wypowiedź mało prezydencka, ale ja oczywiście szanuję swojego konkurenta, ma prawo mówić, co chce. Tylko to, co on nazywa „bieganiem w panice po Warszawie”, jest aktywną rozmową z warszawiakami w różnych miejscach. Nie wiem, dlaczego mój konkurent obraża ludzi, którzy po prostu chcą spokojnie rozmawiać o stolicy.

Platforma w 2006 r. obiecywała 17 parkingów podziemnych, które wybuduje przez dwie kadencje. Minęły trzy kadencje, nie wybudowali żadnego. Obiecywali rozwiązanie problemów żłobkowych, też w ciągu dwóch kadencji. Minęły trzy kadencje i żadna dzielnica nie ma rozwiązane problemu ze żłobkami. Obiecywali też, że za ich rządów przybędzie pięć nowych mostów na Wiśle, wybudowali jeden, i to ten zaplanowany jeszcze przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jeśli chodzi o plany zagospodarowania przestrzennego, to była obietnica uporządkowania przestrzeni miejskiej, tymczasem w Warszawie jest bałagan urbanistyczny nieporównywalny z żadnym innym dużym miastem. Warszawa jest pokryta miejscowymi planami zagospodarowania przestrzennego zaledwie w ok. 30

nym miastem. Ponieważ standardem europejskości jest uczciwość. Wierzę w to, że po solidnej debacie w kampanii uda się przekonać znaczną część mieszkańców, że można inaczej, że Warszawę stać na więcej. Chcę pokazać, jak bardzo Warszawa nie wykorzystuje swojego ogromnego potencjału. Stolica ma budżet w wysokości 16,5 mld zł rocznie. Jak to możliwe, że z takimi pieniędzmi przez 12 lat nie dało się rozwiązać nawet połowy z wyżej wymienionych, przecież nieskomplikowanych, problemów miasta?

Można odnieść wrażenie, że wzoruje się pan trochę na kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. Liczy pan na powtórkę tamtego scenariusza?

Proszę pamiętać, że prezydent Duda akurat w Warszawie znacząco przegrał. Dlatego to musi być jeszcze lepsza kampania



nia, jeśli myślimy o podjęciu równorzędnej walki z Platformą. Potrzeba czegoś więcej.

Czego na przykład?

Nie wykluczam, że będziemy prowadzili kampanię profrekwencyjną w Warszawie. Nasze rozmowy z mieszkańcami pokazują, że wiele osób, które dotąd nie głosowały, chce teraz zagłosować na nas. To potencjał, po który do tej pory nie sięgano, a który może zmienić obraz wyników wyborczych w Warszawie.

Jest pan politykiem, który budzi skrajne emocje, w związku z tym ma pan spory elektorat negatywny. Trudno będzie go przekonać.

Po pierwsze pytanie, jakiego prezydenta chcą warszawiacy – czy takiego „malowanego” bez cienia charakteru, który jeśli będzie miał do rozwiązania jakiś problem, to powoła zespół, który powoła kolejny zespół do spraw analizy działań tamtego zespołu, i tak będą się zastanawiać w tych zespołach do końca kadencji, czy jednak takiego, który będzie

Gdzie zatem?

Środowiska popierające Trzaskowskiego wiedzą, że jestem osobą z zewnątrz i jeśli wejdę do ratusza, to skończą się wszystkie układy i układziki. I co się dzieje? Skoro widzą, że Trzaskowski niekoniecznie radzi sobie z kampanią, to w związku z tym trzeba mu pomóc. Widać już, że media III RP odrobiły lekcję z Andrzeja Dudy, dziś już nie ma lekceważenia. Przybiera to nieraz formy groteskowe. Na każdej konferencji jestem drobniuszko odpytywany o linie tramwajowe, autobusy, mosty, ceny biletów, skład Legii z 1974 r. Niedługo zapytają mnie o wysokość krawężników gdzieś na Białołęce. Celują w tym dziennikarze TVN. Dlatego nie mam wątpliwości co do tego, że media będą robić kampanię Trzaskowskiemu. Już teraz część z nich staje się jego sztabem wyborczym.

To mocne oskarżenie.

Podam przykład. Kiedy popełniłem literówkę, śmieszna, owszem, to cały tydzień na najważniejszych portalach były śmichy-chichy, memy, a „Fakty” TVN robiły prześmiewcze materiały. Kiedy Trzaskowski przez cztery dni z rzędu robi błędy ortograficzne w swoich twe-

zmieniają świat

miał charakter i wizję, by pewne zmiany w mieście przeprowadzić.

Pamiętajmy – to ludzie z charakterem zmieniają świat. Tytuł było „poprawnościowych” prezydentów USA, a dopiero Trump rozbraja Koreę Północną. Czuję także po moich spotkaniach z wyborcami, że ludzie mają już dość poprawności politycznej, postpolityki i „pacykowania” polityków, którzy nic nie mogą, boją się wszystkiego. Chcą autentycznych ludzi, którzy mają wady, mają zalety, ale przynajmniej niczego nie udają i mają charakter; by zaważać o sprawy, które inni by odpuścili. W Warszawie ludzie prowadzą firmy i dobrze wiedzą, że bez charakteru i umiejętności walki ich przedsiębiorstwa by się nie rozwijały. Tego samego oczekują od prezydenta. Problem widzę gdzie indziej.

etach, nikt się nagle tym nie interesuje. Nie ma nagłówków w portalach, nie ma materiałów w telewizjach informacyjnych. Cicho. Jest ewidentna nierównowaga. Albo weźmy sprawę mojego spotu...

Tego, w którym czeska Praga udaje tę warszawską? To jednak była wpadka.

Montażysta w moim spocie, to są setne sekundy dosłownie, rzeczywiście pomylił most. Pierwotnie nikt nie zwrócił na to uwagi, nawet Trzaskowski, w swojej pierwszej reakcji na ten spot. Później ktoś to wyłapał i nagle śmiechem, memem, atakom nie było końca. Trzaskowski, rozmawiając z mieszkańcami, pomylił miejsce, w którym akurat spotykał się z mieszkańcami (on, nie montażysta), a chwilę później w swoich materiałach zamiast Targówka umieścił Tennessee. I co? I nic. Nie ma informacji

na portalach ani w telewizjach. Zdaję sobie sprawę, że ta nierównowaga w mediach będzie i musimy się z tym zmierzyć.

W jaki sposób?

Będziemy nazywać rzeczy po imieniu i wytykać manipulacje po nazwiskach. Jeśli media będą zachowywać się jak sztab wyborczy Trzaskowskiego, to tak będziemy te konkretne media definiować i z mediami tymi rozmawiać jak z kontrkandydatami. Tak zrobił Trump, widząc postawę stacji CNN. Mam już ludzi, którzy zgłaszają się społecznie do zorganizowania akcji – na niewidzianą w Polsce skalę – pokazywania nazwisk dziennikarzy, którzy będą prowadzili kampanię Trzaskowskiego za niego. Postawię na kontakt bezpośredni z mieszkańcami i na silną aktywność w mediach społecznościowych. Wtedy warszawiacy będą mogli sami ocenić fakty i dostaną komunikat bezpośrednio. A nie przetworzony i zmanipulowany.

Co wynika z pana dotychczasowych rozmów z warszawiakami, co jest dla nich najważniejszym problemem?

Przypominam, że Rafał Trzaskowski sugeruje, że prawdziwymi warszawiakami są tylko ci, którzy urodzili się w stolicy. Ci, co tu przyjechali, to gorsza kategoria. Widzę, że ludzi bardzo poruszyła ta kwestia – podziału warszawiaków. Podchodzą i mówią, że się nie interesują polityką, ale podobnie jak ja przyjechali lata temu do Warszawy, tu żyją, pracują i nie chcą być obrażani.

Sprawa reprivatyzacji odegra istotną rolę w tej kampanii? Z pewnością to sprawa ważna dla ludzi bezpośrednio dotkniętych jej skutkami, ale czy dla wszystkich warszawiaków?

Na pewno będzie ważna. Wkrótce pokażemy raport, ile Warszawa straciła na reprivatyzacji, i myślę, że wtedy nawet ci, których ta sprawa bezpośrednio nie dotyczy, zdadzą sobie sprawę, że ich pieniądze, które płacą w podatkach, zostały beczelnie rozkradzione. Nawet wyborcy PO mogą wtedy zechcieć dać tej ekipie czerwoną kartkę, przynajmniej na jedną kadencję, bo te kwoty idą w miliardy złotych. To robi wrażenie.

Pojawiły się głosy, że powinien pan zrezygnować z przewodzenia komisji weryfikacyjnej, aby nie było zarzutu, że wykorzystuje ją pan do kampanii. Rozważa pan taki krok?

Najważniejszym zadaniem polityka jest służba drugiemu człowiekowi i wszystkie

funkcje, które sprawuje, to są instrumenty, by pomagać ludziom. Tak długo, jak mogę to robić, będę to robić. Dzisiaj są tylko dwie grupy w Polsce, które cieszyłyby się z mojej rezygnacji: Platforma i mafia reprivatyzacyjna. Dlatego nie zrezygnuję.

Ostatnia złożona przez pana obietnica dotyczy budowy pięciu nowych mostów. Rafał Trzaskowski nie chce budować mostów, lecz ścieżki rowerowe i kładki dla pieszych. Za tymi pomysłami kryją się dwie całkiem różne filozofie rozwoju miasta.

Filozofia mojego rywała to tworzenie miasta dla wąskiej grupy ludzi. Ile osób do pracy codziennie dojeżdża rowerem? Ja uważam, że Warszawa powinna być miastem dla wszystkich. Ci, którzy korzystają z samochodów i autobusów, potrzebują kolejnych mostów – bo nie wszędzie dowieziesz dziecko rowerem. Przypomnijmy sobie, co się działo w Warszawie, kiedy zamknięto most Łazienkowski. Paraliż stolicy. A mój konkurent mówi, że niepotrzebne są kolejne mosty. Dobrze, że różnice są aż tak widoczne, bo każdy będzie mógł podjąć świadomą decyzję. Nie zgadzam się też na retorykę ostrej walki z kierowcami. Jeżeli walczy się z nimi, a nie tworzy się im rozsądnej alternatywy, by mogli dowieźć dziecko do żłobka czy zrobić zakupy dla całej rodziny, to jest to bez sensu. Jestem przekonany, że ludzie sami przerzucą się na komunikację miejską, jeśli w Warszawie z jednej do drugiej dzielnicy da się dojechać metrem. Jednak póki tego nie ma, to nie zgadzam się, by ze względów ideologicznych próbować ich do tego zmuszać. Warszawa nie może być miastem ideologicznym, lecz takim, w którym rządzi pragmatyzm.

A co z opłatami za wjazd do centrum? To pomysły, który pojawił się w rządzie.

Ja takich opłat w Warszawie nie wprowadzę. Zrobię to dopiero wtedy, gdy Warszawa będzie miała taką komunikację zbiorową jak np. Singapur. A dopóki tak nie jest, nie ma tematu.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że wsparłby miejski program in vitro. To trochę kłóci się z linią ideową obozu Zjednoczonej Prawicy.

Wyobrażam sobie samorząd jako miejsce wolne od ideologii, jako miejsce, w którym rozwiązuje się konkretne problemy mieszkańców. Sejm jest od ideologii. Widzę Warszawę jako miejsce dla wszystkich i dla tych o lewicowych poglądach, i dla tych o prawicowych.

Cztery lata temu Jacek Sasin jako kandydat PiS w kampanii obiecywał bezpłatną komunikację miejską. Szykuje pan jakieś spektakularne obietnice?

Obiecuję bilet miesięczny dla całej rodziny w wysokości 100 zł, bez względu na to, ile ma dzieci. Jeśli powyżej trzech, komunikacja będzie bezpłatna. Ponieważ rodzina to nie wydatek, ale inwestycja. Co do projektów spektakularnych kampanii: jest taki jeden projekt, który będzie najważniejszy w mojej przyszłej kampanii. Prawdopodobnie zostanie zaprezentowany wraz z oficjalnym startem wyborów. Na pewno wzbudzi emocje i nikt się tego nie spodziewa. Na razie więcej zdradzić nie mogę.

Dlaczego byłby pan lepszym prezydentem niż Rafał Trzaskowski?

Dlatego że po pierwsze, mam doświadczenie w zarządzaniu dużym budżetem, którego Rafał Trzaskowski nie ma. Jak przyszedłem do MS, przydzielono mi odpowiedzialność za budżet, jeśli idzie o resorty, czwarty największy w Polsce, i każdy może sprawdzić, jakie mam wyniki. Wszystkie przedsiębiorstwa państwowe, które mi podlegają, a które przynosiły straty, dziś przynoszą dochody. Mogę się pochwalić skomplikowanymi, trudnymi projektami, których nikt nie potrafił przeprowadzić, takimi jak praca dla więźniów, rejestr pedofilów czy komisja weryfikacyjna. Te skomplikowane projekty na początku wyśmiewano, pukano się w czoło. Dzisiaj nikt się już z tego nie śmieje. Do tego za miesiąc kończę IESE w Barcelonie, jedną z najlepszych szkół na świecie, i doktorat. W wolnym czasie przygotowuję inne prace naukowe.

Zgadza się pan z opinią, że jeśli prawica chce odbić Warszawę z rąk Platformy, to teraz albo nigdy? Że lepszego momentu nie będzie?

Tak bym tego nie określił. Nadal struktura tego miasta jest centroprawicy nieżyczliwa i nie można o tym zapominać. Nadal to oni z PO muszą, a my tylko możemy. Będziemy walczyć, ile się da. Mam taką cechę, że co jakiś czas biorę na siebie taką mission impossible, choć wszyscy wokół mówią, że bym odpuszcił. I wierzę, że w Warszawie – choć sondaże są bezwzględnie i dotychczasowe wyniki wyborów też są bezwzględne – to jest szansa, by coś zmienić. Gdybym nie wierzył, nie byłoby mnie tutaj. Warszawę, miasto honoru i wartości, trzeba odbić z rąk mafii reprivatyzacyjnej. © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

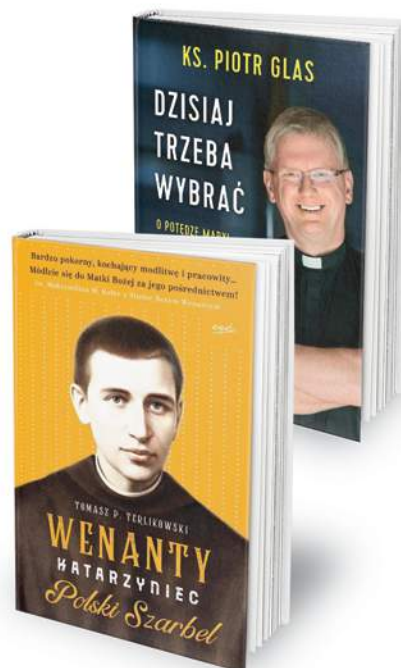
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
„DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”
„WENANTY KATARZYNIEC”

Cena: 145 zł
Oszczędność: 94 zł

+



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł



MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl ba9ef54bda



PiS do walki o samorządy idzie odmłodzony. W jakich warunkach przyjdzie toczyć pojedynek o polskie metropolie? Gdzie dojdzie do najciekawszych pojedynków?

Młode wilki PiS

Jarosław Kaczyński uznał, że trzeba nieco odświeżyć krew w jego partii – przynajmniej w samorządach. Wśród przedstawionych niedawno 16 kandydatów na prezydentów największych miast Polski aż 11 jest pomiędzy 29. a 45. rokiem życia. Jak na dość wysoką średnią wieku w polskiej polityce to wyraźne odmłodzenie.

CHĘTNI DO GRYZIENIA TRAWY

Najmłodszy jest Kacper Płażyński wystawiony w Gdańsku – ma 29 lat. Potem na czoło listy politycznych beniaminków wysuwa się Patryk Jaki w Warszawie – 33 lata. Tyle samo lat liczy sobie Marcin Wypij, wyznaczony do boju o Olsztyn. Stosunkowo młodzi są też: Waldemar Buda (36 lat), który zawalczy o Łódź, Sylwester Tułajew obsadzony w Lublinie (37 lat) i Małgorzata Wassermann (40 lat), mająca zdobyć Kraków. Młodą gwardię zamyka czworo 45-latków – Mirosława Stachowiak-Różecka we Wrocławiu, Jacek Żalek w Białymstoku, Piotr Barczak w Zielonej Górze i Sebastian Pieńkowski w Gorzowie.

A co z resztą dużych miast? O niezwykle ważny Poznań zawalczy znany wydawca Tadeusz Zysk (64 lata), na Szczecin został wyznaczony Bartłomiej Sochański

(63 lata), na Rzeszów – Wojciech Buczak (63 lata), na Bydgoszcz – Tomasz Lantos (54 lata) i wreszcie w boju o Opole rządzącą partię reprezentować będzie Violetta Porowska (49 lat).

W opinii centrali w szóstce największych metropolii największe szanse daje się Stachowiak-Różeckiej – w poprzednich wyborach w 2014 r. w drugiej turze przegrała z Rafałem Dutkiewiczem, ale z całkiem niezłym wynikiem.

Poważnie traktowane są szanse na zwycięstwo Patryka Jakiego w Warszawie i Małgorzaty Wassermann w Krakowie. W obu wypadkach ich atutem jest wysoka rozpoznawalność i coś, co w futbolu nazywa się „parciem na bramkę”. Stachowiak-Różecka, Jaki i Wassermann mogą liczyć na silne wsparcie partii. Nowogrodzka daje też spory kredyt zaufania Kacprowi Płażyńskiemu w Gdańsku – ma dobrze kojarzące się nazwisko po ojcu, marszałku Sejmu, który zginął w Smoleńsku w 2010 r., Tadeuszowi Zyskowi w Poznaniu i Waldemarowi Budzie w Łodzi. Cała ta trójka ma ponoć otrzymać większą pomoc, jeśli kandydaci wykażą, że w ich sondażach coś drgnie.

Pozostała dziesiątka musi walczyć sama, ale gdy wybiją się w sondażach – partia na pewno zwróci na nich uwagę.

Skąd tak ostrożne stanowisko PiS? Na Nowogrodzkiej dominuje opinia, że najważniejsze dla partii jest zdobycie władzy w większej liczbie sejmików. Jeśli pojedynki w dużych miastach nabiorą rumieńców, to PiS chętnie przyzna się do najlepszych. Na razie jednak woli nie wieszczyć wygranych w największych metropoliach, tyle razy poparżono tam sobie palce. Na triumf zawsze będzie czas po wygranej.

JAKI I INNI

Najbardziej spektakularny będzie pojedynek w Warszawie – „wiadoma rzecz – stolica”.

Patryk Jaki uzyskał na razie jedno – przykuł uwagę mediów swoimi utarczkami z Rafałem Trzaskowskim i stworzył wrażenie, że w mieście stołecznym liczy się tylko pojedynek PiS-PO. Platforma zaczęła w najgorszy możliwy sposób – demonstrując arogancję. Trzaskowski cynicznie „witał” Jakiego w Warszawie, a Tomasz Siemoniak kpił: „Odradzam [Jakiemu – przyp. red.] tylko to, żeby codziennie starał się przekonywać wszystkich, że jest warszawiakiem. Co dziś robi? Nie wiem, zje 10 wuzetek, pyzy i flaki warszawskie? Mnie nie przeszkadza, że jest on z Opola, że jest kibicem Odry Opole, i jest trochę zabawne, że udaje trochę innego”.



Prezes PiS Jarosław Kaczyński zaprezentował kandydatów na prezydentów największych miast podczas konferencji zorganizowanej 26 kwietnia FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Potem Trzaskowski zadziwił media brakiem wiedzy o konflikcie o Pomnik Katyński w Jersey City, a potem błysnął brakiem wiedzy, że w stolicy nie istnieją całoroczne bilety na komunikację miejską. Na tym tle wpadki Jakiego – umieszczenie w klipie wyborczym zdjęcia z cheskiej Pragi czy przesadne rozděcie sprawy tablic zwalniających z zakazu wjazdu samochodów sztabu Platformy – były mniej kompromitujące.

Arogancja Trzaskowskiego zaniepokoiła nawet Sławomira Sierakowskiego oraz Katarzynę Kolendę, którzy na wyścigi zaczęli ostrzegać kandydata Platformy, że w mieście „słoiaków” na epatowaniu warszawskością od pokoleń można źle wyjść. Szczególnie kiedy jeszcze nie tak dawno kokietowało się krakusów rodzinnym rodowodem spod Wawelu.

Jednak wszystko to nie zmienia faktu, że w Warszawie kandydat PiS nie jest faworytem. W drugiej turze wyborów prezydenckich w 2015 r. Andrzej Duda dostał w stolicy tylko 30 proc. głosów. Jaki może zrównoważyć ten niekorzystny dla siebie stan sympatii tylko ogromną aktywnością i docieraniem do jak największej liczby osób, które zazwyczaj nie chodzą na wybory. I pocieszać się, że ta sama Warszawa wybrała w 2002 r. na swojego prezydenta

Lecha Kaczyńskiego. I liczyć, że warszawiaczy docenią jego udział w komisji śledczej badającej przestępczą reprivatyzację w stolicy.

Jaki już zmiękcza wizerunek, nie krzywić się na programy in vitro i unikając kojarzonych z PiS tematów tożsamościowych. Na odwrót, to jemu PO przypomina wojownicze deklaracje z lat politycznej inicjacji na prawicy w rodzinnym Opolu.

Jego największym atutem jest zapowiedź zakończenia wszechwładzy mafii deweloperskich i zamknięcia grzesznej epoki Hanny Gronkiewicz-Waltz. A Trzaskowskiemu nietrudno przykleić łatkę kogoś, kogo prezydentura oznacza piątą kadencję HGW. Pytanie, czy Jakiemu nie zaszkodzi w kampanii niewyparzony język i czy charme zbratanego z Legią „chłopaka spod bloku” uzupełni wizerunkiem energicznego city managera.

W Krakowie Małgorzata Wassermann ma inny problem. Długo krążyły plotki, że rządzący grodem Kraka od 2002 r. Jacek Majchrowski zrezygnuje ze startu. Jednak typowany na kandydata zjednoczonej opozycji Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL (także urodzony w królewskim grodzie), w końcu nie zdecydował się na start. W tej sytuacji Majchrowski startuje po raz piątą. Małgorzacie Wassermann

ułatwi to zadanie – na jej korzyść działać będzie zmęczenie wiecznymi rządami Majchrowskiego i jego zaniechaniami. Jednak są i wady takiego rozwiązania – wielu krakusów wybierze go z przyzwyczajenia lub wskutek antypisowskiej hysterii.

W niezłej sytuacji startowej jest we Wrocławiu Mirosław Stachowiak-Różeczka. Cztery lata temu zdobyła w pierwszej turze nad Odrą 25,8 proc. głosów, co nie było złym wynikiem nawet na tle zwycięskich 42,37 proc. Rafała Dutkiewicza. Teraz zmierzy się z zupełnie innym rywalem – Kazimierzem Michałem Ujazdowskim, byłym europosem PiS, który został obecnie kandydatem Platformy. W sondażu IBS z początku kwietnia to właśnie on zajął pierwsze miejsce w prezydenckim wyścigu z 18,6 proc. poparcia. Stachowiak-Różeczka zajęła drugą lokatę (18,2 proc.). Kolejni na liście byli: Michał Jaros z Nowoczesnej (14 proc.), Jacek Sutryk popierany przez Rafała Dutkiewicza (9,3 proc.) oraz Jerzy Michalak popierany przez Dolnośląski Ruch Samorządowy (7 proc.). Ujazdowski liczy, że w drugiej turze zgarnie głosy Jarosa, Sutryka i Michalaka.

Tak może być, ale nie musi. Wrocławska lewica Ujazdowskiego po prostu nie cierpi. Jej guru – Władysław Frasyniuk – nazwał poparcie Grzegorza Schetyny dla KMU

premiowaniem zdrady. Komentując odejście Joanny Scheuring-Wielgus i Joanny Schmidt z Nowoczesnej, Frasiński mówił: „Mam nadzieję, że obie posłanki odeszły w wyniku konfliktu wartości, a nie z powodu kalkulacji politycznych, jakie miał Kazimierz Ujazdowski”.

Ujazdowski jako nowy demiurg Platformy? To oczywisty absurd, ale nie pomoże to kandydatowi PO w drugiej turze.

WIATR ZNAD MORZA

Osobny fenomen to start Kacpra Płażyńskiego w Gdańsku. Ten młody student prawa zasłynął już nad Motławą paroma akcjami miejskimi, które przypominały nieco warszawskie akcje Jana Śpiewaka i stowarzyszenia Miasto Jest Nasze.

W 2016 r. Płażyński wsparł mieszkańców Brzeźna, którzy zorganizowali protest przeciw wprowadzeniu opłat parkingowych w pasie nadmorskim. W maju 2017 r. złożył zawiadomienie do prokuratury przeciwko prezydentowi Pawłowi Adamowiczowi i byłemu wiceprezydentowi Gdańska Maciejowi Lisickiemu w sprawie domniemyanych nieprawidłowości w sprzedaży 81 mieszkań z 90-procentową bonifikatą na osiedlu Cygańska Góra.

Pierwsze wywiady kandydata PiS dla gdańskich mediów wypadły całkiem nieźle. Płażyński 5 maja br. wziął ślub z Natalią Nitek, działaczką PiS i aktywistką studenckiej organizacji Młodzi dla Polski. Płażyński przykrył tę ceremonię kłosem prywatności i nie wykorzystywał jej do lansu. Gdańsk to zauważył, a młody prawnik zapunktował.

Dla szans kandydata PiS ważne będzie to, z iloma silnymi rywalami przyjdzie mu się zmierzyć. Czy wystartuje Paweł Adamowicz – rządzący Gdańskiem od 1998 r., zmagający się ze śledztwem prokuratury na temat okoliczności nabycia jego licznych mieszkań? Grzegorz Schetyna w roli kandydata PO widzi Jarosława Wałęsę i od miesięcy namawia Adamowicza do wycofania się. Jeśli to się nie uda, to Płażyński ma większe szanse na wejście do drugiej tury. W samym Gdańsku Adamowicz pozujący na lokalnego wodza wojującego antykapitalizmem jest w elektoracie Platformy nadal popularny. Schetyna boi się, że wskutek dawnych grzechów Adamowicz po wygranej może zostać aresztowany, a PiS wyznaczy miastu nad Motławą komisarza.

Płażyński to kandydat bardzo tożsamościowy. Krytykuje lansowany przez Adamowicza sentyment do Wolnego Miasta

Gdańska i upomina się o teren dawnego klubu Gedania, założonego w 1922 r. przez gdańską Polonię. Adamowicz pozwolił, by te tereny zakupili deweloperzy na budownictwo mieszkaniowe, ale Prokuratura Generalna chce unieważnić tę decyzję. Płażyński obiecuje, że jeśli wygra, a Prokuratura unieważni transakcję, to tereny te posłużą do stworzenia domu Polonii i wystawy o polskich organizacjach w Wolnym Mieście Gdańsku.

Płażyński junior ostro krytykuje też coroczne składanie przez Adamowicza wieńców na cmentarzu żołnierzy sowieckich w rocznicę zajęcia miasta przez Armię Czerwoną. „Sowieci spalili miasto, gwałcili kobiety i mordowali ocalałych Niemców i Polaków. Czy jest za co ich czcić?” – pyta. Zapowiada też ratowanie coraz bardziej niszczonej starówki i walkę z wyburzaniem zabytkowych domów na potrzeby deweloperów.

Ci, którzy wygrają w dużych miastach, stworzą nową kategorię liderów PiS. Silnych, bo praktycznie nieusuwalnych

Jednak liczyć się też musi z ostrymi atakami. Politycy PO wypominają mu podjęcie w zeszłym roku pracy w spółce Skarbu Państwa – Enerdze. Ma być jednym z Misiewiczów – młodych ludzi dostających na tacy posady z partyjnego klucza. Płażyński odpowiedział na zarzuty na Twitterze: „Cztery lata doświadczenia w obsłudze prawnej dużych podmiotów gospodarczych. Zdany egzamin adwokacki. Uważam, że mam kompetencje na to stanowisko”.

Gdy kampania się rozkręci, zarzutów pewnie będzie więcej. Czy wystarczy mu zimnej krwi, by je znieść?

DRUGIEJ OKAZJI MOŻE NIE BYĆ

Młoda gwardia PiS, wysłana na zdobywanie największych miast, teoretycznie ma dość łatwe zadanie. Ich rywalami są zazwyczaj prezydenci z szeroko rozumianego obozu PO z wieloma kadencjami. W Łodzi Waldemar Buda rywalizuje z Hanną Zdanowską z PO, która rządzi już dwie kadencje. W Lublinie Sylwester Tułajew rzuca wyzwanie Krzysztofowi Żukowi, który rządzi od ośmiu lat. Nieco inną sytuację ma Tadeusz Zysk w Poznaniu.

Obecny prezydent Jacek Jaśkowiak kończy pierwszą kadencję, ale swoim lewactwem, walką z samochodami i wspieraniem rewolucji obyczajowej przebił innych włodarzy miast z PO.

Wysunięcie przez PiS w większości nowych kandydatów ma walor nowości, ale wymaga także ciężkiej pracy nad budowaniem rozpoznawalności. Formalnie kampania samorządowa zacznie się po ogłoszeniu przez premiera terminu wyborów w październiku i zacznie się na przełomie lipca i sierpnia.

Kandydaci ze wszystkich stron politycznej sceny wymyślają więc najróżniejsze preteksty dla zamaskowania swoich spotkań wyborczych. Muszą unikać zarzutu o przedwczesne rozpoczęcie kampanii.

Słyszymy więc o spotkaniach poselskich – posłami PiS są Małgorzata Wassermann, Sylwester Tułajew, Waldemar Buda czy Jacek Żalek. Ci, którzy posłami nie są, przekonują, że prowadzą konsultacje społeczne lub akcje obywatelskie.

Kandydaci PiS starają się raczej skupiać na postulatach miejskich, niż zahaczać o wielką politykę.

Dokładnie na odwrót robi Kazimierz Michał Ujazdowski, który atakuje swoją rywalkę z PiS za politykę jej partii. 26 kwietnia K.M.U. tak pisał na Twitterze: „Poseł @RozeckaPL powinna wytłumaczyć swój udział w niszczeniu samorządności i rządów prawa. W debacie wyjaśnić, jak obronimy #Wrocław przed zawłaszczeniem przez PiS, awanturą, dzieleniem na gorszych i lepszych, tolerowaniem skrajnie nacjonalistycznych grup, ograniczeniem rozwoju”.

Każdy z polityków PiS musi wybrać własną taktykę kampanii. Może w niej liczyć na dobry wpływ sukcesów rządu. Jednak też kiksy na centralnym szczeblu będą im ciążyły jak kula u nogi.

Niekiedy kandydaci strzelają sobie gole sami. Jacek Żalek – kandydat na prezydenta Białegostoku – swymi mało zręcznymi wypowiedziami o proteście niepełnosprawnych w Sejmie załatwił sobie rozpoznawalność w mediach w najgorszym stylu z możliwych.

Ci, którzy wygrają w dużych miastach, stworzą nową kategorię liderów PiS. Silnych, bo praktycznie nieusuwalnych.

Jarosław Kaczyński, rzucając młodsze roczniki do walki o duże miasta, może liczyć na wyłonienie się nowej generacji liderów. Pytanie, ilu z 16 polityków wyznaczonych do walki o duże miasta z tej szansy skorzysta.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Go Active Show 2018

– targi sportowe na europejskim podium



Z tej imprezy polska branża sportowa naprawdę może być dumna. W dniach 18–20 maja 2018 r., w Ptak Warsaw Expo w podwarszawskim Nadarzynie odbędą się największe w Polsce, a czwarte pod względem wielkości targi sportowe w Europie – Go Active Show 2018 – z udziałem gwiazd sportu. Twarzami wydarzenia będą m.in. najpopularniejsza trenerka fitness w Polsce Ewa Chodakowska i mistrzyni MMA Joanna Jędrzejczyk. Nie zabraknie również uwielbianych w naszym kraju skoczków narciarskich, ze złotym medalistą olimpijskim Kamilem Stochem na czele

W programie imprezy gala boks, międzynarodowe zawody, intensywne treningi, szkolenia i warsztaty oraz spektakularne wyzwania, jak maraton spinning czy bicie rekordu Guinnessa w ćwiczeniu na trampolinach. Wydarzenie otrzymało patronat honorowy Ministerstwa Sportu i Turystyki.

Targi Go Active Show odbędą się po raz drugi. Impreza będzie niecodzienną okazją, by w jednym miejscu zobaczyć w akcji gwiazdy różnych dyscyplin sportu. Znani i lubiani sportowcy będą w ten sposób

wspólnie promować aktywny i zdrowy tryb życia. Będą wśród nich: Ewa Chodakowska, Joanna Jędrzejczyk, Kamil Stoch, Dawid Kubacki, Stefan Hula, Qczaj, Dorian Yates, Sylwia i Akop Szostak, Robert Burneika czy Siostry Bukowskie. Filarami imprezy ponownie będą: fitness, kulturystyka, bieganie, sporty extreme oraz sztuki walki. Targi skierowane są do wszystkich: zarówno uprawiających sport – amatorsko, profesjonalnie, jak i tych, którzy dopiero poszukują najlepszej dla siebie aktywności sportowej. Podczas wydarzenia, na powierzchni prawie 70 tys. mkw., swoją

ofertę zaprezentuje ponad 250 wystawców z Polski i zagranicy.

OD FITNESSU DO KSW I GALI BOKSU

Czytając bogaty program targów, można być pewnym, że każdy odwiedzający znajdzie tu coś dla siebie. Trzy dni targów wypełnią sportowe rywalizacje, m.in. międzynarodowe zawody kulturystyczne IFBB Diamond Cup, największe w Europie Środkowej zawody kettlebell WKSF World Kettlebell Sport Federation, Ogólnopolskie Mistrzostwa w Grupowych Zajęciach Fitness, Polish Spinning® Event, największe

zawody crossfitowe w Polsce Garage Games czy dwa zawody street workout. W programie także pokazy sztuk walki w wykonaniu dziewczyn z Ladies Fight Night oraz bicie rekordu Guinnessa w równoczesnym ćwiczeniu na trampolinach. Atrakcje przygotowały także gwiazdy imprezy. Ewa Chodakowska poprowadzi największy w Polsce trening charytatywny, z którego część zysku z biletów zasili konto Fundacji Ewy Błaszczak „Akogo?”. Podczas targów odbędzie się też I Ogólnopolskie Forum Aqua Fitness z udziałem prezenów i instruktorów z całego kraju. Premierowy pokaz swojego treningu zapowiedziała Joanna Jędrzejczyk. Otwarty trening poprowadzi także Qczaj – najnowsze odkrycie Internetu. Go Active Show będą też niecodzienną okazją do spotkania i treningu z polskimi skoczkami – mistrzem olimpijskim Kamilem Stochem oraz brązowymi medalistami z Pjongczangu Dawidem Kubackim i Stefanem Hulą. Kibiców KSW z pewnością zainteresują spotkania z zawodnikami i sędziami oraz możliwość wejścia do słynnej Klatki KSW. Jedną z najważniejszych atrakcji wieczornej gali będzie natomiast PWE Boxing Night.

Targi Sportowe Go Active Show 2018 odbędą się w dniach 18–20 maja, w Ptak Warsaw Expo, w podwarszawskim Nadarzynie. Niezmotoryzowanych na targi dowiozą bezpłatne autobusy z centrum Warszawy. Szczegóły i bilety na stronie wydarzenia: Goactiveshow.pl.

Michał Kaczor



Barwy prekampanii



Rafał A. Ziemkiewicz

„Prekampania” w Warszawie skupiona jest na przypominaniu przez kandydata z PO, że nie jest z PiS, a kandydata PiS – że nie jest z PO. Bezpartyjny fachowiec mógłby nieźle namieszać

Bezradność sędziego Hermelińskiego, przewodniczącego Państwowej Komisji Wyborczej, wzywającego bezsilnie polityków do zaprzestania sprzecznej z prawem kampanii wyborczej, jest doprawdy ikoniczna – choć mało kto jego apele w ogóle odnotował. I ten fakt sam w sobie też jest ikoniczny. Oto Polska właśnie.

Z jednej strony prawo jest w tej kwestii jak rzadko jednoznaczne: kampania wyborcza zaczyna się z chwilą rozpisania wyborów i zarejestrowania kandydatów.

Dopiero wtedy kandydaci mogą wywieszać plakaty, nagrywać i publikować wyborcze reklamówki, odbywać spotkania z wyborcami i agitować na wszelkie inne sposoby. Wcześniej nie wolno.

Z drugiej strony kandydaci obu wiodących partii do prezydentury Warszawy (a także już innych miast) mają to gdzieś: wywieszają, nagrywają, jeżdżą z jednego mityngu na drugi, wyzywają się nawzajem na debaty tudzież od złodziei i faszystów. Nie mamy pańskiego płaszcza. I co nam pan robi, panie Hermeliński? Pytani wprost i oficjalnie „różną głupą” (mówiąc Korwin-Mikkem), że to wcale nie kampania wyborcza, tylko „prekampania”, względnie „normalna praca poselska”. Jednak nawet pozorów nie chce im się zachowywać. „Ja prowadzę swoją kampanię wyborczą” – odpowiada tuż po udzieleniu powyższych wyjaśnień kandydat czy właśnie niekandydat Trzaskowski na pytanie dziennikarza o związki z Hanną Gronkiewicz-Waltz.

Jak wszystkie martwe przepisy tak i ten o kampanii wyborczej jest przejawem bardzo szlachetnej dbałości państwa polskiego o sprawiedliwość. Ograniczenie

kampanii w czasie służy wszak wyrównaniu szans kandydatów wielkich partii, dysponujących pieniędzmi i wsparciem mediów, oraz kandydatów „społecznych”, niwelując instytucjonalną przewagę tych pierwszych (bardziej by ją oczywiście zniwelowała likwidacja dotacji budżetowej dla partii czy przynajmniej zmiana sposobu jej naliczania – ale państwo polskie jest państwem „ciotczynym”, to znaczy: jak stara pocciwa ciocia wciska dzieciom cukierki i drobniaki, ale ponieważ ma solidną sklerozę, nie ma w tym obdarowywaniu żadnej logiki).

I odwrotnie – jak wszystkie przepisy będące przejawem bardzo szlachetnej troski państwa o sprawiedliwość, tak i ten pozostaje martwy.

Pytanie za stówkę: Czy partiom Jakiego i Trzaskowskiego, mającym wszak razem większość konstytucyjną, przyszło do głowy, czy raczej do prezydium, zmienić nieżyłowiowy przepis, skoro publicznie go olewają i robią z zacnego przewodniczącego PKW idiotę?

I to jest kolejna rzecz nader charakterystyczna. Fakt, że przepis nie działa,

nigdy nie działał i nigdy nie będzie, choć dla każdego oczywiste, bynajmniej nie jest powodem, by go zmienić. To prawda, że jest z innej epoki, że – podobnie jak, dajmy na to, przepisów o ciszy wyborczej – nie da się go wyegzekwować i w ogóle wszyscy wszystko wiedzą. No ale przecież nikt nie podniesie ręki na prawo płynące z zacnych intencji! To już lepiej, żeby obowiązywało tylko teoretycznie, a w praktyce było manifestacyjnie olewane i obchodzone. W ten sposób państwo polskie pokazuje, że się stara i że chce. A że mu nie wychodzi? Któż o to może mieć pretensje w kraju, w którym wszyscy zawsze chcą jak najlepiej, ale wychodzi jak zwykle?

W ten sposób także – bagatelka – państwo polskie uczy swych obywateli, że jest teoretyczne, że prawo stanowi dla picu i tylko idiota traktuje je poważnie.

@

Jeśli pomimo wszystko „kandydat społeczny” zdoła zagrozić w Warszawie Patrykowi Jakiemu i Rafałowi Trzaskowskiemu, to bynajmniej nie z powodu sklerotycznej łaskawości państwa, które teoretycznie dało mu „równe szanse”, zrównując teoretyczny moment startu wyborczej rywalizacji. Będzie to za-wdzięczał obu wyżej wymienionym faworytom do prezydenckiego wyścigu. Jeśli swoje „prekampanie” nadal zamierzają prowadzić w stylu przepychanek na Twitterze, to sami stworzą w najbliższych miesiącach rosnące zapotrzebowanie na kogoś trzeciego.

Generalnie „prekampania” kandydata PiS skupiona jest na przypominaniu wyborcom, że on sam jest z PiS, a jego rywal z PO, z kolei zaś „prekampania” kandydata PO na przypominaniu, że on jest z PO, a jego rywal to PiS. Jaki powiada, że trzeba Warszawę wyrwać z rąk PO, patronów szajki reprzywatyzacyjnej, i że jeśli wygra, to nie będzie kradł, i to już wystarczy. Trzaskowski, wedle wzorca przeciwnego już z sukcesem w kampaniach prezydenckiej i parlamentarnej w 2015 r., a wykpiętego przez Roberta Górskiego jeszcze w czasach, gdy parodiował Tuska, straszy, że „jak PiS dojdzie do władzy”, to miasto stanie się brunatne.

Wiem, wiem, już słyszę, jak mnie czytelnicy poprawiają, że przecież kampanie roku 2015 nie przyniosły ani Bronisławowi Komorowskiemu, ani PO sukcesu. Ja też tak uważam, ale sama PO najwyraźniej nie, skoro kopiuje ówczesną stra-

tegię przy każdej możliwej okazji. Być może stratedzy „totalnej opozycji” nieco spuścili z oczekiwania i uznali, że no, może w całej Polsce to nie wyszło, ale w Warszawie, naszym mateczniku, straszenie PiS, faszyzmem i średniowieczem nie może zawieść. Być może spuścili jeszcze bardziej i myślą sobie: Z PiS i tak mamy przerabane, ale pod hasłem „zjednoczenia sił demokratycznych” wykończymy przynajmniej Nowoczesną i Lewicę.

W każdym razie oba sztaby wyborcze oparły się na założeniu, że ludzie nie zagłosują na tamtego, a to znaczy, że zagłosują na naszego. Może być przecież tak, że pierwsza część tego założenia okaże się trafna, ale druga już nie.

Typując takich, a nie innych kandydatów, PiS i PO zostawiły szerokie wolne pole. Miasto stołeczne to gigantyczny majątek wymagający sprawnego menedżera – a zarówno Jaki, jak i Trzaskowski postrzegani są jako aparatchycy. Owszem, jeden był, drugi jest wiceministrem, ale w tym właśnie ich problem, bo wyborcy postrzegają takich polityków jak oni jako, by przypomnieć sławny film Barei, „z zawodu dyrektorów”. Może obiecywać mosty albo kasę z Unii, być w tym ministerstwie, w tamtym, w europarlamencie, w sejmiku, w radiu równie dobrze jak w radiologii – zna się na wszystkim tak samo (czyli – w domyśle – w ogóle).

Jeśli ktoś skutecznie przedstawi się w kontrze do Jakiego i Trzaskowskiego jako bezpartyjny fachowiec, sprawdzony w zarządzaniu, doświadczony – to nieźle namiesza. Nieco już za długo „dobrze się zapowiadającemu” Piotrowi Guziałowi raczej się to nie uda, tym bardziej Janowi Śpiewakowi, już nie wspominając o zgola absurdalnej kandydaturze Andrzeja Celińskiego. Jednak Jacek Wojciechowicz, który właśnie ogłosił swoje kandydowanie, może rzucić na stół całkiem niezłe CV i na dodatek – a to Polacy lubią jak nikt – nimb człowieka głęboko skrzywdzonego.

Nie, ale skąd! – orzekli chórem komentatorzy. – Przecież on nie ma zaplecza partyjnego! Nie byłbym taki „hop”. Kandydat nie potrzebuje zaplecza partyjnego, tylko finansowe i organizacyjne. Jeśli Wojciechowicz je zdobędzie, to może wejść do drugiej tury, wyprzedzając Trzaskowskiego, a jeśli wejdzie do drugiej tury z Jakim, to w warszawskim lemingradzie wygra.

@

Drogą do kłęski dla Trzaskowskiego może być to samo, co przywiodło już do

upadku i PO, i przed nią SLD. Zafiksowanie na niszowym elektoracie „tęczowo-genderowym”. Wszyscy tu nie lubimy „Wyborczej” i mamy powody, ale jeśli tak na spokojnie, z dystansu, przyjrzeć się roli, którą odegrała michnikowszczyzna w dziejach III RP, to nawet ją muszę przyznać – dobrze przysłużyła się ojczyźnie. To nic, że chciała wręcz przeciwnie. Pan Bóg znowu podpisał się prosto na krzywej linii.

Michnikowszczyzna skolonizowała kulturowo najpierw postkomunistów, a potem falę wioskowych cwaniaczków, jaką była PO Tuska, i przy okazji jeszcze Palikota – po czym, sama w międzyczasie skolonizowana przez „Krytykę Polityczną”, wszystkich po kolei wciągnęła, jak w czarną dziurę, w lewicową niewybieralność. Gdyby ziścił się czarny sen Michnika i komuna po rozwiązaniu PZPR poszła w Meczaryzm/Moczaryzm, gdyby zamiast na „europejskość” mierzoną liczbą piór w zadku i intensywnością kręcenia nim na platformie „parady równości” postawiła na gomułkowski, „ludowy” patriotyzm z nutką PRL-owskiej pruderii – toby pewnie rządziła do dziś. Popularność PO też załamała się wskutek ostrego skreśtu w lewo, wywołanego ubieganiem się przez Tuska o posadę w Unii, ale potem kontynuowanego przez Ewę Kopacz już zupełnie bezrefleksyjnie.

Pisałem to tyle razy, że aż nie chce mi się powtarzać: w Polsce, gdzie nawet zagorzali ateści myślą po katolicku, co najwyżej starają się robić to na odwrót, lewica czerpiąc wzory z anglosaskich campusów nigdy nie wyjdzie z marginesu. Tłumaczyłem to wielokrotnie – w przeciwieństwie do protestantów, łatwo wpadających w związek z grzechem w histerię, my wszyscy wywodzimy się z katolickiej, chłopskiej, zdroworoządkowej kultury, w której nie ma takiego grzechu, którego by się nie dało wypowiadać, choćby przyszło sfinansować proboszczowi miedzianą blachę na kościół. Pederastia była tu, jest i będzie tematem żartów, a nie polityki, „wyzwolenie seksualne” czy „prawa reprodukcyjne” – przepustką do Tworek, nie parlamentu, a antyklerykalizm skupia się na marce samochodu księdza, a nie na jego kazaniach. Lewica obyczajowa, feministyczno-gejowska nie ma tu i nigdy nie będzie miała szans. Zauważył to ostatnio nawet tak niekumaty jej teoretyk jak Jan Sowa – na szczęście jego diagnoza została w środowisku odrzucona z wielkim krzykiem i oburzeniem. I Bogu dzięki.



Łukasz Warzecha

III RP nie widziała jeszcze tak groteskowej, spektakularnej i całkowitej klęski wizerunkowej jak działalność Polskiej Fundacji Narodowej

Sam pomysł wydawał się świetny: zrobić obowiązkową zbiórkę wśród kilkunastu spółek Skarbu Państwa, które – zarządzane przez ludzi dobrej zmiany – czują się w obowiązku współfinansować nową politykę historyczną i wizerunkową Polski, dołożyć paru ludzi, z których przynajmniej jeden ma doświadczenie w podobnej pracy – i voilà. Co może pójść źle? Jak się okazuje – wszystko. Dzieje Polskiej Fundacji Narodowej przypominają serię duńskich kultowych filmów o gangu Olsena. Tam bohaterów

okoła świata, nawet na materacu, a nie na jachcie – nie zaliczyłaby prawdopodobnie takiej wtopy, która zaważyła na jej całym późniejszym obrazie.

Kampania „Sprawiedliwe sądy” objawiła się na billboardach oraz w Internecie. Wówczas zaczęto zadawać całkiem uzasadnione pytanie: Dlaczego fundacja, która za pieniądze, w gruncie rzeczy publiczne, miała dbać o nadszarpywany wizerunek Polski za granicą, zajmuje się sądami, swoją kampanią, wpisując się w wewnętrzny konflikt polityczny, i to nawet w ten wewnątrz obozu władzy (prezydent kontra Zbigniew Ziobro)? Ponadto zwrócono uwagę na dość sierniowy przekaz wspomnianej kampanii.

Okazało się też, że PFN skonstruowała swoje przesłanie jak Radio Erewań z serii PRL-owskich dowcipów. Jedno z haseł mówiło np. o pedofilu, którego miał wypuścić sąd w Świdnicy. Tymczasem zajmował się nim nie sąd w Świdnicy, tylko we Wrocławiu, i nie wypuścił go, ale próbował znaleźć zakład zamknięty, gdzie przestępca, chory na stwardnienie rozsia-

samokrytycznego. Świrski siedział przed Mazurkiem w studiu, gmerał przy paznokciach, względnie patrzył gdzieś po ścianach i odpowiadał na zasadne oraz celne pytania z największą niechęcią, arogancją i ze znudzeniem. Wyglądało na to, że uważa za zniewagę sam fakt, iż ktokolwiek śmie go o cokolwiek pytać.

Na PFN spadła pierwsza fala krytyki, ale wtedy wicepremier Gliński po raz pierwszy odezwał się w obronie fundacji, mówiąc, że jest ona autonomiczną organizacją, a skoro w statucie ma obronę polskiego wizerunku, to mogła go bronić również poprzez kampanię „Sprawiedliwe sądy”.

Tymczasem nadciągały ciężkie dla nas czasy za sprawą nowelizacji ustawy o IPN, co wypadło akurat na początek urzędowania nowego premiera. Gdy z mnożącymi się oszczerstwami pod adresem Polski i Polaków próbowało walczyć internetowe pospolite ruszenie, PFN była wielkim nieobecnym.

Chociaż nie – to stwierdzenie niesprawiedliwe. Po pierwsze bowiem, fundacja

Wizerunkowy

było trzech: Egon, czyli sam Olsen, Kjeld i Benny. Tak się składa, że zarząd PFN do niedawna też był trzyosobowy: Cezary Jurkiewicz, Maciej Świrski i Antoni Kołek (niedawno zrezygnował).

ZOHYDZANIE SĘDZIÓW

PFN istniała sobie od powołania w 2016 r. po cichutku do momentu, gdy zapadła decyzja, że wspomógł rząd w zmienianiu systemu sądownictwa. Fundacja wzięła do współpracy firmę Solvere, założoną przez speców od wizerunku, którzy wcześniej pracowali w kancelarii premiera. Ci pomyśleli najprościej. Jak obrzydzić Polakom sędziów? Pokazać, że to banda żuli, złodziei, drobnych bandziorów i że dopiero po rządowych reformach sędziowie w magiczny sposób staną się prawi i sprawiedliwi.

Gdyby PFN na spektakularny debiut wybrała sobie jakieś inne przedsięwzięcie – ot, choćby nawet nieszczyśny rejs do-

ne, mógłby być leczony. Takiego zakładu nie znaleziono. Inna historyjka – o sędzim, który ukradł kielbasę, a potem miał mieć wypadek po pijanemu i mimo to pozostać bezkarny – okazała się niemal całkowicie zmyślona. Sędzia, owszem, ukradł, ale potem odszedł z zawodu, został skazany na rok więzienia w zawieszeniu, a poza tym od dawna nie żyje.

Wszystko to, w połączeniu z wiedzą o budżecie PFN, sięgającym ćwierć miliarda złotych, oraz o wynagrodzeniach zarządu bliskich 20 tys. zł miesięcznie, skierowało po raz pierwszy zainteresowanie mediów na fundację.

Prawdziwym wejściem smoka był kultowy już wywiad Roberta Mazurka z wiceprezese PFN Maciejem Świrskim. Pokazał straszną prawdę o przemianie Świrskiego z nieco ekscentrycznego działacza pozarządowego w opłakanego sowicie aroganta, pozbawionego kompletnie zmysłu



co jakiś czas publikowała tweety na swoim koncie, które w momencie pisania tego tekstu obserwuje „oszałamiające” 3891 osób. Jego wersję angielską zaś – 461 osób.

Po drugie – fundacja opublikowała dwa internetowe spoty, szumnie nazwane „kampanią”, mające walczyć ze sformułowaniem „polskie obozy śmierci”, po czym szybko pochwaliła się ich zasięgiem na świecie. Zasięg ten – według PFN – miał wynosić prawie 180 mln osób. Fundacja twierdziła też, że w Izraelu „kampanię” odebrało prawie 8 mln ludzi. Z tym że cały Izrael ma 8,5 mln obywateli, a więc filmiki PFN musiały tam oglądać również noworodki i dziatwa przedszkolna.

Robert Mazurek wezwał na przesłuchanie tym razem wicepremiera Glińskiego, formalnie nadzorującego fundację. Na pytanie dziennikarza, czy PFN w ogóle pracuje, wicepremier zniecierpliwiony odpowiedział, że nie wie, a dowie się, jak dostanie roczne sprawozdanie.

Opinia publiczna też nie za bardzo mogła się dowiedzieć, jak swoje fundusze wydaje PFN, ponieważ zarząd fundacji

nieszczególnie chciał się tą wiedzą dzielić. Dziennikarz Polsatu Jan Kunert musiał iść do sądu administracyjnego. 10 kwietnia warszawski WSA orzekł, że fundacja nie miała prawa odmówić dostępu do tej informacji.

To wszystko jednak nic wobec największego jak dotąd osiągnięcia gangu Olsena z PFN: rejsu stulecia. Setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości miał sławić pływający po morzach i oceanach francuski jacht z Kuznierewiczem, byłym członkiem honorowego komitetu poparcia Bronisława Komorowskiego, na pokładzie. Zresztą Kuznierewicz nie tkwiłby na jachcie cały czas. Byłby jedynie dowożony na pokład na niektórych etapach rejsu.

Informacja o rejsie pojawiła się w chwili, gdy kampania oczerniania Polski sięgnęła zenitu. PFN zajmowała się wtedy tłumaczeniem, dlaczego jej pomysł na promocję Polski jest najlepszy i koniecznie trzeba go zrealizować. Kiedy jako swego rodzaju odprysk wątku polsko-żydowskiego pojawiła się sprawa Pomnika Katyńskiego w Jersey City, zarząd PFN był już z kolei za-

umowa gwarantowała, że wiceprezes PFN od początku do końca rejsu w ogóle nie zejdzie z pokładu.

Zabawa szykuje się przednia, bo PFN stwierdza, że utraciła zaufanie do Kuznierewicza, którego firma bankrutuje, a Kuznierewicz oznajmia, że firma bankrutuje, ponieważ PFN nie wywiązała się z umowy.

TARCZA GLIŃSKIEGO

Jest w tym wszystkim jeden niezgłębiony aspekt: postawa wicepremiera Glińskiego. Z niespożytych uporem broni sprawy ewidentnie przegranej. W lutym Gliński stwierdził, że ataki na PFN biorą się stąd, iż fundacja nie chce „rozdawać pieniędzy”. Atakują ją zatem ci, którzy ich nie otrzymali. Z kolei już po aferze z odejściem Kuznierewicza mówił wicepremier w programie „Warto rozmawiać”: – Absolutnie przeciwstawiam się tej krytyce i nagonce! To jest nagonka, moim zdaniem, częściowo inspirowana, żeby zniszczyć coś, co może być wartościowe.

Ta absurda, oderwana od rzeczywistości obrona PFN przez Glińskiego jest

gang Olsena

jęty rozstawianiem się z Kuznierewiczem, zdążył więc jedynie umieścić kilka wpisów na Twitterze w sprawie pomnika. Zresztą dopiero kilka dni po tym, jak prawdziwy szturm na burmistrza Fulopa przypuścili spontanicznie zebrani internauci.

Sytuacja z rejsiem stulecia przypomina scenę z serialu „Alternatywy 4”, gdy gospodarz bloku Stanisław Anioł zaczyna się niepokoić, że zarządzony przez niego kabaret lokatorski może się wymknąć spod kontroli. Oznajmia przeto, że kabaretu nie będzie (tu odzywają się przez chwilę oklaski), ale za to będzie chór. Świrski wyszedł do dziennikarzy jak Anioł do lokatorów i oznajmił, że wprawdzie Kuznierewicza nie będzie, ale rejs – który według ostrożnych szacunków miałby kosztować kilkanaście milionów złotych – się odbędzie. Kto wystąpi w roli głównego żeglarsza – nie wiadomo. Być może sam Świrski, co nie byłoby może złym pomysłem, gdyby odpowiednia

trudna do rozszyfrowania przy założeniu, że mamy do czynienia z osobą racjonalnie myślącą. Być może wicepremier czuje się w rządzie tak zmarginalizowany, że uznał, iż to jego ostatni bastion i jeśli tu się podda, to jego dni są policzone. Jednak efekt może być dokładnie odwrotny: gdy wyczerpie się ostatecznie cierpliwość premiera lub – co gorsza – Jarosław Kaczyński stwierdzi, że PFN jest zbyt poważnym obciążeniem wizerunkowym (tak jak niegdyś Bartłomiej Misiewicz), Gliński może polec ostatecznie.

Może nikt panu wicepremierowi tego nie powiedział, ale PFN pod obecnym zarządem w sensie wizerunkowym jest już martwa. Gdyby nawet zainicjowała najślusznieszy, najlepszy projekt – i tak zostanie wykpiiony. Tutaj nie ma już czego ratować. Chyba że Piotr Gliński zamierza zapisać się w historii jako reżyser nowej serii przygód Egon a i jego kolegów.



Burmistrz deweloperów



Wojciech Wybranowski

Steven Fulop cieszył się z pierwszych gejowskich ślubów i wspiera deweloperów powiązanych z finansowaniem swojej kampanii. Wiemy, dlaczego zmiękł w sprawie Pomnika Katyńskiego

Stevenowi Fulopowi, burmistrzowi Jersey City, który chce usunięcia z głównego placu w mieście Pomnika Katyńskiego, bo – jak twierdzi – „przeszkadza w realizacji inwestycji”, amerykańskie media zarzucały podejrzaną

życzliwość wobec wpływowych inwestorów budowlanych. A „Do Rzeczy” poznało kulisy negocjacji z nim w sprawie obelisku.

Steven Fulop, lewicowo-liberalny władarz Jersey City, wywołał polsko-amerykański skandal, zapowiadając usunięcie z parku w dzielnicy Exchange Place odsłoniętego tam w 1991 r. Pomnika Katyńskiego.

Przeciwko planom burmistrza protestują polskie organizacje polonijne, w tym Koalicja Amerykanów Polskiego Pochodzenia, przedstawiciele polskiej dyplomacji, m.in. ambasador prof. Piotr Wilczek, oraz Senatu, a także niektóre wpływowe środowiska żydowskie, m.in. liderzy Związku Gmin Żydowskich w Polsce.

Fulop dodatkowo podniósł temperaturę sporu, gdy komentując sprawę pomnika, nazwał marszałka Senatu RP

Stanisława Karczewskiego nacjonalistą i rewizjonistą Holocaustu.

– Burmistrz Jersey City to piąta liga amerykańskiej polityki, radykalny lewicowiec szczebla lokalnego. Cynicznie wykorzystuje sprawę pomnika do budowania swojej pozycji. Jego polityczne ambicje są znane, on po prostu robi sobie publicity naszym kosztem – mówi „Do Rzeczy” Andrzej Pawluszek, doradca premiera Mateusza Morawieckiego. – Niezwykle ważne są w tej sprawie oświadczenia organizacji żydowskich w Polsce, a także American Jewish Congress, bo pokazują, że antysemita karta, którą próbował grać burmistrz, jest po prostu fałszywa.

POD LEWĄ ŚCIANĄ

41-letni działacz Partii Demokratycznej Steven Fulop zarządzający blisko



FOT. REENA ROSE/SBRAWIN/AP/EAST NEWS

bezpieczeniu transportów, ujęć wody pitnej i misjach „logistycznych”.

Od 2005 r. był radnym w Jersey City, a w 2013 r. został burmistrzem. Już wtedy dał się poznać jako zwolennik legalizacji handlu marihuaną, a także zagorzały stronnik środowisk gejowskich. Jesienią ubiegłego roku pewnie wywalczył sobie reelekcję, zdobywając 78 proc. poparcia przy wsparciu lewicowo-liberalnych środowisk biznesowych, szczególnie związanych z branżą budowlaną, a także mniejszości seksualnych, etnicznych i religijnych. W październiku 2013 r., po zalegalizowaniu przez stan małżeństw homoseksualnych, Steven Fulop poprowadził pierwszą w Jersey City ceremonię „zaślubin” ośmiu par gejowskich. – Dzieje się piękna rzecz, naprawdę wspaniała. Mamy jedną z największych społeczności LGBT w tym stanie i od dawna opowiadam się za równością dla niej, w tym za równością małżeńską – mówił w rozmowie z portalem NJ.com.

Fulop postawił także na silne zbliżenie z mniejszością muzułmańską, m.in. ostro atakując Donalda Trumpa, gdy ten ostrzegał przed potencjalnym terrorystycznym zagrożeniem wśród muzułmańskich mieszkańców USA. Burmistrz nie szczędził też słów krytyki władzom oświatowym jednej z większych szkół w Jersey City, gdy te nie zgodziły się na zamknięcie placówki i udostępnienie szkolnego terenu na obchody muzułmańskiego święta Eid al-Adha. „Żydowski burmistrz Jersey City ma silne poparcie wśród muzułmanów” – komentował jesienią 2016 r. amerykański portal „The Forward”. Rok później muzułmańskie organizacje wsparły Fulopa w walce o reelekcję.

INWESTORZY, DEWELOPERZY...

Czy jednak w awanturze o Pomnik Katyński w Jersey City Stevenowi Fulopowi chodzi wyłącznie o polityczny PR, popularność w lewicowo-liberalnym elektoracie? Jak wskazuje nam osoba z polskiego MSZ, burmistrz Jersey City zdecydował się na usunięcie Pomnika Katyńskiego pod naciskiem organizacji o nazwie Exchange Place Alliance Special Improvement District skupiającej m.in. przedsiębiorców budowlanych i deweloperów. Organizacją kieruje Mike DeMarco, zarządzający także grupą biznesową Exchange Place mającą stworzyć park w miejscu, w którym dziś stoi monu-

ment. DeMarco jest także jednym z szefów firmy Mack-Cali, która – jak pisze NJ.com – sponsoruje kampanie Fulopa. W 2016 r., kiedy Steven Fulop rozważał jeszcze start na gubernatora New Jersey, spółka powiązana z Mac-Cali przekazała na ten cel 250 tys. dol.

Związki Fulopa i biznesmenów branży deweloperskiej budzą sporo wątpliwości w amerykańskich mediach. W 2016 r. portal Politico New Jersey informował, że wspierająca planowaną kampanię gubernatorską Fulopa [ostatecznie zrezygnował ze startu – przyp. red.] Coalition for Progress zebrała na to 3,2 mln dol., z czego prawie połowa pochodziła od przedsiębiorców prowadzących działalność w Jersey. „Spośród 58 darowizn o wartości 10 tys. dol. co najmniej 27 – o łącznej wartości 1,46 mln dol. – stanowią wkłady od firm z umowami z władzami Jersey City lub niezależnymi agencjami, deweloperami, którzy otrzymali długoterminowe ulgi podatkowe od miasta, spółek, których prawnicy regularnie występują przed zarządami i agencjami miejskim” – donosił portal.

Amerykańscy dziennikarze informowali, że wśród donatorów kampanii Fulopa był też Alex Soros, syn miliardera George’a Sorosa. Ofiarował 50 tys. dol. Sam Fulop po ujawnieniu tych informacji w mediach przekonywał, że nie dostał tych pieniędzy, gdy zrezygnował z wyścigu o fotel gubernatora.

Z kolei w trakcie kampanii samorządowej w 2017 r. Politico New Jersey dotarło do zarejestrowanego prawdopodobnie w 2014 r. i trwającego 13 sekund nagrania, na którym dwóch byłych doradców burmistrza, w tym Muhammed Akil (istotny członek sztabu wyborczego Fulopa w kampanii w 2013 r., a później ważny pracownik ratusza), prowadził rozmowę sprawiającą wrażenie próby „sterowania rozstrzygnięciem kontraktu miejskiego”. Chodziło o wybór firmy mającej przeprowadzić dla miasta konsultacje w zakresie agregacji energii dla mieszkańców Jersey City. Portal pisał też, że po ujawnieniu kontrowersyjnej taśmy i ostatecznie zwolnieniu Muhammeda Akila z pracy w magistracie, burmistrz nie zerwał z nim kontaktów i kilka razy przelewał pieniądze założonej przez Akila firmie, m.in. z tytułu wynajmu nieruchomości i „opłaty konsultingowej”. A z Muhammedem Akilem, człowiekiem, który przez lata odgrywał istotną rolę w kampaniach

300-tysięcznym Jersey City nie należy do osób powszechnie znanych w Stanach. Urodzony w rodzinie żydowskich emigrantów z Rumunii, w dzieciństwie uczęszczał do słynnej ortodoksyjnej szkoły żydowskiej Rabbi Pesach Raymon Yeshiva. „Historia Stevena Fulopa jest tak głęboko amerykańska i tak w pełni żydowska, jak mogłaby być historia tylko jednej osoby, ale – jest to nasza XXI-wieczna wersja wielkiego amerykańskiego snu” – pisał o nim „The Jewish Standard” w 2014 r. w artykule „Chłopak stanu New Jersey”.

Po ukończeniu szkoły średniej studiował m.in. na Uniwersytecie Binghamton oraz uniwersytecie oksfordzkim. Pracował dla firm Goldman Sachs i Sanford C. Bernstein & Co. Zaraz po terrorystycznych atakach na World Trade Centre 11 września 2001 r. wstąpił na ochotnika do Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych i w styczniu 2003 r. już jako żołnierz Batalionu Wsparcia Inżynieryjnego trafił na pół roku do ogarniętego wojną Bagdadu. Na Bliskim Wschodzie Fulop uczestniczył m.in. w za-

■ obecnego burmistrza Jersey, wiąże się jeszcze jeden skandal – kilka lat temu lokalne media ujawniły taśmę, na której Akil w obraźliwy sposób wypowiadał się o białych ludziach, mówiąc m.in., że „każdy biały ma w sobie małego Hitlerka”.

Sam Fulop też musiał się już tłumaczyć z nieprzemyślnych wypowiedzi, m.in. z tweeta, w którym wyśmiewał architekturę sąsiedniego miasteczka Bayonne. Członkowie władz Bayonne zażądali przeprosin. Kiedy wybuchła awantura o Pomnik Katyński, burmistrz Bayonne – Jimmy Davis – skrytykował Fulopa i ogłosił, że zarządzane przez niego Bayonne z przyjemnością przejmie monument i uhonoruje ofiary, stawiając obelisk w godnym miejscu na swoim terenie.

Jesienią ubiegłego roku „The Jersey Journal” pisał, powołując się na anonimowych informatorów, że agenci FBI przesłuchują pracowników kierowanego przez Fulopa urzędu miasta, pytając ich m.in. o praktyki deweloperskie w Jersey City. – Widzimy, że to czas wyborów z bezimiennymi bezpodstawnymi oskarżeniami motywowanymi politycznie – oburzała się wówczas rzeczniczka miasta Jennifer Morrill.

KULISY NEGOCJACJI Z BURMISTRZEM

W ubiegłym tygodniu buńczuczny do tej pory Fulop wysłał do organizacji polonijnych pismo, w którym zaproponował rozmowy w celu przywrócenia Pomnika Katyńskiego na jego miejsce po renowacji placu lub znalezienie innej lokalizacji. „Mogę jednak zadeklarować, że pomnik będzie stał w miejscu publicznym w godnej lokalizacji” – napisał.

To efekt rozmów, które przeprowadzili z nim Ireneusz Lubaczewski, dyrektor wykonawczy Polsko-Amerykańskiej Izby Handlowej, oraz Douglas Palmer, polityk Partii Demokratycznej, były przewodniczący konferencji burmistrzów amerykańskich. Obaj zostali poproszeni o reprezentowanie w tej sprawie polskich władz. „Do Rzeczy” poznało kulisy spotkania, które zaowocowało wycofaniem się Fulopa na kompromisowe stanowisko. Decydującą rolę miał w tym odegrać właśnie Palmer, dobry znajomy nie tylko Lubaczewskiego, lecz także przyjaciół Fulopa. To właśnie Palmer jest osobą, która wprowadzała Fulopa na salony Partii Demokratycznej. To też



Pomnik Katyński ma pozostać w Jersey City. Niewykluczone, że będzie nadal stał w tym samym miejscu. FOT. FOTOLIA

człowiek bardzo życzliwy Polsce – był burmistrzem Trenton dzięki głosom licznej tam Polonii. – Poznał dobrze Polaków w trakcie swojej kadencji, Polacy budowali jego dom. Polskich przyjaciół ma włoska żona Palmera – mówi nam jeden z naszych informatorów. Były burmistrz Trenton jest jednym z liderów środowiska Afroamerykanów w Jersey City, które stanowi też ważne zaplecze wyborcze Stevena Fulopa.

Już w trakcie spotkania miało się okazać, że Fulop przed decyzją o usunięciu pomnika miał szukać kontaktów wśród Polonii, swoim rozmówcom pokazywał kilka wysłanych przez siebie wcześniej e-maili do organizacji polonijnych, które pozostały bez odpowiedzi. Jednak pokazywał też prze-

tłumaczone na angielski internetowe wpisy Polaków pod jego adresem, które zawierały antysemityczne treści. To one miały wywołać emocjonalne reakcje burmistrza Jersey City.

– Musieliśmy dołożyć starań, by zmienić jego negatywne nastawienie do Polski wywołane właśnie przez te wpisy, a ich autorami byli niekiedy niestety polscy radni. Douglas Palmer, którego zdanie Fulop sobie bardzo ceni, ręczył za Polaków i przekonywał, że nie są antysemitami. Tłumaczył też burmistrzowi Jersey, dlaczego Pomnik Katyński jest dla Polaków ważny, użył porównania do znaczenia, jakie dla Amerykanów ma upamiętnienie Pearl Harbor – mówi nam Ireneusz Lubaczewski. I dodaje: – To było dobre spotkanie, które pokazało, że wiele złych emocji wynikało z braku wcześniejszych rozmów, niezrozumienia i że nie są to problemy, których nie da się kompromisowo rozwiązać. Steven Fulop chce ten kompromis w sprawie pomnika znaleźć.

Przedstawiciele strony polskiej i burmistrz Jersey umówili się na kolejne rozmowy. – Fulop zasugerował, że może Polonia sama zaproponuje miejsce, w którym pomnik mógłby stanąć, tłumacząc, że obecnie znajduje się w pobliżu moła, na którym regularnie odbywają się imprezy i festyny, więc siłą rzeczy ktoś może nawet nieświadomie ważny dla nas pomnik sprofanować – opowiada nasz rozmówca. Dodał też, że zgodnie z deklaracją burmistrza rewitalizacja Exchange Place zacznie się w miesiącach „posezonowych”, a więc czasu na przedyskutowanie sprawy jest jeszcze dużo.

Niezależnie od tych rozmów sąd federalny zdecydował, że Pomnik Katyński nie może zostać przeniesiony do 29 maja. To efekt pozwu, który w sprawie działań burmistrza złożył nowojorski adwokat Sławomir Platta. A grupa kilku opozycyjnych radnych Jersey City wezwała burmistrza Stevena Fulopa do „przeemyślenia swojego stanowiska” w sprawie Pomnika Katyńskiego. Według nieoficjalnych informacji, do których dotarło „Do Rzeczy”, polskiej stronie udało się m.in. przekonać do obrony pomnika także osoby związane z głośną w Stanach ortodoksyjną grupą chasydzką Chabad Lubawicz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE ROZMOWĘ Z MATTHEW TYRMANDEM NA STR. 116.



Splendor przywrócony



Joanna Bojańczyk

Krakowskie Przedmieście odzyskało kolejny klejnot. Hotel Europejski, symbol XIX- i XX-wiecznej Warszawy, otwiera się lada dzień – teraz w superluksusowej sieci Raffles Hotels & Resorts

Takie hotele tworzą legendę miasta – nowojorski Waldorf Astoria, paryski Ritz. Odbudowana z ruin Warszawa potrzebuje tego jak mało które miasto. Amerykański magazyn „Vogue” zaanonsował już Europejski – który wraca do życia po pięcioletnim remoncie z pięciogwiazdkowym wypo-

sażeniem – jako atrakcję turystyczną Polski. A krajowa redakcja „Vogue’a” tu właśnie będzie miała swoją siedzibę.

106 pokoi i apartamentów, restauracja, bar, grill, spa z basenem, klub fitness, palarnia cygar, cukiernia Lourse’a – kultowy lokal przedwojennej Warszawy. We wnętrzach wykonane rękodzielniczo

meble art déco oraz współczesne dzieła sztuki z kolekcji 500 polskich artystów wybrane przez Andrzej Rottenberg i Barbarę Piwowarską. Do dyspozycji gości będą hotelowe limuzyny i usługi kamerdynera. Gdyby goście chcieli pogłębić wiedzę z historii sztuki, mogą skonsultować się z art concierge’em, który przedstawi im najciekawsze obiekty i zaproponuje wystawy w warszawskich muzeach i galeriach.

Byłam w Europejskim przed oficjalną premierą, jako pierwsza dziennikarka, która mogła zwiedzić hotel. Menedżerowie nie chcieli odkrywać wszystkich kart przed otwarciem, które ma nastąpić 17 maja, więc proszono mnie, by nie ujawniać szczegółów wystroju. Szkoda, ■



■ bo wewnątrz jest imponujące. Sądzę, że niewiele światowych hoteli będzie mogło mu dorównać. Supernowoczesne, z ukłoniem w stronę tradycji i historii, otwarte na świat, ale też w jakiś sposób czerpiące z polskiej tradycji.

29 hotelowych pokoi jest w podstawowym standardzie Deluxe, 40 w kolejnej kategorii Raffles. Ceny: od 1080 zł i 1280 zł za noc. Deluxe o powierzchni od 40 do 45 mkw. są największymi pokojami w podstawowej kategorii na warszawskim rynku. Kto lubi przestrzeń, ten może zamieszkać w Apartamentach Junior (od 2780 zł), Grand i Signature (od 3980 zł), w których oddzielono strefę sypialną od dziennej. Można przyjmować gości bez obawy o niepościelone łóżko.

Perłami w koronie obiektu są Apartamenty Raffles i Prezydencki – każdy o powierzchni prawie 300 mkw. Cena: od 16 280 zł za noc. Wyposażone w meble wykonane na zamówienie, posiadają wiele odniesień do polskiej historii i sztuki. Częścią Apartamentu Prezydenckiego jest historyczna Sala Pompejańska, która została uwieczniona w powieści „Lalka” Bolesława Prusa.

240 POKOI

– Cieszę się, że ta inwestycja jest wsparciem dla sztuki i kultury kraju, który podziwiam – mówi Vera Michalski-Hoffmann, inwestorka, główna akcjonariuszka spółki H.E.S.A., która Europejski odbudowała, spadkobierczyni farmaceutycznej fortuny Hoffmann La Roche, założycielka wydawnictwa Noir sur Blanc, prezes międzynarodowej grupy wydawniczej Libella, popularyzatorka polskiej literatury w Europie. Za działalność na rzecz kultury polskiej została uhonorowana

Orderem Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, Odznaką Honorową „Zasłużona dla Kultury Polskiej” i Odznaką Honorową „Bene Merito”.

– Hotel Europejski znam od dawna. Kiedy przyjeżdżałam do Polski jeszcze w czasach PRL, przychodziliśmy tu na obiad – powiedziała mi pani Michalski-Hoffmann w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” w roku 2011. – Była świetna kuchnia, którą nasze dzieci bardzo lubiły. Słynny kotlet de volaille. Kiedy skontaktowali się ze mną członkowie rodziny,

W dwudziestolecie międzywojennym Europejski utrzymał status jedyne go luksusowego hotelu w kategorii międzynarodowej

dawni właściciele – Czetwertyńscy i Przeździeccy – i zapytali, czy mogłabym uczestniczyć w finansowaniu odbudowy, zgodziłam się. Zachwyliła mnie myśl o przywróceniu temu budynkowi jego dawnego splendoru. Podobnie jak w XX w. Polska staje się ważnym węzłem łączącym zachód i wschód Europy.

Jak pisze Jarosław Zieliński w „Atlasie dawnej architektury ulic i placów Warszawy”, Hotel Europejski powstał w roku 1857 jako wspólne przedsięwzięcie rodzin Przeździeckich i Pusłowskich. Pierwsze dwa skrzydła wzniesiono według projektu Henryka Marconiego, potem gmach rozbudowano pod kierunkiem Marcellego Berendta. Był pierwszym wielkim, 240-pokojowym no-

woczesnym hotelem w Warszawie, nieustępującym klasą architektury najnowszym hotelom francuskim i angielskim. Elewacje w stylu renesansu włoskiego nawiązywały do pałaców rzymskich. Imponującą Salę Restauracyjną ozdobiły wielkowymiarowe lustra, stiuki projektował Leandro Marconi, freski – Karol Marconi. Salę Bankietową ozdobiły wymalowane na ścianach sceny myśliwskie i biesiadne, nad Salą Pompejańską znajdował się salon wystaw sztuki.

Hotel od razu stał się sercem życia kulturalnego, politycznego oraz towarzyskiego miasta. Na górze zainstalowały się pracownice artystów: Józefa Chełmońskiego, Adama Chmielowskiego (św. brat Albert), Stanisława Witkiewicza, poselstwa Belgii i Hiszpanii.

Na początku XX w. częściowo zmodernizowano wnętrze, zainstalowano dwie dodatkowe windy elektryczne, a najdroższe apartamenty na pierwszym piętrze urządzono w stylu modnego francuskiego rokoka i klasycyzmu – stylach Ludwika XV i XVI.

TYLKO DLA RZĄDOWYCH

W dwudziestolecie międzywojennym Europejski utrzymał status jedyne go luksusowego hotelu w kategorii międzynarodowej. Gościł polityków, monarchów, arystokratów. Podczas karnawału urządzano w nim bale (gospodarzami jednego z nich, w styczniu roku 1926, byli wujostwo piszącej tej słowa: malarz Witold Leonhard i jego żona Alicja). We wrześniu 1939 r. gmach został nieznacznie uszkodzony i podczas okupacji pełnił swoje funkcje, ale mieszkać w nim mogli tylko Niemcy. Krakowskie Przemieście było dostępne tylko dla Niemców.

W 1944 r. został zburzony i spalony. Po wojnie odrestaurowano tylko sale Malinową i Balową. Zanim wszedł w życie dekret Bieruta upaństwowiający wszystkie warszawskie nieruchomości, właściciele urządzili tam ostatni utrzymywany w przedwojennych polskich tradycjach Bal Noworoczny. Potem w Europejskim zainstalowała się Wyższa Szkoła Wojskowa. Dopiero po „odwilży” w latach 1957–1962 podjęto kolejną przebudowę i wtedy budynek przejął przedsiębiorstwo Orbis. Tygodnik „Stolica” cieszył się, że ma powstać „hotel dla delegacji rządowych i indywidualnych turystów z zagranicy”. Pod podwórzem będzie „podziemny garaż na 30 wozów”, a „każdy pokój zaopatrzony będzie

w osobną ubikację i łazienkę". Jednak przeznaczono go tylko dla turystów z Zachodu. Nawiązanie do przedwojennych tradycji sprawiło na szczęście, że nowo otwarty Hotel Europejski pod zarządem Orbisu znów stał się atrakcyjnym miejscem, goszcząc zagranicznych dygnitarzy i gwiazdy, np. Roberta Kennedy'ego czy zespół The Rolling Stones. Lokalsi mieli prawo głównie do kawiarni, barku kawowego, który znajdował się na rogu Krakowskiego Przedmieścia, i słynnej nocnej knajpy Kamieniołomy, uwiecznionej w licznych anegdotach, w opowiadaniach Janusza Głowackiego i Marka Nowakowskiego.

NÓŻKI W GALARECIE

Po transformacji potomkowie ostatnich akcjonariuszy spółki H.E.S.A. rozpoczęli walkę o odzyskanie praw do nieruchomości. Udało się to dopiero po 14 latach – w 2005 r.

Przywrócenie gmachu do stanu jego dawnej świetności zajęło kolejne lata. Kiedy jeszcze był w rękach Orbisu, ale już było wiadomo, że po prywatyzacji wróci w prywatne ręce, zaniechano remontów. Budynek pogrążył się w zapuszczeniu,

strasząc poczerńiałymi tynkami. Pokoje można było wynająć niezbyt drogo, a goście mogli upajać się ostatnim skansenem PRL-owskiego luksusu – wiśniowymi obiciami, maszynowymi nieźle już wytartymi dywanami i zdezelowanymi łazienkami. Dla cudzoziemców te resztki dawnego splendoru były nawet swoistą atrakcją...

Po wycofaniu się ostatnich gości budynek służył jako prowizoryczna przechowalnia dla firm, które zaczynały, i tych, które się już zwijały. W oczekiwaniu na przywrócenie dawnego splendoru zorganizowano bal na przełomie lat 2009 i 2010. Przez jakiś czas na rogu ulic Ossolińskich i Krakowskiego Przedmieścia funkcjonował słynny bar Przekąski Zakąski, gdzie można było na stojąco wypić kieliszek wódki, zakąszając porcją nóżek w galarecie. Ten ludowy zestaw serwowany na eleganckim Krakowskim Przedmieściu zyskał od razu status kultowego.

Prace projektowe już w roku 2010 zaczęło prowadzić znane biuro SUD Architects. Wnętrza opracowali pracownia WWA Architektki, scenograf Boris Kudlička i hiszpańskie biuro Lazaro Violan. Jaki miał być budżet inwestycji i jaki okazał się po zakończeniu, nie ujawniono.

Jednak wiadomo było, że kilka zubożałych polskich rodzin arystokratycznych, które tworzyły spółkę H.E.S.A., nie będzie w stanie podołać gigantycznym kosztom doprowadzenia gmachu do stanu odpowiadającego standardom nowoczesnego hotelarstwa.

W 2012 r. do grona właścicieli dołączyła Vera Michalski-Hoffmann, jako większościowy udziałowiec. – Długo poszukiwaliśmy inwestora, który potrafiłby zrozumieć naszą miłość do tego budynku oraz jego znaczenie dla polskiego dziedzictwa narodowego – opowiada Paweł Schmidt-Przeździecki, reprezentujący rodziny spadkobierców w spółce H.E.S.A.

Europejski, położony na Krakowskim Przedmieściu, najpiękniejszym trakcie Warszawy, między pl. Piłsudskiego, Pałacem Prezydenckim i Starym Miastem, ma wszystko, żeby stać się nie tylko przystanią dla zamożnych cudzoziemców, lecz także miejscem, do którego barów, cukierni i restauracji będą wpadać mieszkańcy. – Ten hotel zawsze był w centrum wydarzeń – mówi mi Andrzej Nowak, dyrektor administracyjny hotelu. – Tutaj krzyżują się emocje przeszłości i współczesności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m. in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet 25 zabiegów na 7 dni pobytu

- dwa badania lekarskie oraz badanie biomechaniczne postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 13.05 - 30.09.2018 r.

tel. **54 416 70 00**



Klinika Uzdrawiskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl



Mateusz Maranowski

Życie Moniki Lewandowskiej, nowej bohaterki mediów, ma być według „Newsweeka” argumentem za legalną aborcją

Piekło robicie sami



Kwietniowy poranek. Mam dzień wolny. Lekarz kazał mi odpoczywać, bo jestem przepracowany. Praca w dwóch redakcjach siedem dni w tygodniu. Kilka dyżurów nawet po 14 godzin dziennie. Musiało się skończyć zasłabnięciem i gorączką. „Leżeć i odpoczywać, ile się da”. No więc w ostatni wolny dzień przysnąłem na 20 minut, chociaż na nogach jestem od 5 rano.

Dzwoni telefon. Koleżanka proliferka.

– Czytałeś najnowszy „Newsweek”?

– Czytam, jak muszę. W pracy. Dzisiaj mam wolne.

– Przeczytaj artykuł o rodzicach niepełnosprawnych dzieci i powiedz, co myślisz. Właściwie to powinienesz zabrać głos w tej sprawie.

Słyszę płacz Juliana z drugiego pokoju. „Muszę kończyć. Zobaczymy”. Czas odpoczynku minął. Zaczęliśmy się śmiać z żoną ze zmęczenia, że „pospaliliśmy sobie”. Śmiech udawany, ale łzy prawdziwe. Jednak nie wolno mi zapomnieć, że mam jeszcze trzeci zawód, najważniejszy – bycie tatą Juliana z porażeniem mózgowym. Umordowani, lecinmy do jego pokoju, a tam rozdziawiona z radości buzia naszego synka. Skoro mam ten jeden dzień wolny, to żona mówi: „Idź ty z nim na spacer”. Nie mam siły, ale bez wahania mówię: „Nie ma sprawy!”.

Przed spacerem kupuję coś do jeżdżenia i tygodnik pana Lisa. W domu otwieram na stronie z tekstem „Piekło narodzonych” Pawła Reszki). Ogromne zdjęcie. Piękna Ola. Cudownie uśmiechnięta. Jej mama – przepiękna kobieta w cudownie dobranych okularach. Także sprawiająca wrażenie szczęśliwej. Na końcu dopiero zauważyłem wózek inwalidzki jej córki. Przesuwam wzrok na tytuł: „Piekło narodzonych”. Wracam do zdjęcia. Znowu patrzę na tytuł. Coś tu nie gra. Czytam... i już nic nie zagrało do końca.

Bohaterką tekstu Pawła Reszki jest Monika Lewandowska (nie, nie jej córka Ola), która „zasłynęła” otwartym listem do działaczki pro-life Kai Godek. Pierwsze wrażenie – porażające, bo tekst o Oli rozmija się z tym, co zobaczyłem na zdjęciu. Z niego zapamiętałem pampersy, odchody, wymioty, nadludzką pracę w domu i brak światła. Do tego pretensje i roszczenia. Do kogo? Do wszystkich. Od Kai Godek zaczynając, przez państwo, do samego Boga i Kościoła.

Żeby wszystko poukładało się w głowie, musiałem wrócić do lektury otwartego listu pani Moniki do Kai Godek.

WINNA NR 1 – KAJA GODEK

A w tym liście znowu: pampersy, roszczenia, płacenie za wszystko z wła-

snej kieszeni i zamknięty świat, do którego nikt nie puka i w którym wszyscy odwracają wzrok. Pośrodku Kaja Godek, która postawiona pod ścianą ma sama „zapropionować, kiedy może ich wesprzeć w opiece nad Olą”. W innym wypadku wyjdzie na hipokrytkę, która rozsiada się w studiach telewizyjnych, ale odpowiedzialności za te dzieci to już nie weźmie. Z jednej strony potrzeba empatii i zrozumienia, z drugiej – medialny szantaż.

Nigdy od nikogo nie oczekiwałem, że będzie opiekował się moim synem. Oczywiście było, że decydując się na dziecko, biorę pełną odpowiedzialność za jego życie. Jakie by nie było. A życie każdego z nas jest czasem splotem wydarzeń bardzo traumatycznych, takich jak wypadki, które niszczą zdrowie. W życiu Oli też wydarzył się wypadek. Urodziła się w 26. tygodniu ciąży, co spowodowało ciężkie uszkodzenia mózgu.

Nasz syn Julian też miał wcześniej wypadek (23. tydzień ciąży). Nikt nas nie pytał o zdanie, czy usuwać, czy nie usuwać – wyboru nie było. Zadaję sobie więc pytanie, z jakiego powodu pani Monika zabiera głos w sprawie aborcji i pisze do Kai Godek?

Myli problem aborcji z eutanazją – a to już porażające.

WINNE NR 2 – PAŃSTWO

Od dłuższego czasu chcę spełnić jakieś jedno marzenie żony. Niestety, wszystko pochłaniają kredyt i oszczędności. Zbieramy na operację Jula w USA. Koszt – tyle co dobre mieszkanie w Warszawie. Nie mamy czasu nawet, by gotować w domu. Opiekunka? Pomoc domowa? To nawet nie jest w sferze marzeń.

Pani Monika żyje inaczej. Modne ubrania, samochody, dom jednorodzinny i zestaw sprzętu dla Oli. Marzenia Lewandowskiej co do instytucji państwa nie są do końca sprecyzowane. Ola chodzi do szkoły specjalnej, gdzie otaczają ją „nauczyciele pasjonaci”.

Na łamach tygodnika mówi, że „jeśli kažemy – jako państwo – rodzić niepełnosprawne dzieci, to musimy być gotowi na wzięcie odpowiedzialności za nie: finansowej, socjalnej, bez względu na wiek dziecka i status majątkowy rodziców”. A na czym ma polegać odpowiedzialność rodziców?

Państwo rzeczywiście nie opiekuje się nami i to jest skandal. Ustawa „Za życiem” w tysiącach przypadków po prostu nie działa. Państwo traktuje nas jako koszt, a nie inwestycję, i ta optyka musi się zmienić. Nic jednak nie usprawiedliwia i nie daje moralnego przyzwolenia na masowe wysyłanie ludzi na śmierć tylko dlatego, że opiekunowie czują się sfrustrowani, zmęczeni i nie są otoczeni opieką psychologiczną oraz finansową.

WINNI NR 3 – BÓG I KOŚCIÓŁ

„Czy Kościół pani pomógł? Zupełnie nie”. Nie? Kilka akapitów wcześniej czytamy: „Poznałam księdza Kubę, który prowadzi wspólnotę dla niepełnosprawnych. Uzmysłowił nam, że córka powinna opuścić dom rodzinny, gdy dorośnie. Ja wcześniej nie dopuszczałam takiej myśli. Traktowałam to jako pozbycie się, oddanie. Dopiero ksiądz wytłumaczył, że Ola powinna spędzać dorosłe życie z ludźmi jej podobnymi. Niech słucha disco polo, niech będzie tam szczęśliwa. A ja, wraz z resztą rodzin, będę uczestniczyć w życiu wspólnoty, wspierać ją, odwiedzać”. Podpowiódź i rozwiązanie to dla Lewandowskiej zupełne nic. Kościół najczęściej jest oczywiście w takich sytuacjach problemem, bo zamiast powiedzieć, że niepełnosprawny niszczy życie rodzinne, i dać rozwiązanie, jak

spełniać swoje własne potrzeby, myśli o potrzebach umysłowo chorego, który jest zamknięty w swoim świecie. Co gorsza, mówi o jego godności i świętości życia, ale jeśli za świętość uważamy dobry wyrafinowany jazz czy muzykę klasyczną zamiast słuchania disco polo, które uwielbia nasze chore dziecko, to może być kłopot.

Z Bogiem idzie dużo łatwiej, bardzo łatwo Go obwiniać. Pierwszym kłopotem jest to, że Pan Bóg nie jest automatem na monetę. Powinien być na naszych usługach. Dziecko miało umrzeć, a żyje. Do tego Pan Bóg uczynił z życia piekło i uwięził rodzinę na 17 lat przy Oli. Słowa „uwięził” używam celowo, ponieważ Pan Bóg niejako zmusił panią Monikę do kochania Oli. Tu cytat: „Kocham ją [...], bo nie mam wyjścia”.

Mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że nie musimy kochać Juliana. Naprawdę. Nikt nam nie przykuł do nogi kuli z napisem: „Miłość”. Co więcej, wyda mi się, że do miłości nie da się nikogo zmusić. Moja żona może jeszcze dzisiaj się spakować i zostawić mnie i Julka, a ja będę na nią czekał. Ona jednak zostaje. Bo dzień w dzień wybieramy miłość ze wszystkimi jej konsekwencjami. Pani Lewandowska skazana jest na „miłość”, ale nie akceptuje jej następstw. Zastanawiam się więc, kto w tym przypadku „chce wejść w kompetencje Pana Boga, ale bez żadnych konsekwencji” (fragment listu do Kai Godek).

Lewica nie zauważa tytanicznej pracy Kościoła, który działa na rzecz osób niepełnosprawnych. Jest naprawdę dużo instytucji kościelnych, które zajmują się takimi osobami. Trzeba bardzo silnej woli, żeby „mijać się” z nimi.

DO „NEWSWEEKA”

Przyzwyczałem się, że media spod znaku Tomasza Lisa mają skłonność do reprezentowania osób, które tego sobie nie życzą. Ciągłe słyszymy o „środowiskach kobiecych” i „proteście kobiet”. A czy mógłby mi ktoś wyjaśnić, kim jest pani Lewandowska, żeby miała być reprezentatywna i mówić w imieniu nas wszystkich? Mam te same problemy, a zupełnie inaczej odbieram świat i realia, w których się znajduję. Ja i setki innych rodziców (tak, też do mnie piszą e-maile i SMS-y) niepełnosprawnych dzieci jesteśmy i żyjemy. Wiem, że powinniśmy nie mieć zęba na przedzie i być zaniedbani, ale jakoś dajemy radę. Musimy. Bo chcemy

mieć swoje niebo narodzonych i rozumem, że ta przepaść boli.

DO MONIKI LEWANDOWSKIEJ

Nie jestem w stanie zrozumieć motywacji zabrania przez panią głosu w tej sprawie i zaatakowania Kai Godek, mnie i tysięcy Polaków, którzy podpisali się pod ustawą „Zatrzymaj aborcję”. Uważa pani, że nie jest zwolenniczką aborcji, ale być może nie do końca pani rozumie, że właśnie została pani cynicznie wykorzystana do celów politycznych, które reprezentują „Newsweek” i „Gazeta Wyborcza”. Została pani bohaterką wszystkich tych, którzy chcą wysłać takie dzieci jak Ola na śmierć.

Czytając pani zwierzenia, widziałem oczami wyobraźni tylko utracone marzenia o normalnym życiu. Skąd ja to znam? Tydzień przed narodzinami Julka planowaliśmy wspólne dalekie podróże, bo rzadko bywałem za granicą. Chcieliśmy wylegiwać się na plażach. Kariera w telewizji stała otworem. W jednej chwili plaże zamieniły się w marzenie o 20-minutowej drzemce na kanapie. Podróże dookoła świata – w wypad do rodzinnej wioski pod Warszawą. A granie w piłkę – zwyczajnym chodzeniem albo chociaż kontaktem z dzieckiem. To wszystko jednak nie daje nam prawa do opisywania z naturalistyczną precyzją fizjologii naszych dzieci w imię wyładowania swoich frustracji. Ola i Julian mają taką samą godność jak my i mają prawo do prywatności. A co do marzeń? Było, minęło. Pozostaje mi zorganizować sobie niebo narodzonych w inny sposób.

Bóg dał mi i pani możliwości poznawcze dużo większe niż naszym dzieciom. Są też ludzie, którzy wiedzą więcej niż my. Jednak wszyscy mamy tę samą zdolność do kochania i w moim przekonaniu to jest istota ludzkiego życia. Musiałem dwa razy przeczytać tekst, żeby zauważyć, że Ola potrafi mówić „kocham”. Gdy to zrozumiałem, wydała mi się dużo bardziej pełnosprawna niż my wszyscy analizujący świat poprzez rozum. To samo czuję, gdy oczka mojego syna, które patrzą na świat przez jego plastikowe okulary, widzą więcej nieba niż inni w markowych oprawkach. Do nieba albo piekła nie wpadamy losowo. My sobie to wybieramy. Bo Bóg „dał nam wolną wolę, rozum, empatię i mnóstwo cech, które pozwalają KAŻDEMU CZŁOWIEKOWI NA WYBÓR”. Prawda?



Jean-Claude Arnault z żoną
Katariną Frostenson FOT. HENRIK
MONTGOMERY/SCANPIX/FORUM

Nobel z nadszarpniętą reputacją



Krzysztof Masłowski

W tym roku nie zostanie przyznana Literacka Nagroda Nobla. To efekt kolejnej seksafery, tym razem w szwedzkim, a dokładnie szwedzko-francuskim wydaniu

Sprokurował ją niejaki Jean-Claude Arnault, oskarżany przez 18 kobiet o molestowanie seksualne, w tym przez pięć o gwałt, przy czym szczególnie bulwersuje opinię publiczną zarzucane 71-letniemu dziś mężczyźnie napastowanie szwedzkiej księżniczki Wiktorii.

Arnault, fotografik i reżyser, jest mężem poetki Katariny Frostenson. Ma od niego sześć lat mniej, jest laureatką nagrody Rady Nordyckiej, otrzymała też francuską Legię Honorową, a do przyznającej literackie Noble Akademii Szwedzkiej została doko-optowana w 1992 r. w miejsce zmarłego Artura Lundkvista.

Skandal z mężem Katariny Frostenson uderzył również w Akademię Szwedzką, gdyż czyni, o które oskarżany jest Arnault, miały miejsce w lokalach Akademii – zarówno w Sztokholmie, jak i w Paryżu – a ponadto w prowadzonym przez niego elitarnym klubie Forum, do tego współfinansowanym przez Akademię Szwedzką. Wewnętrzne śledztwo wszczęte na tę okoliczność wykazało nieprawidłowości z tym związane. Zaraz też się okazało, że w tych miejscach następowały przecieki mające to samo źródło. Arnault ujawniał bowiem nazwiska kolejnych laureatów, co – jak wiadomo – co roku stanowi emocjonującą zagadkę, na której rozwiązaniu zarobić można niemałe pieniądze, gdyż bookmacherzy przyjmują zakłady „obstawiające” poszczególnych pisarzy, nieczym konie wyścigowe. Stwierdzono już, że w ten sposób wyprzedzono oficjalne komunikaty o przyznaniu nagród: Wisławie Szymborskiej, Haroldowi Pinterowi, Jeanowi-Marie Gustave Le Clezio, Patriczkowi Modiano, Swiatłanie Aleksijewicz i Bobowi Dylanowi.

Charakterystyczne, że początkowo wewnętrzne śledztwo w Akademii Szwedzkiej, zarządzane przez sekretarz Akademii Sarę Danius, obracało się przeciw niej. Wyglądało na to, że członkom Akademii

zależało wyłącznie na tym, by sprawę wyciszyć, co jednak – jak się okazało – było już niemożliwe. W efekcie Katarina Frostenson została zmuszona do dymisji, ale i Sary Demius, która na stanowisku sekretarza Akademii zastąpiła Petera Englunda, nie ma już w 18-osobowym gronie przyznającym nagrodę. Podobnie jak wspomnianego Petera Englunda i m.in. Klasa Östergrena, Kjella Espmarka oraz Sary Stridsberg. Pozostało 10 osób i jasne się stało, że w tej sytuacji konieczne są zmiany regulaminu (a tego może dokonać jedynie król) i powołanie Akademii Szwedzkiej na nowo. Zławsza że – jak dotąd – z członkostwa Akademii zwalniała jedynie śmierć.

Prezes zarządu Fundacji Noblowskiej, Carl-Henrik Heldin, stwierdził, że „decyzja o nieprzyznawaniu nagrody w tym roku podkreśla powagę sytuacji i pomoże chronić reputację Nagrody Nobla w dłuższej perspektywie”.

WARUNEK SINE QUA NON

Sęk w tym, że o reputacji tej trudno mieć specjalnie wysokie mniemanie. I nie chodzi tu o to, że nagroda w roku 2018 nie zostanie przyznana, a najprawdopodobniej w przyszłym roku wręczone zostaną dwie,

za rok bieżący i uprzedni. Zresztą mniejsza z tym. W historii przyznawanej od 1901 r. Literackiej Nagrody Nobla siedem lat jest pustych: 1914, 1918, 1935 i lata między rokiem 1940 a 1943. Borysowi Pasternakowi w 1958 r. Chruszczow nie pozwolił nagrody odebrać, sześć lat później Sartre ją odrzucił. Bob Dylan, laureat z 2016 r., też długo nie odbiera należnych mu 8 mln szwedzkich koron, bo nie chce mu się wygłosić wykładu noblowskiego, a jest to ponoć warunek sine qua non. Okazało się, że naprawdę wystarczyła łaskawa zgoda na przyjęcie dyplomu i medalu noblowskiego, a wykład Dylan może dostarczyć do 10 czerwca, np. w formie nagrania... Tylko z kim legendarny bard będzie się teraz spierał o szczegóły, skoro Akademii Szwedzkiej jako takiej nie ma.

Nobel literacki uchodzi za najbardziej kontrowersyjny, Pokojowa Nagroda Nobla skompromitowała się już bowiem tyle razy, że nikt chyba nie traktuje jej poważnie. Dość tu przypomnieć zupełnie kompromitujące ją laury dla Baracka Obamy w roku 2009, dosłownie za nic, ale żeby jakoś tę bzdurę uzasadnić, orzeczono, że nagroda ta przyznana została Obamie „za jego nadzwyczajne wysiłki na rzecz umocnienia

międzynarodowej dyplomacji i współpracy między narodami”. Literacka Nagroda Nobla jakoś się jeszcze broniła, choć w ostatnich latach obok wyróżnionego Mario Vargasa Llosy czy Alice Munro mieliśmy Elfriede Jelinek, Hertę Müller czy, powiedzmy, takich sobie autorów chińskich. Teraz czytamy przykre historie o ludziach, którzy o tych nagrodach decydują. W Polsce też ostatnimi czasy głośniejsze było o skandalach obyczajowych w środowisku pisarskim niż o nowych dobrych książkach. A wszystko to dzieje się w obliczu kryzysu czytelniczego. Trudno się mu dziwić, nie wziął się znikąd.

Nagroda Nobla pozostaje jednak jedynym ośmiotysięcznikiem wśród daleko niższych literackich wyróżnień, których codziennie przyznaje się w świecie co niemiara. Jednak Nobel jest jeden, bardzo rzadko dzielony na dwie lub trzy osoby, pomyłki przy jego przyznawaniu gonią jedna druga, nic więc dziwnego, że po latach łatwiej nam wskazać na poetów i prozaików, którzy tej wciąż najważniejszej nagrody się nie doczekali, niż tych, których opromieniła sława wynikająca z jej otrzymania. U nas za takich skrzywdzonych autorów uchodzą Gombrowicz

REKLAMA

MUZEUM UTRACONE
PRZYWRACA PAMIĘĆ

KRÓLEWSKI SEN
POKAZ FILMU MUZEUM UTRACONE
W NOC MUZEÓW

KRAKÓW: 18 MAJA 2018, GODZ. 21:30
RYNEK GŁÓWNY
/SUKIENNICZ OD STRONY UL. BRACKIEJ/
WARSZAWA: 19 MAJA 2018, GODZ. 21:00
MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE /AMFITEATR/
GDAŃSK: 19 MAJA 2018, GODZ. 21:00
MUZEUM NARODOWE W GDAŃSKU
/ZIELONA BRAMA/
POZNAŃ: 19 MAJA 2018, GODZ. 21:30
BRAMA MIASTA POZNAŃ
TORUŃ: 19 MAJA 2018, GODZ. 21:30
MUZEUM OKRĘGOWE W TORUNIU
/DZIEDZINIEC BUDYNKU RATUSZA
STAROMIEJSKIEGO/

ORGANIZACJA I FINANSOWANIE

od apt is
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
NIM
NARODOWY INSTYTUT MUZYKALNOŚCI I SZKOLNY ZBIÓRÓW
sar
STOWARZYSZENIE KOMUNIKACJI MARKETINGOWEJ

WSPARCIE ORGANIZACJI I FINANSOWANIE

Projekt współfinansuje m.in. Warszawa
Dzielnica na Śródmieście Gminy Miasta Toruń
Projekt współfinansowany ze środków Miasta Poznania
POZnań
Kraków

PARTNER PROJEKTU

LOTTO
PROJEKT I PRODUKCJA FILMU
IDFX

WSPÓŁORGANIZACJA

ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE
Muzeum Narodowe w Poznaniu
Muzeum Narodowe w Gdańsku
MNK
MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE
MUZEUM OKRĘGOWE W TORUNIU

PATRONATY HONOROWE

PROJEKT POD HONOROWYM PATRONATEM PROF. DR. HAB. PIOTRA GLIŃSKIEGO, WICEPREZESA RADY MINISTRÓW, MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO.

PATRONAT HONOROWY:
MIECYSŁAW STRUK
MAJSAŁEK
WOJEWÓDZTA POMORSKIEGO
Prezydent Miasta Gdarska
PAWEŁ ADAMOWICZ
PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA MIASTA STOLECZNEGO WARSZAWY

PREZYDENT MIASTA TORUNIA
Michał Zaleski
Polish National Commission
United Nations Educational, Scientific and Cultural Organization
Polski Komitet ds. Współpracy z Organizacją Narodów Zjednoczonych ds. Wychowania, Nauki i Kultury
POZnań
Kraków

PATRONI MEDIALNI

TVP
TELEWIZJA POLSKA
HISTORIA
DZIENNIK GAZETA PRAWNA
cojestgrane24
RZECZY
HISTORIA
SUPER-HISTORIA.pl
EUTOPIA.pl
artinfo.pl
Meeting Planner.pl
WWW.KRAKOW.PL
NowyMarketing
THINKTANK
STRÖER
Multikino
chillizet
ZET

i Herbert. Nawiasem mówiąc, swego czasu lansowany był pomysł, żeby literackiego Nobla podzielić między nich właśnie. Opowiada o tym m.in. w niedawno wydanej biografii Zbigniewa Herberta Andrzej Franaszek, przypominając rok 1967, kiedy to literackiego Nobla otrzymał poeta z Gwatemali, Miguel Ángel Asturias. Wtedy to mieszkający w Sztokholmie współpracownik paryskiej „Kultury”, Norbert Żaba, „prosił Gombrowicza o przesłanie mu tłumaczeń »Dziennika«, by mogli się z nim zapoznać szwedzcy akademicy, a przy okazji relacjonował plotki: »To Mesterton [Erik – krytyk, sławista, tłumacz – przyp. red.] prawdopodobnie wystąpił z myślą o podziale nagrody między Panem a kimś z kraju, aby wszyscy byli zadowoleni. [...] Mesterton był tłumaczem pewnych wierszy Herberta. Stąd więc pogłoska o podziale nagrody między Panem a Herbertem«. Taka decyzja nie była nieprawdopodobna, można by ją było zresztą interpretować nie jako dyplomację, ale wyraz wiary w jedność podzielonej polskiej literatury [...]».

SZWEDZKA KOMBINACJA

W 1968 r. Nagrodę Nobla otrzymał jednak pisarz japoński Yasunari Kawabata, a w lipcu roku następnego zmarł Witold Gombrowicz. Herbert jeszcze kilkakrotnie ocierać się będzie o Nobla, ale że nie będzie o niego usilnie zabiegał, a i przychylni mu niegdyś wpływowi rodacy (choćby Giedroyc) przypisywać mu będą różne przywary i nałogi, w końcu Nobla dostanie w 1996 r. Wisława Szymborska. Prześle jej Zbigniew Herbert konwencjonalny telegram, a w szkicowniku rysować będzie karykaturę laureatki na nartach, zmiotkami zamiast kijków, biorącą udział w „szwedzkiej kombinacji”. Swoją drogą ciekawe, że tak poróżniony z Herbertem Miłosz publicznie przyznawał, że nienagrodzenie autora „Pana Cogito” Nagrodą Nobla „było niesprawiedliwe”.

Jeśli chodzi o polskich autorów, to od lat wśród kandydatów do Nobla wymieniany jest Adam Zagajewski, z tym że najczęściej przez „Gazetę Wyborczą”. Punkty zbiera też Olga Tokarczuk, pracowicie zdobywająca sobie czytelników w Europie Zachodniej. Gdyby nagroda jej przypadła, radość polskiego fan klubu tej pisarki byłaby przeogromna. Reszta społeczności czytającej zachowywałaby raczej wstrzemięźliwość, ale nie dzielmy skóry na niedźwiedziu, zwłaszcza że skóra ta – jak słyszymy – znajduje się w opłakanym stanie.

Krytykowane są, o dziwo, nie tylko Noble literacki i pokojowy. Ten drugi pozostaje oczywiście bezkonkurencyjny, mając na liście laureatów m.in. Jasira Arafata i Icchaka Rabina, Jimmy’ego Cartera i Szymona Peresa, Menachema Begin i Henry’ego Kissingera, Michaiła Gorbaczowa i Willy’ego Brandta. No i wisienkę na torcie w postaci Baracka Obamy uhonorowanego literalnie za nic.

SYTUACJE KOMPROMITUJĄCE

Dzieje Nagrody Nobla przynoszą wiele dziwnych rozstrzygnięć i równie dziwnych laureatów, przy czym wcale nie myślę tu o Lechu Wałęsie. Był mianowicie w noblowskiej historii człowiek dwukrotnie nagrodą tą uhonorowany, najpierw w 1954 r. w dziedzinie chemii – „za prace nad wiązaniami chemicznymi i ich zastosowaniem w wyjaśnianiu związków kompleksowych”, a następnie w roku 1962 – pokojową „za wysiłki na rzecz rozbrojenia i kampanię przeciw próbom jądrowym”. Chodzi o Linusa Paulinga, Amerykanina, który dożył 93 lat, a bodaj bardziej niż swoimi nagrodami wstawił się lansowaniem wielkich dawek witaminy C jako skutecznych środków w leczeniu raka. Oczywiście, że w tym przypadku wykorzystywane były sława i autorytet noblisty do wsparcia mocno wątpliwego pod każdym względem projektu.

Świat nauki od dawna domaga się nie tyle zreformowania sposobu wyłaniania

uczelnin i instytutów naukowych, a to odbija się na jakości prowadzonych prac, na skutek czego dochodziło do kompromitujących sytuacji, jak np. stosunkowo niedawno, gdy nazbyt szybko odrąbiono odkrycie fal grawitacyjnych.

Z drugiej zaś strony lęk przed podobnymi blamażami sprawia, że premiowane są często badania znajdujące się na marginesie najważniejszych prac prowadzonych w laboratoriach, a niekiedy wręcz niemające znaczenia dla tego, co się w danej dziedzinie nauki aktualnie dzieje. Taka zachowawczość przytrafia się też literackim Noblom. Tak właśnie, bardzo późno, uhonorowani zostali w ostatnich latach choćby Doris Lessing, Alice Munro czy Harold Pinter.

DOZOWANE NAPIĘCIE

Na Nagrody Nobla czeka się cały rok, werdykty ogłaszane są w świetle fleszów, wcześniej napięcie jest umiejętnie dozowane. O sprawiedliwości nauki aktualnie się przy tej okazji rzadko. Zresztą jak w literaturze porównać świetny tom esejów ze znakomitą powieścią czy wybitną poezją? No to jest ten sam problem, który co roku mają jurorzy Nagrody Nike, która też w ostatnich latach przyznawana bywa prawem kaduka („Nakarmić kamień” Bronki Nowickiej!).

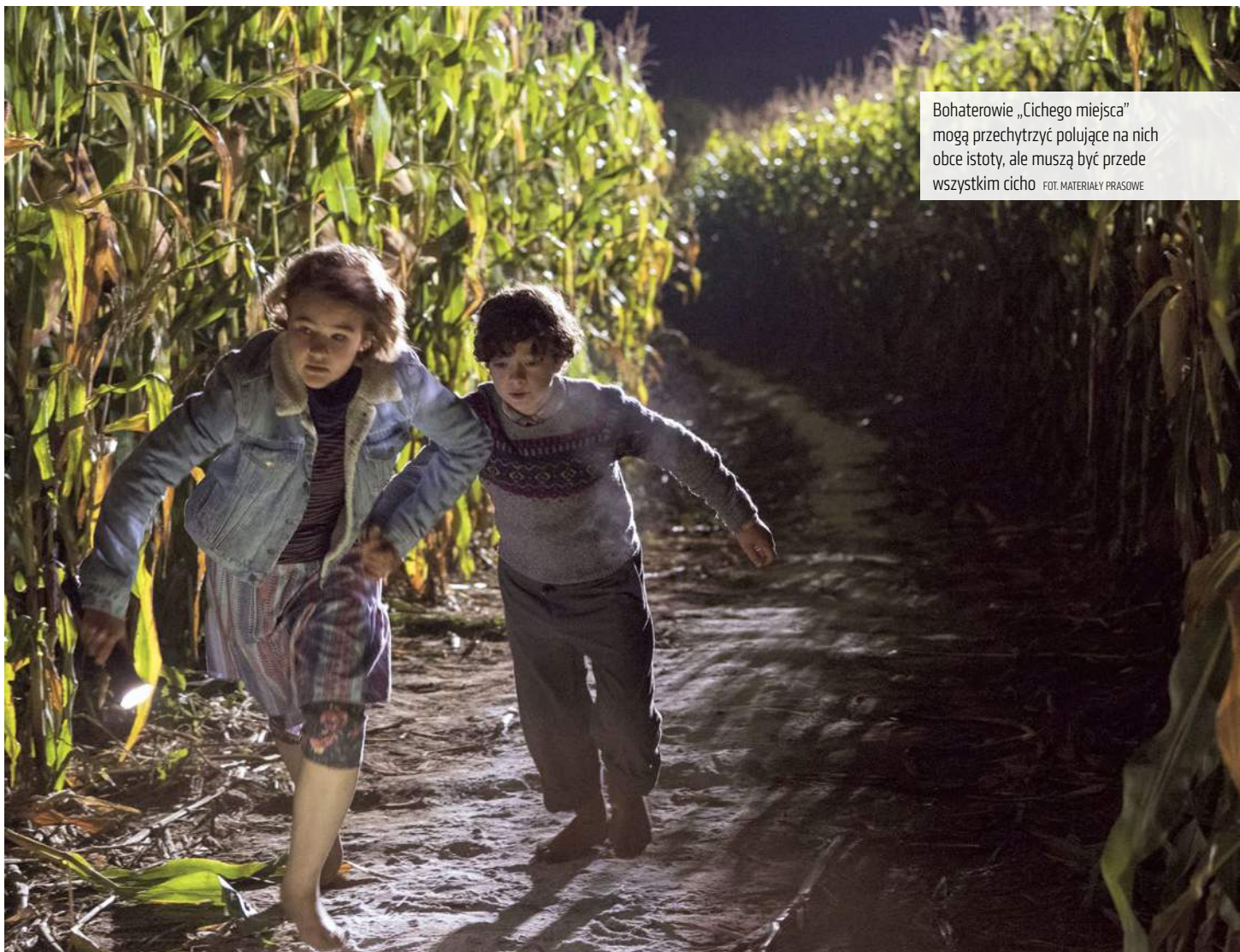
Z Nike łączy się też rodzimy skandal natury obyczajowej, który wybuchł, gdy Kinga Dunin ujawniła charakter związku łączącego nominowanego do tej nagrody za „Ości” Ignacego Karpowicza z sekretarzem jury, Juliuszem Kurkiewiczem.

Z pomniejszych okołoliterackich, bo na pewno nie literackich, wydarzeń łączących się z przyznawaniem nagród dodam tu jeszcze systematyczne domaganie się przez kierującą wydawnictwem Czarne Monikę Sznajderman, by niżej podpisane go usunąć ze wszelkich ciał decyzyjnych nagradzających książki. Żąda ona tego, gdyż nie podobają się jej moje artykuły publicystyczne. Cóż, nie muszą.

Na razie Sznajderman odniosła sukces, powiedziałbym, połowiczny, wskazując na to, że nad Wisłą wciąż ważniejsze jest to, które książki się nagradza, niż to, kto o tym decyduje. Przykład szwedzki pokazuje, że może być odwrotnie, ale niewykluczone, że poziom nominowanych tytułów utrzymujący się w dolnej strefie stanów średnich sięgnął dna, i w tej sytuacji postanowiono Nobla, po prostu, darować sobie.

Dzieje Nagrody Nobla przynoszą wiele dziwnych rozstrzygnięć i równie dziwnych laureatów

laureatów Nagrody Nobla w dziedzinach fizyki, chemii oraz medycyny i fizjologii, ile jego zrewolucjonizowania. Czasy, w których wielkich odkryć dokonywali genialni samotnicy, należą już bowiem do bardzo odległej przeszłości. Niezależnie od tego, że ludzie o skali talentu Piotra czy Marii Curie przychodzą na świat bardzo rzadko, obecnie prace naukowe prowadzą gigantyczne zespoły badawcze i od lat już Nagrody Nobla w wymienionych dziedzinach promują jednych uczonych kosztem drugich, ewidentnie krzywdzonych. Poza tym o Nobla ścigają się poszczególne



Bohaterowie „Cichego miejsca” mogą przechrzyć polujące na nich obce istoty, ale muszą być przede wszystkim cicho. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Widz potęgą jest i basta, swą wszechmoc demonstrując, gdy sięga po pilota w domu czy kiedy kupuje bilet do kina. Korzystając z tych nadzwyczajnych uprawnień, przygotowałem sobie w ostatnią majówkę apokaliptyczny pojedynek na wizję końca świata. W lewym narożniku duński serial telewizyjny „The Rain”, w prawym amerykański film kinowy „Ciche miejsce”. Trochę nieuczciwie, bo pretendenci startowali w różnych kategoriach wagowych, ale... widz potęgą jest i tak dalej, mówiłem przed chwilą.

„The Rain” to pierwszy oryginalny duński serial dla Netflix. Amerykański gigant nie szczędzi gotówki na nowe produkcje, tylko w roku 2018 zamierza wydać 8 mld dol. Miliard z tego w Europie. Duńczycy zaczęli od bardzo popularnego w ostatnich latach gatunku, czyli opowieści postapokaliptycznej. Dobra wiadomość jest taka, że na szczęście bez zombi.

Ballady o końcu świata



Piotr Gociek

Kinowy thriller „Ciche miejsce” to jak dotąd najlepszy rozrywkowy film roku 2018. Serial apokaliptyczny „The Rain” mocno rozczarowuje



Duński serial „The Rain” oparto na klasycznym pomysle filmu apokaliptycznego – ludzie zabija zaraza FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Reszta wygląda jednak podobnie: opuszczone miasta, przewrócone samochody na autostradach, splądrowane sklepy. Co sprawiło, że cywilizacja przegrała? Tajemniczy i bardzo agresywny wirus, który przychodzi wraz z deszczem – wystaw się na jego krople, a bez wątpienia zostaniesz zarażony i zemrzesz w boleściach. Klasyczny motyw: wybija nas epidemia. Nowością jest jedynie sposób przenoszenia choroby.

Nie zdradzę wielkiej tajemnicy, bo wyraźne sygnały są już w pierwszym odcinku: wirus nie wziął się znikąd, ktoś go na zgubę ludzkiego rodzaju wysyłał. I ktoś wiedział też, co się święci. Bohaterowie „The Rain” nie przetrwaliby we wrogim świecie, gdyby nie sieć podziemnych bunkrów wybudowanych zawczasu przez korporację Apollon. Rodzeństwo, które poznajemy na początku historii – Simone i Rasmus – nie wie, że znajduje się w samym centrum intrygi. Tymczasem dzięki przezorności i poświęceniu rodziców oboje trafiają do jednego ze schronów i spędzają tam sześć długich lat, podczas gdy świat idzie w diabły.

WICHRY, BURZE, EPIDEMIE

„The Rain” łączy dwie różne linie pomysłów apokaliptycznych. Z jednej strony opowieści o epidemii (zmutowanej grypy, zmutowanego AIDS, dżumy, nieznanego nowego szczepu wirusów itp.), z drugiej o katastrofalnych skutkach kłopotów z pogodą (była już apokalipsa wskutek globalnego ocieplenia, oziębienia, a nawet straszliwych wichur). Tyle że dotąd ocaleni zwykle bali się deszczu dlatego, że był radioaktywny – skutek wymiany uderzeń

atomowych. Duński pomysł z początku ujmuje prostotą, ale po dłuższym zastanowieniu nie trzyma się kupy. Jeśli deszcz roznosi wirusa, to właściwie jak go unikać? Skąd brać odrobinę wody do picia i nieco więcej do mycia. Ile czasu zajmuje jej przefiltrowanie i jak się to robi? A nasi bohaterowie wędrują po opustoszałej Danii nienagannie ogoleni. Kiedy zbiera się na deszcz, uciekają w panice; gdy boją się zakażonej osoby, łącznie zakładają kombinizony, ale już wędrowni po parującym od deszczu lesie czy spacerują w skandynawskiej mgłę im nie szkodzi.

Simona i Rasmus szybko dołączają do innej grupki, w której wodzą były żołnierz Martin, jego kumpel eksćpun Patrick oraz uwodzicielska Beatrice. Pozostała dwójka to wyglądający na nerda nieśmiały Jean oraz bogobojnie wychowana Lea. Ponieważ w tej apokalipsie nie ma zombi ani inwazji z kosmosu, głównym wrogiem ocalałych staje się człowiek. Po Kopenhagie włączają się jednak nie tylko wygłodniałe obdartusy, lecz także samochodowe patrole uzbrojonych po zęby członków prywatnej milicji zwanej The Strangers. Może zatem gdzieś ocalała jakaś cywilizacja?

W ośmiu odcinkowej serii sporo miejsca poświęcono na retrospekcje wyjaśniające, skąd wzięli się poszczególni bohaterowie i jakie niosą traumy. Poza tym w „The Rain” dzieje się niewiele i wedle schematów znanych z innych postapokaliptycznych

seriali: trzeba znaleźć jedzenie i schronienie, nim zapadnie zmrok, w kupie raźniej, a kto próbuje ją skłócić, ten gorzko pożałuje własnej głupoty. Napotkani ludzie to albo kanibale, albo szaleni naukowcy.

Scenarzystów niespecjalnie interesują sekrety survivalu, sporo miejsca za to poświęcają temu, kto do kogo tęsknie wzdycha, ewentualnie kogo ogarnia toksyczna zazdrość. A to z kolei przypomina klimaty znane z takich produkcji postapo jak serial „The 100”, skierowany głównie do nastoletniego widza. „The Rain” to podobna propozycja, choć nakręcona z mniejszym rozmachem. Będą kolejne sezony, bo pierwszy za wiele nie wyjaśnia. Jednak akurat ten produkt nie powinien być specjalnym powodem do dumy dla Netflixu.

CICHO SZA LUB ZGINIESZ

W tym samym czasie, kiedy Netflix odpala „The Rain” (a także kampanię reklamową), do polskich kin trafił film pokazujący, jak znakomicie można odświeżyć opowieść o końcu świata. „Ciche miejsce” („A Quiet Place”) to trzeci film wyreżyserowany przez Johna Krasinskiego, aktora znanego m.in. z serialu „Biuro”. Reklamowany jako horror jest tak naprawdę inteligentnym i szarpającym nerwy thrillerem science fiction, tyle że z niewielką dawką fantastyki, za to z olbrzymim ładunkiem suspenseu.



★★★★★
REŻ. JOHN KRASINSKI
„CICHE MIEJSCE”
 („A QUIET PLACE”)
USA 2018

wyst. John Krasinski, Emily Blunt, Millicent Simmonds

Otwierająca scena wrzuca nas w sam środek świata rządzącego się nowymi regułami. W opustoszałym mieście wewnątrz częściowo splądrowanej apteki grupa wędrowców szuka lekarstwa dla chorego synka. To wyprawa rodzinna: mąż, żona i troje dzieci. Tylko dlaczego wokół nie ma nikogo? I przede wszystkim: dlaczego wszyscy starają się być jak najciszej i porozumiewają się na migi? Chwilę później okazuje się, że nie ze strachu przed niespodziewanym powrotem właścicieli, bo poza miastem rodzina zachowuje się równie ostrożnie (i równie cicho). Wszyscy maszerują boso, w milczeniu, starannie omijając wszystko, co potracone czy nadepnęte mogłoby wywołać jakikolwiek dźwięk.

Ciszy na ekranie towarzyszy cisza na sali kinowej – dawno nie byłem na seansie, podczas którego od samego początku

publika siedziałaby tak zamurowana. Lubię takie filmy, po pokazują kino w stanie czystym. Wszystko trzeba opowiadać obrazem i montażem, doskonale manipulując jednocześnie emocjami widzów. Swoje robią aktorzy – na ekranie w rolach głównych widzimy reżysera Johna Krasinskiego i Emily Blunt (prywatnie także jego żonę). Pierwszy szok pojawia się kilka minut po rozpoczęciu filmu – dowiadujemy się, przed kim, a właściwie przed czym ukrywają się nasi bohaterowie.

Odrobinę muszę zdradzić, inaczej nie dałoby się o „Cichym miejscu” pisać w ogóle. W filmie oglądamy Ziemię terroryzowaną przez obce istoty: drapieżne, niezwykle szybkie i obdarzone wyjątkowo czułym słuchem. W dodatku niesłuchanie trudne do zabicia, bo doskonale opancerzone. Skąd się wzięły? Ile ich jest? Dlaczego nasza cywilizacja tak szybko poszła w rozsypkę? Tego wszystkiego możemy się tylko domyślać. To, co ważne dla losu bohaterów, których życiem natychmiast



★★★★★

„DESZCZ”
(„THE RAIN”),
SEZON 1

DANIA 2018,
DYSTR. NETFLIX

wyst. Alba August,
Lucas Lynggaard
Tønnesen, Mikkel
Boe Følsgaard

zaczynamy się przejmować, to to, że wroga można przechrzyć, trzeba być tylko niesłuchanie pomysłowym, przezornym, cierpliwym i... cichym.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Wszystko to czyni „Ciche miejsce” bardziej kontynuacją linii opowieści o obcej inwazji niż typowy horror apokaliptyczny. Krasinski klasykę zna i porusza się często wśród motywów doskonale znanych. Dziwne stwory wyglądają trochę jak potwór z serialu „Stranger Things”, a trochę jak monstrum z „Obcego”, z kolei do pewnej słynnej sceny z filmu „Obcy 2” nawiązuje jeden z punktów zwrotnych akcji, do którego dochodzi w piwnicy

domu naszych bohaterów. A oblężona farma zagubiona wśród pól kukurydzy i kłopoty rodzinne jej mieszkańców nieco przypominają „Znaki” M. Nighta Shyamalana. Długo by wymieniać. Najważniejsze jednak, że nieważne, czy bawiąc się cudzymi pomysłami, czy prezentując własne, John Krasinski radzi sobie perfek-

cyjnie, maskując słabsze punkty scenariusza (czy naprawdę stworzy mógłby być tak niezwykłe?) i opowiadając historię tak, że od początku do końca serce widza ma ochotę wyskoczyć z klatki piersiowej, a włosy jeżą się na głowie.

„Ciche miejsce” jest według mnie najlepszym rozrywkowym filmem, jaki widziałem dotąd w roku 2018, sensacją równie wielką i zaskakującą jak świetny thriller „Uciekaj!” („Get Out!”) Jordana Peele’a w roku ubiegłym (Oscar za scenariusz plus trzy inne nominacje). Ciąg dalszy nastąpi, bo studio Paramount zamówiło już „Ciche miejsce 2”, choć nie wiadomo, czy miałyby to być kontynuacja losów rodziny, którą poznaliśmy w części pierwszej, czy może zupełnie nowa historia. Prywatnie najchętniej zobaczyłbym film rozszerzający świat przedstawiony tak mocno, jak „Obcy 2” Jamesa Camerona powiększał uniwersum oryginalnego „Obcego” Ridleya Scotta. Zanim to nastąpi, wcale nie zdziwiłyby mnie oscarowe nominacje dla filmu Krasinskiego. Możliwe, jak sądzę, w trzech kategoriach: scenariusz oryginalny, reżyseria i najlepsza rola żeńska.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

JEAN-CHARLES NAULT
DEMON POŁUDNIA
Acedia – podstępna choroba duszy

cena **24,90**

MIKE DRISCOLL
ROZPRAWA Z DEMONAMI
Jak rozpoznać: opętanie czy choroba?

cena **29,90**

na hasło
rabat 15%
„Do Rzeczy”

„Miecz ducha” – to seria poruszająca niezwykle ważne a jednocześnie trudne tematy. Demony, opętania, choroby duszy od zawsze budzą skrajne emocje – od niezdrowej ciekawości po obezwładniający lęk. Czym jest acedia? Jak odróżnić chorobę psychiczną od opętania? Jak i kto może odprawiać egzorcyzm? Rzeczowo, posiłkując się wiedzą naukową i religijną, autorzy obalają mity i kłamstwa na temat świata duchów. Dowodzą, jak wielką moc w walce ze złem mają Ci, którzy pogłębiają swoją wiarę i trwają na modlitwie.

www.wydawnictwo.pl

• Do ceny doliczamy koszty wysyłki

WYDAWNICTWO PROMIC ul. Św. Bonifacego 9/1, 02-914 Warszawa, tel. 22 651 90 54, e-mail: sprzedaz@wydawnictwo.pl



Agnieszka Niewińska

„Modlitwa o wschodzie słońca”, „Gdy tak siedzimy nad bimbrem” czy „Mury” wybrzmiały w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim w zupełnie nowej aranżacji

Przeglądanie anioła, „Śmiech” czy „Pani Bovary” – w czasie stanu wojennego słuchane były aż do zdarcia kaset wydanych w drugim obiegu. W ubiegłą środę wybrzmiały po raz kolejny. Tym razem w nowej aranżacji. Zaprezentowane zostały na deskach Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku w ramach koncertu „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie”. Zaproszeni do udziału w koncercie upamiętniającym zmarłego w 2012 r. barda Solidarności Przemysław Gintrowskiego artyści przypomnieli kilkanaście piosenek: zarówno tych, które wykonywało słynne trio – Jacek Kaczmarski, Przemysław Gintrowski i Zbigniew Łapiński (z programów „Mury” czy „Pamiętki”), jak i utwory z solowych płyt Gintrowskiego, takich jak album „Raport z obłożonego miasta” wydany w drugim obiegu w 1986 r.

Na scenie Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego obok córki barda Julii Gintrowskiej zaśpiewali m.in. Renata Przemyk, Rafał Bartmiński, Ola Gintrowska, Krzysztof Kiljański, Adam Szerszeń czy Mateusz Ziółko.

Katarzyna Gintrowska, prezes Fundacji im. Przemysław Gintrowskiego, która już po raz trzeci zorganizowała koncert upamiętniający barda Solidarności, zwróciła uwagę, że powrót do jego utworów to ważny moment nie tylko dla jego rodziny, która razem z żoną artysty Agnieszka Gintrowską licznie zgromadziła się na widowni, lecz także podróż wstecz dla tych, którzy pamiętają czasy stanu wojennego. Utworom wykonywanym przez artystów przy akompaniamencie orkiestry Polskiej Filharmonii Bałtyckiej pod dyрекcją Jana Stokłosa towarzyszyły widowiskowe efekty świetlne, a także projekcje ikonizujących zdjęć z czasów strajku w Stoczni Gdańskiej czy karnawału Solidarności oraz kroniki filmowe z tragicznych chwil stanu wojennego.



Kiedy Mateusz Ziółko wykonywał utwór „Gdy tak siedzimy nad bimbrem”, śpiewając o umierającej ojczyźnie, gnijących w celach kolegach i wolno kręcącym się powielaczach, z galerii Teatru Szekspirowskiego w stronę widzów posypały się ulotki z logo „S”, kotwicą i wezwaniem, by nie bać się „Wrony”, przywołując w ten sposób wspomnienia wśród starszej części widowni. Z kolei podczas „Kołysanki” w wykonaniu córki barda Julii Gintrowskiej widzowie mogli oglądać fotografie z rodzinnego albumu Gintrowskich. Ola Gintrowska z kolei zaprezentowała „Modlitwę o wschodzie słońca”. Muzykę do słów Natana Tenenbauma napisał Przemysław Gintrowski. „Modlitwa” obok „Murów” i „Zbroi” była najczęściej wykonywanym w stanie wojennym utworem. Wyśpiewywano go niekiedy nawet w kościołach podczas mszy. Sam Gintrowski tłumaczył, że „Modlitwa” to „wezwanie do powściągnięcia złych emocji”.

Podczas gdańskiego koncertu nie mogło zabraknąć „Murów” – nieformalnego hymnu „S” – wykonywanych po wielokroć przez trio Kaczmarski, Gintrowski, Łapiński. Brawurowo zaśpiewali je w aranżacji Jana Stokłosa artyści Teatru Wielkiego Opery Narodowej – tenor Rafał Bartmiński i baryton Adam Szerszeń. Starsi uczestnicy widowiska składali palce w kształt litery V, tłumacząc młodszemu, że tak właśnie było na koncertach w czasie stanu wojennego.

Ostatni utwór wieczoru należał do samego Przemysław Gintrowskiego. Na scenie ustawiono krzesło i samotny mikrofon – tak jak na setkach koncertów, na których występował, krzesło pozostało puste, a „Dokąd nas zaprowadzisz panie”

w wykonaniu Przemysław Gintrowskiego odtworzono z taśmy.

PROSTA DROGA DO ŚPIEWANIA

Po słynnym trio bardów Solidarności pozostały ich utwory i wspomnienia. Gintrowski odszedł w wieku zaledwie 61 lat. Wcześniej, w 2004 r., zmarł Kaczmarski. W kwietniu tego roku pożegnaliśmy Zbigniewa Łapińskiego. Na wspólne występy zdecydowali się w 1979 r. Jako pierwsi przygotowali program poetycki „Mury”. Jednak solo występowali już wcześniej. Gintrowski, choć pochodził ze Stargardu Szczecińskiego, związany był z Warszawą. To w stolicy kończył liceum im. Tadeusza Reytana, gdzie związał się ze słynącą z kultywowania przedwojennej tradycji harcerskiej drużyną „Czarna Jedyńka”. Współtworzył nawet Harcerską Rozgłośnię Muzyczną. Studiował kierunki ścisłe – najpierw na Politechnice Warszawskiej, gdzie zdobył tytuł inżyniera elektryka, a później zdecydował się na fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Jednak to muzyka była jego największą pasją. – Moja droga do śpiewania była prosta. Pan Bóg dał mi odrobinę talentu. A moja mama tańczyła w zespole pieśni i tańca i nie miała co ze mną zrobić. Kupiła mi plastikowy saksofon, sadzała z orkiestrą i przez dwie–trzy godziny z nią grałem – mówił o sobie Gintrowski w jednym z wywiadów.

Swoją pierwszą zespół Między Niebem a Ziemią stworzył w 1968 r. Band najpierw grał kompozycje takich grup, jak The Doors, Rolling Stones czy Animals, a potem zaczął komponować muzykę do wierszy Julina Tuwima, Adama Asnyka



podróż w czasie

FOT. KATARZYNA KOSTAL

czy Bolesława Leśmiana. Gintrowski występował w uniwersyteckim klubie Sigma i w Remoncie. Sceniczny sukces odniósł w 1976 r., występując solo na przeglądzie piosenki studenckiej w Warszawie. Wygrał go, wykonując „Epitafium dla Sergiusza Jesienina”. I nie mogło się to nie skończyć spotkaniem z Jackiem Kaczmarskim, który także zaczął odnosić w tamtym czasie sceniczne sukcesy. Obaj stawiali na solowe występy, ale przyciągnął ich do siebie podobny sceniczny charakter. I tak do współpracy dołączył pianista Zbigniew Łapiński i powstało słynne trio solidarnościowych bardów. Rozdzielił ich stan wojenny.

Pod koniec 1981 r. koncertowali we Francji. Gintrowski z Łapińskim wrócili do kraju przed 13 grudnia. Kaczmarski zdecydował się na pozostanie na emigracji. Gintrowski na 12 i 13 grudnia miał zaplanowane koncerty w Poznaniu. Z kilkoma innymi polskimi muzykami brał udział w przeglądzie „Niechciane teksty PRL-u”. – Trzynastego rano do mojego pokoju w hotelu przybiegł organizator i powiedział, żebym włączył telewizor. Zobaczyłem obrazek, który chyba wszyscy mamy przed oczami do dzisiaj – zamiast porannego programu dla dzieci w telewizji

przemawiał gen. Jaruzelski – wspominał w 2006 r. Gintrowski. Podkreślał też, że to stan wojenny był początkiem komunizmu w Polsce. – Spowodował, że nawet ci Polacy, którzy mieli jakąś resztkę zaufania, ci, którzy jeszcze wierzyli w ten ustrój – przejrzyli wtedy na oczy.

Okres wojny nazywanej polsko-jaruzelską to dla Gintrowskiego czas koncertów w podziemiu – grał solo po domach i parafiach. Wydawał płyty w drugim obiegu. Wykonywał wiele utworów do tekstów poety Zbigniewa Herberta.

Po upadku komunizmu do występów wróciło trio Gintrowski, Kaczmarski, Łapiński. Wykonywali znane utwory, ale przygotowali także nowy program „Wojna postu z karnawałem”, a w swoich piosenkach nieraz gorzko komentowali pokomunistyczną rzeczywistość, ludzkie postawy i wybory w nowej Polsce.

OSTATNI KONCERT

Trio koncertowało w latach 1991–1993, po czym jego działalność zawieszono, a Gintrowski poświęcił się karierze solowej i muzyce filmowej, którą komponował już w latach 80. Stworzył muzykę do kilkunastu filmów i seriali, m.in. do „Matki

królów” Janusza Zaorskiego, serialu Stanisława Barei „Zmiennicy” czy filmu Macieja Ślesickiego „Tato”.

Ostatni koncert Przemysław Gintrowski dał 1 marca 2012 r. w Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek historia”. Zmarł 20 października 2012 r. po długiej chorobie. Został pochowany w rodzinnym grobie na cmentarzu w Wilanowie. Powstała przed dwoma laty z inicjatywy rodziny barda Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego chce pielęgnować pamięć o jego twórczości, popularyzować jego muzykę oraz wspierać edukację muzyczną i rozwój kultury. Obok dorocznego koncertu przyznaje także nagrodę im. Przemysława Gintrowskiego. W gronie jej laureatów są Stanisława Celińska, Jan Polkowski, Antonina Krzyszoń i Ewa Błaszczyk.

Podczas ubiegłotygodniowego koncertu Katarzyna Gintrowska przypomniała, że muzyka Gintrowskiego do Gdańska wróciła po przeszło dziesięciu latach. Po raz ostatni wystąpił on przed gdańską publicznością w kwietniu 2009 r. Tym razem jego utwory zagościły na deskach Teatru Szekspirowskiego – jedynego takiego obiektu w kontynentalnej Europie. Otwarta w 2014 r. placówka to architektoniczna perełka. Teatr zbudowany jest na wzór teatrów elżbietańskich. Ruchoma scena daje możliwość bliższego uczestniczenia w spektaklu. Widzowie mogą dowolnie zmieniać miejsca, oglądać sztukę na stojąco tuż przy scenie czy z otaczających ją galerii. Obiekt daje też możliwość grania przy dziennym świetle, bo jego dach jest otwierany.

Gdański Teatr Szekspirowski był partnerem koncertu „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie”. Mecenatem objęło go miasto Gdańsk. Obecny na koncercie prezydent Gdańska Paweł Adamowicz podkreślał, że w trudnych momentach PRL, a zwłaszcza stanu wojennego, „Polacy drukowali bibułę, pili wódkę i spirali się o Polskę” właśnie przy dźwiękach utworów Gintrowskiego.

„Do Rzeczy” objęło koncert patronatem medialnym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MECENAT KONCERTU

PARTNERZY KONCERTU



POLEKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

PATRONI MEDIALNI





FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Mojżesz z Armii Czerwonej



★★★★★
REŻ. KONSTANTIN CHABIENSKI
„SOBIBÓR”
ROSJA/POLSKA/
NIEMCY/LITWA
2018

wyst. Konstantin Chabienski,
 Christopher Lambert,
 Kacper Olszewski

Komunizm umarł, lecz sowieckie kino wciąż żyje, walczy i zwycięża. Konstantin Chabienski, rocznik 1972, sławę zdobył dzięki futurystycznym superprodukcjom „Straż nocna” i „Straż dzienna”. Sprawdzał się w dreszczowcach, kostiumowym melodramacie („Admirał”) i w bardziej ambitnym repertuarze („Geograf przepił globus”). Ostatnio zagrał Trockiego w telewizyjnym serialu. Jakie лихо podkusiło go, by w reżyserskim debiucie złożyć wizytę w hitlerowskim obozie śmierci? Cynik uznałby, że gwiazdor liczy na Oscara i szeroką dystrybucję w Stanach Zjednoczonych. On sam twierdzi, że zafrapował go emocjonalny potencjał tematu.

Wrażliwość widzów faktycznie zostaje wystawiona na ciężką próbę. Na ekranie króluje porno-

grafia śmierci. Nie jest to jednak film o zagładzie, lecz o wstawaniu z kolan. Większość więźniów jest bierna („trzeba cierpieć i wierzyć, a Bóg nas uratuje”). Nieliczni próbują przełamać strach, fatalizm, żalobę po utracie bliskich i barierę nieufności. Inni, by przetrwać, są gotowi zadenuncjować konspiracyjnych i planujących ucieczkę towarzyszy niedoli. Ci ostatni czekają na przywódcę, Mojżesza, który wyprowadzi ich z domu niewoli. Zostanie nim, oczywiście, twardeł z Amii Czerwonej, który do żydowskiego pochodzenia przyznaje się z oporami.

Trzydzieści lat temu Brytyjczycy nakręcili „Ucieczkę z Sobiboru” z Rutgerem Hauerem i Joanną Pacułą w rolach głównych, dość wierną rekonstrukcję buntu z października 1943 r. Oglądany dziś

film razi naiwnością. Bohaterowie są zbyt piękni i dobrze odżywieni, obóz przypomina ośrodek wczasowy. W „Sobiborze” jest więcej okrucieństwa. Niemcy – sadyści i złodzieje – rozkoszują się cierpieniem „podludzi”. Jeden popisuje się celnością strzałów, drugi woli chłostę, trzeci pstryka fotki kobietom umierającym w komorach gazowych i mężczyznom zabijającym w egzekucjach.

Christopher Lambert gra demonicznego komendanta. Niestety, gdy otwiera usta, czar pryska. Chabienski w roli jego protagonisty jest lepszy co najmniej o klasę. Jednak i on w kluczowych momentach zachowuje się jak bohater „Losu człowieka” Szołochowa, który pił wódkę szklankami bez zakąszania, by pokazać oprawcom, jak niezłomny jest człowiek sowiecki. Sasza Pieczerski, tytułowany pułkownikiem (w rzeczywistości dosłużył się stopnia porucznika), wygrywa psychologiczny pojedynek z Niemcem, odmawiając przyjęcia jabłka.

Patos, duszoszczypatielnoje dialogi, natchniona muzyka, celebrowanie scen podniosłych... Skąd my to znamy? Chabienski na bank był pionierem i komsomolcem. A czym skorupka za młodu nasiąknie, tym traci w wieku dojrzałym. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „DEADPOOL 2”

Drugi film o antysuperbohaterze. Komiksowa seria o Deadpoolu zaczynała się konwencjonalnie, dopiero potem zamieniła w ostrą kpinkę z typowych historyjek o herosach w trykotach. Filmowa adaptacja od początku uderzyła w te struny. Z dobrym skutkiem, bo w roku 2016 pierwszy „Deadpool” zarobił blisko 800 mln dol.,

wskakując do dziesiątki najbardziej kasowych filmów roku. Najważniejszym wydarzeniem w dwójce jest pojawienie się Cable’a, cyberzołnierza podróżującego w czasie. ©©

Piotr Gociek

• „Deadpool 2”, reż. David Leitch,
 wyst. Ryan Reynolds, Morena Baccarin,
 Josh Brolin, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Bóg nie umarł: Światło w ciemności”, reż. Michael Mason, USA 2018
- „Zimowi bracia”, reż. Hlynur Pálmason, Dania/Islandia 2017
- „Nasze najlepsze wesele”, reż. Olivier Nakache, Francja 2017
- „Traktorek Florek ratuje farmę”, reż. Peder Hamdahl Næss, Norwegia 2017



DODATEK SPECJALNY

Kwiatkowski – tytan rozwoju II RP

- Spod Zbaraża nad Bałtyk
- Azoty razy dwa, Gdynia i COP
- 1918 i 1989: inne kłopoty



POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA





PGZ

POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Oficer Wojska Polskiego 1933 r.

Żołnierz Wojsk Obrony Terytorialnej



Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

SPRAWDZONE ROZWIĄZANIA DLA NOWOCZESNYCH SIŁ ZBROJNYCH

www.pgzsa.pl



Eugeniusz Kwiatkowski (pierwszy z lewej) na V Zjeździe Związku Legionistów Polskich w Kielcach w 1926 r. FOT. NAC

SPIS TREŚCI

IV–XII MACIEJ ROSALAK MOTOR ROZWOJU II RP

Kardynał Karol Wojtyła powiedział nad jego trumną: „Logika życia tego człowieka wymaga, aby modlitwa za jego duszę popłynęła z wawelskiej katedry”.

X–XV AZOTY, GDYNIA, COP

Gdy Kwiatkowski zawiera nowy kontrakt, przewidujący sprawne finansowanie, efekty są zdumiewające. Gdynia staje się najnowocześniejszym portem na Bałtyku...

XVI–XIX RÓŻNICA EPOK I KŁOPOTÓW

Profesor Andrzej Chojnowski: W 1918 r. Polacy nie żywiłi obaw – jak w 1989 r. – że przystąpimy do jakiegoś eksperymentu, który jest wielką niewiadomą.

REDAKCJA:
Redaktor i autor tekstów: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Anna Sobieska-Wójtowicz (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **NAC**



Tytan rozwoju II RP



Maciej Rosalak

Spod Zbaraża nad Bałtyk – poprzez politechnikę, chemię przemysłową, stanowiska ministra i wicepremiera – wiodła droga tego wielkiego rodaka. Zostawił po sobie zakłady azotowe, port w Gdyni, COP...

Eugeniusz Kwiatkowski urodził się 30 grudnia 1888 r. w Krakowie, w rodzinie Jana Kwiatkowskiego i Wincentyny z Maszczyńskich. Ojciec, prawnik z wykształcenia, był wówczas urzędnikiem kolejowym, ale rychło został ziemianinem, odziedziczywszy majątek po bracie we

wschodniej części austriackiej Galicji i Lodomerii, która w II Rzeczypospolitej weszła w skład województwa tarnopolskiego. Eugeniusz miał troje rodzeństwa: starszego brata Romana i młodsze siostry Janinę oraz Zofię. Obydwie dożyły stu lat. Ojciec natomiast umarł w 1903 r. i od tej pory edukacją

dzieci – w tym syna, który w przyszłości stał się tytanem rozwoju gospodarczego wolnej Polski – kierowała matka.

Dzisiaj o Eugeniuszu Kwiatkowskim mówi się niemal wyłącznie dobrze, używając określeń: „budowniczy Gdyni”, „twórca COP”, „odnowiciel Wybrzeża”. I słusznie. Często powtarzane powiedzenia z wolna zamieniają się jednak w banały; mimowolnie wycinamy jakieś kontury z gazety, tracąc z oczu postać w jej ludzkim wymiarze. Sam Kwiatkowski protestował zresztą przeciw „budowniczemu”, przypisując ten tytuł inżynierowi Tadeuszowi Wendzie, projektantowi portu gdyńskiego. Z kolei w latach 1949–1956 mówiono o „kwiatkowszczyźnie” jako zwyrod-



Rząd Kazimierza Bartla (szósty od prawej w pierwszym rzędzie). Na lewo od niego stoją: prezydent Mościcki i marszałek Piłsudski. Między nimi widać w ostatnim rzędzie głowę ministra Kwiatkowskiego. FOT. NAC, BIBLIOTEKA NARODOWA



Od 1926 r. trwa szybki rozwój Gdyni. Port staje się największym i najnowocześniejszym nad Bałtykiem

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

niałej, „burżuazyjno-obszarniczej” myśli morskiej.

WYOBRAZAŁ SOBIE, ŻE JEST SKRZETUSKIM

Jeśli natomiast powstałby biograficzny film o Kwiatkowskim, to moglibyśmy powycinać poszczególne klatki i przyrzuć się przedziwnym obrazom. Oto 10-letni chłopiec wyobraża sobie, że jest Skrzetuskim, patrząc pod koniec XIX w. na mury Zbaraża, pod którym wychowywał się w majątku ojca. Niebawem zostaje zabrany z lwowskiego ck Gimnazjum im. Franciszka Józefa, gdzie czynił nader mierne postępy w nauce, i umieszczony w słynnej szkole ojców jezuitów w Chyrowie, którą w 1907 r. kończy z odznaczeniem.

W 1910 r. widzimy go studiującego chemię na Politechnice Lwowskiej, a następnie w monachijskiej Königl. Bayerische Technische Hochschule. Do Monachium przeniosła go matka, z niepokojem patrzącą na entuzjazm, z jakim jej syn uczestniczył w działalności niepodległościowych organizacji młodzieżowych Zet i Zarzewie, a następnie Polskich Drużyn Strzeleckich. Chciała go ustrzec przed ryzykiem, jakie niósł udział w tych organizacjach. Na próżno.

W roku 1913 doszło do wydarzeń ważnych dla jego życia osobistego. Wrócił wtedy po studiach z Monachium i podjął praktyki kolejno w gazowniach miejskich Lwowa i Łodzi, a następnie otrzymał stanowisko wicedyrektora w prywatnej gazowni lubelskiej. Natomiast tuż przedtem, we wrześniu owego roku, ożenił się z Leokadią Glazer, z którą będzie miał syna Jana i córki Annę oraz Ewę.

Po wybuchu wojny poprzez Legion Wschodni trafił do Legionów. Sześć lat po rozpoczęciu studiów lwowskich poprowadził od kwietnia 1916 r. w Chełmie legionowe biuro werbunkowe... Po rozwiązaniu Legionów odnalazł się w Polskiej Organizacji Wojskowej.

W niepodległej Polsce pracował dla armii. Już podczas wojny z bolszewikami wykorzystywano zdobytą przez niego wiedzę, powołując go do sekcji chemicznej Głównego Urzędu Zaopatrzenia Armii przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. W 1921 r. wystąpił z wojska w stopniu porucznika i – w zgodzie z wykształceniem – szukał zatrudnienia w przemyśle chemicznym.

Wtedy zaprzyjaźnił się z wybitnym chemikiem Ignacym Mościckim i wspomniał go najpierw przy przejściu od Niemców, powtórnym uruchomieniu i rozwoju Zakładów Azotowych w Chorzowie, a następnie przy budowie Azotów pod Tarnowem, które przejdą do historii jako Mościce. To właśnie współpraca z Mościckim zaowocowała największymi osiągnięciami Kwiatkowskiego w rozwoju przemysłu polskiego.

POZNAŁ SIĘ NA NIM MOŚCICKI

Poświęcimy temu zagadnieniu cały kolejny rozdział, ale tu zwróćmy uwagę na naprawdę imponujący wymiar pracy tych obu wielkich Polaków w Chorzowie. Najpierw Niemcy nie chcieli oddać Polsce wielkiej nowoczesnej fabryki, zbudowanej podczas I wojny światowej, która należała się nam na mocy układu po trzecim powstaniu śląskim. Próbowali oszukać Polaków bezprawnym przekazaniem zakładów azotowych w przy-



■ watne (oczywiście niemieckie) ręce. Potem wycofali stamtąd niemieckich inżynierów i techników (czyli wszystkich specjalistów), aby unieruchomić produkcję. Wreszcie organizowali dywersję, z niszczeniem maszyn i urządzeń włącznie. Polacy się jednak nie dali. Przeciwnie. Wygrali sprawę w sądzie, znaleźli odpowiednie kadry, a dywersję poskromili sami ślascy robotnicy, gdy ujrzeli, że niszczony jest ich warsztat pracy. Mościcki zaś dzięki swym patentom, talentom organizacyjnym i wsparciu takich ludzi jak Kwiatkowski potrafił nie tylko utrzymać produkcję na poprzednim poziomie, lecz także ją zwiększyć.

Kiedy Mościcki został prezydentem, Kwiatkowskiemu powierzono resort przemysłu i handlu. Nowy minister zastał marazm na wielkiej budowie portu i miasta Gdyni. Jak wiemy, II Rzeczpospo-

doszliśmy do tego, że morze stało się obcym dla nas pojęciem”.

Jak najszybciej rozwiązał on istniejący kontrakt i zawarł nowy, przewidujący sprawne finansowanie i natychmiastowe zapłaty dla wykonawców, którzy w terminie i bez fuszerek będą wykonywać zamówione roboty. Na budowie pojawiły się renomowane firmy zagraniczne, prace nabrały coraz większego tempa, a efekty były zdumiewające. Oto w roku 1926 obroty wynosiły nieco ponad 400 tys. ton, a już w następnym zwiększyły się do prawie 2 mln ton. W 1929 r. przeładowano niemal 3 mln ton, przewyższając tym samym przedwojenne obroty portu gdańskiego, gdzie w roku 1912 przeładowano niespełna 2,5 mln ton towarów. Owa dynamika rozwojowa utrzymywała się i w 1935 r. zdolności przeładunkowe gdyńskiego portu osią-

gnęły 10 mln ton rocznie, cztery razy więcej niż planowano, gdy kilkanaście lat wcześniej zaczynał jego budowę. Port w Gdyni stał się największym na Bałtyku i najnowocześniejszym w całej ówczesnej Europie.

W 1929 r. minister Kwiatkowski zaakceptował wniosek prezydenta Poznania Cyryla Ratajskiego o zorganizowanie w tym mieście pierwszej Powszechnej Wystawy Krajowej, na której miały być zaprezentowane

gospodarcze osiągnięcia niepodległej Polski w ciągu 10 lat jej istnienia. Zarówno wystawa, jak i państwo polskie odniosły ogromny sukces. Od połowy maja do końca września odwiedziło ją ponad 4,5 mln osób, w tym 200 tys. gości z zagranicy. Prasa całego świata oceniła ją nadspodziewanie wysoko. Na przykład brytyjski „Daily Mail” napisał, że „świadczy wymownie, co uzyskali Polacy usilną pracą i oszczędnością. Polacy pokazali na tej wystawie, że nie ma przedmiotu, którego by sami sfabrykować nie mogli. Ten naród jest tak przemyślny, że potrafi zrobić wszystko, czego zapagnie”.

Natomiast 13 lipca 1930 r., podczas uroczystości podniesienia bandery na żaglowcu szkolnym „Dar Pomorza”, w księdze pamiątkowej napisano: „Polska bez własnego wybrzeża morskiego i bez

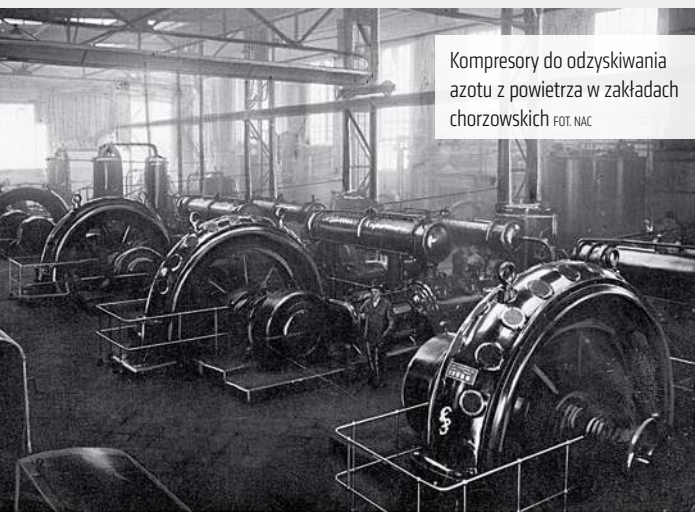
własnej floty nie będzie nigdy ani zjednoczona, ani nieodległa, ani samodzielna gospodarczo i politycznie, ani szanowana w wielkiej rodzinie państw i narodów, ani zdolna do zabezpieczenia warunków bytu pracy, postępu i dobrobytu swym obywatelom. Dziś można powiedzieć, że społeczeństwo spłaca dług historyczny na wybrzeżu [...]. Musimy sobie powiedzieć – z tym wybrzeżem wiąże się życie Polski, a bez niego śmierć Polski. Przez całą Polskę musi pójść zrozumienie, że tu tkwi podstawa rozwoju państwa polskiego, że tu się ono zaczyna i tu się kończy”.

W pierwszej połowie lat 30. Kwiatkowski wycofał się z życia politycznego, a raczej „został wycofany”, gdyż nie mógł pogodzić się z formami walki z opozycją polityczną. Część czołowych polityków sanacyjnych, z Walerym Sławkiem na czele, miała mu to za złe. Z kolei marszałek Piłsudski miał doń zastrzeżenia, nie do końca mu ufał, ale lubił, gdy jego ukochane córki bawiły się w Belwederze z córkami ministra. Po ustąpieniu z rządu Kwiatkowski zajął się jednak nie tylko teoretycznymi pracami z zakresu ekonomii, lecz także pracą w kolejnych wielkich zakładach azotowych, tym razem zbudowanych przez Polaków od fundamentów – Mościcach.

Zaczął nimi kierować na początku lat 30., w warunkach wszechświatowego kryzysu ekonomicznego, który szczególnie mocno dotknął m.in. Polski. Jednak ciężka praca i utrzymywanie produkcji dzięki koniecznemu ograniczeniu godzin pracy i obniżeniu cen produktów pozwoliły ocalić fabrykę w Mościcach i dawać utrzymanie zatrudnionym w niej ludziom. Przyniosło to po kilku latach znakomite efekty. Zakłady pod Tarnowem zaczęły przynosić czysty zysk w wysokości ponad 5 mln zł rocznie, a zatrudnienie przekroczyło liczbę 3 tys. osób. Połączone wkrótce z zakładami chorzowskimi, przynosiły zyski niemal dwukrotnie wyższe, zaspokajały krajowy popyt na nawozy sztuczne, a eksport z nich kierowano do 60 krajów.

STOJĄC U DROGOWSKAZU...

W 1935 r., po śmierci Piłsudskiego, Kwiatkowski otrzymał nominację na wicepremiera i ministra skarbu. W dużej mierze znów zawdzięczał ją prezydentowi Ignacemu Mościckiemu, znakomitemu teoretykowi – ale i praktykowi! – w dziedzinie zastosowań chemii w przemyśle, potrafiącemu docenić ogromny potencjał



Kompresory do odzyskiwania azotu z powietrza w zakładach chorzowskich FOT. NAC

lita odzyskała dostęp do morza w wyniku traktatu wersalskiego, ale rozstrzygnięcie w sprawie Gdańska, uczynionego „Wolnym Miastem”, nie pozwoliło na jego wykorzystanie zgodnie z interesami polskimi. Decyzja w sprawie budowy Gdyni zapadła wprawdzie w 1922 r., ale w ciągu następnych czterech lat wadliwe umowy z francuskimi wykonawcami powodowały stopniowe zamieranie prac. I oto po przewrocie majowym nowym ministrem przemysłu został człowiek, który trafnie i z goryczą pisał: „Morze dla Polski to jedno z najpoważniejszych i najdonioślejszych zagadnień historycznych. Ku niemu Polska szła wieki całe, a im bliżej się z nim wiązała i żyła, tym bardziej wzrastała jej siła wewnętrzna i znaczenie zewnętrzne. W XVII wieku utraciliśmy kontakt z morzem i wreszcie



Czerwiec 1939 r. Uroczystość poświęcenia Zakładów Południowych w Stalowej Woli. Na pierwszym planie w ostatnim rzędzie – wicepremier Kwiatkowski FOT. NAC

drzemiący w czterdziestokilkuletnim wtedy ekonomiście, inżynierze i wizjonerze zarazem.

Przypomnijmy jego słowa: „W tym bowiem miejscu Europy, gdzie leży Polska, istnieć może tylko państwo silne, rządne, świadome swych trudności i swego celu, wolne, rozwijające bujnie indywidualne wartości każdego człowieka, a więc demokratyczne, zwarte i zorganizowane, solidarne i silne wewnętrznie, budzące szacunek na zewnątrz, przeniknięte walorami kultury i cywilizacji, państwo nowoczesne, zachodnie, mnożące w wyścigu pracy własne wartości materialne i moralne. Czy możemy wahać się, stojąc u drogowskazu, gdzie pójść?”

Nowy premier wsparł z całą mocą rozwój krajowego przemysłu, wprowadzając w lipcu 1936 r. czteroletni plan inwestycyjny, w którym na uprzemysłowienie przewidziano niespotykane wcześniej sumy – do 1,8 mld zł. Historycznego wymiaru nabrało jego przemówienie z 5 lutego 1937 r. na posiedzeniu Komisji Budżetowej Sejmu, gdzie przedstawił i przeforsował projekt budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego w widłach Wisły i Sanu. Głównym celem tego przedsięwzięcia był wzrost potencjału zbrojeniowego Polski, koniecznego w kraju położonym między dwiema wrogimi totalitarnymi potęgami Niemiec i Sowietów. Projekt nie był nowy – już w 1921 r. wysunął go ówczesny minister spraw wojskowych gen. Kazimierz

Sosnkowski, potem opracowali go bracia Paweł i Władysław Kosieradzcy – ale dopiero za czasów Kwiatkowskiego doczekał się dynamicznej realizacji.

Kiedy Niemcy i Sowietci napadli na Polskę, gotowe lub w budowie były elektrownie wodne, huta i miasto Stalowa Wola, fabryki maszyn, broni i amunicji, samolotów (w osobnym rozdziale opiszemy to bardziej szczegółowo). Niemcy, tak chętnie operujący pogardliwym określeniem „polnische wirtschaft”, nader chętnie korzystali z urządzeń COP, rozbudowując niektóre niedokończone zakłady przemysłowe i rozwijając na przykład produkcję doskonałych pistoletów marki ViS...

Kwiatkowski uszedł z kraju wraz z całym rządem. We wrześniu 1939 r.

Azoty pod Tarnowem. Elektrownia z kominami o wysokości 114 metrów FOT. NAC



dopilnował wywozu polskiego złota, a na stacji w rumuńskich Czerniowcach oddał ostatnie 20 dol. również pozbawionemu pieniędzy „Śmigłemu”. Władysław Sikorski nie zgodził się na jego przyjazd do Francji, obarczając go współodpowiedzialnością... za klęskę wrześniową.

NA SWOIM MIEJSCU, CZYLI W POLSCE

Lipiec 1945 r. Bierut wysłał Borejszę do sanacyjnego męża stanu, przebywającego nadal w Rumunii: „Potrzebujemy Pana. Wybrzeże, morze, Gdynia czekają na zagospodarowanie. Pańska wiedza, doświadczenie i uczciwość są dla nas dostateczną rekomendacją”. Delegat Rządu do spraw Wybrzeża może w miarę skutecznie działać trzy lata. Zima 1947 r. – poseł Kwiatkowski (jednak zezwolono, by nim został) nie zostaje dopuszczony do głosu; i tak przez całą kadencję. W latach 50. zmuszono go do przejścia na głódową emeryturę, z zakazem zamieszkania i wykładania we wszystkich miastach pomorskich, w Poznaniu i Warszawie. Pomaga mu trochę Osóbka-Morawski; nie pomaga przedwojenny współpracownik Minc. Wraca do rodzinnego Krakowa.

Za Gomułki było różnie. Kiedy od czasu do czasu ukazywały się wywiady z Eugeniuszem Kwiatkowskim, niektórzy dziwili się, że jeszcze żyje. Należne splendory przywrócono dopiero staremu, schorowanemu człowiekowi, za Gierka



Msza święta polowa podczas kieleckiego zjazdu legionistów w 1926 r. Minister Kwiatkowski siedzi na końcu rzędu. FOT. NAC



Słynne przemówienie wicepremiera Kwiatkowskiego podczas posiedzenia Sejmowej Komisji Budżetowej w 1937 r. FOT. NAC

■ chwalonemu przezeń za budowę Portu Północnego. Kiedy umarł (22 sierpnia 1974), premier Jaroszewicz zamieścił w „Trybunie Ludu” nekrolog: „Zasłużony dla rozwoju gospodarki morskiej i kraju; wybitny działacz gospodarczy. Odznaczony przez władzę ludową Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski i innymi odznaczeniami państwowymi”.

Powrót do kraju w 1945 r. i komandoria PRL nie przysporzyły mu przyjaciół wśród emigracji na Zachodzie. Sądono, że ze względów oportunistycznych legitymizuje komunistyczną władzę. A on po prostu nie widział się w innej roli niż organizatora przemysłu, uczonego, wykładowcy, ale na swoim miejscu, czyli w Polsce. Kiedy go zapytano, jak sobie wyobraża raj, odparł, że dla niego jest to gabinet z dużym biurkiem

i niezbędnymi książkami. Przemęczenie? Jak można nie wykonać tego, co jest do wykonania? Marian Marek Drozdowski przytacza w biografii „Eugeniusz Kwiatkowski. Człowiek i dzieło” opinię córki Ewy z Kwiatkowskich Obrąpalskiej: „Racjonalista, pragmatyk, z wyboru i usposobienia uważał, że jeżeli można cokolwiek pożytecznego zrobić, to należy to zrobić bez oglądania się na osobiste emocje”.

Podobno bywał porywczy, co przy jego obowiązkach można zrozumieć, a nawet niesprawiedliwy wobec podwładnych – co zrozumienie już w latach 30. „propagandy sukcesu”. Zlecał kręcenie filmów o śląskim węglu, o Gdyni i rodzącej się flocie handlowej, o Centralnym Okręgu Przemysłowym. Urządzał tam wyjazdy reporterów, którzy

następnie wynosili wicepremiera pod niebiosa, w czym celował Melchior Wańkowicz. Przecież jednak zachodzi podstawowa różnica między propagandą Szczepańskiego, który wielbił zabójczy dla Polski manewr I sekretarza KC PZPR z lat 70., a dodawaniem sił i animuszu narodowi, który wznosił w dwudziestolecie międzywojennym dzieła wielkie, bo celowe.

MODLITWA Z WAWELSKIEJ KATEDRY

Przetwórstwo chemiczne węgla rzeczywiście się opłacało, port gdyński był przez długie lata najnowocześniejszym na Bałtyku, a fabryki Mielca, Stalowej Woli, Rzeszowa i innych miast wytwarzały wyroby naprawdę potrzebne. Produkcję zresztą nadal, po tylu latach. Energję dostarczały im specjalnie zbudowane elektrownie wodne. Dlatego wicepremier mógł w 1938 r. z dumą mówić w Sejmie: „Hasło budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, które przed dwoma laty mogło wydawać się nierealnym mirażem, dziś stało się konkretną rzeczywistością... Zostały założone wstępne, ale fundamentalne urządzenia energetyczne i przemysłowe w wielkim stylu...”. W ciągu ćwierćwiecza po 1989 r. słyszeliśmy – zwykle przed wyborami – co to się po wyborach zrobi, ale z realizacją planów było już znacznie gorzej. Do nie zawsze wesołych refleksji składają lata III Rzeczypospolitej i niektóre występujące w niej od początku figury.

W II RP budowano w Polsce szybko, sprawnie i ze znakomitym efektem. Na przykład kolejkę linową na Kasprowy Wierch (sprzedaną za rządów PO-PSL!)

wzniesli w pół roku – od jesieni do końca zimy – młodzi polscy technicy z pomocą górali. Gdynia i COP, a także pamięć wygranej wojny z bolszewikami scalały naród, napawały wiarą we własne siły, pozwalały z nadzieją patrzeć w przyszłość. Eugeniusz Kwiatkowski, tak jak wcześniej Władysław Grabski, stał się tytanem wspaniałej pracy w tej dziedzinie państwowych przedsięwzięć, na jakiej Polacy rzekomo się nie znali. Stanęli przed wyzwaniem dobrego wykorzystania owej wolności i niepodległości, o której marzyły pokolenia, a której ich pokolenie doczekało. I wyzwaniu sprościli.

To, jak wielkim darem była dla, wydałoby się, technokraty owa odzyskana rzecz pospolita, widać po tym, jak wspominał zaślubiny z Bałtykiem przyszły budowniczy Gdyni: „W bezbarwny, mglisty, deszczowy dzień 10 lutego 1920 r. szły sztandary Rzeczypospolitej od Pucka ku wybrzeżom zimnym i stalowym – witać Morze Polskie, szły wojska polskie szare i błękitne, piesze i konne, przesycone radością i śpiewem, niecierpliwe widoku morza, tej granicy państwa, która niczego nie odgranicza, niczego nie dzieli, nie oddala, nie łamie, lecz wszystko łączy i zbliża”.

Po przeczytaniu takich słów warto choćby chwilę poświęcić na zadumę nad całym pracowitym życiem naszego wielkiego rodaka. Zmarł 22 sierpnia 1974 r. w rodzinnym Krakowie i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim. Arcybiskup krakowski, kard. Karol Wojtyła, powiedział nad jego trumną: „Logika życia tego człowieka wymaga, aby modlitwa za jego duszę popłynęła z wawelskiej katedry”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Codziennie i z uporem

W exposé premiera Mateusza Morawieckiego, wygłoszonym w Sejmie 12 grudnia 2017 r., słowo „Polska” zostało wypowiedziane 147 razy, a słowo „gospodarka” – 40 razy. Komentatorzy uznali to za jeden z przejawów patriotyzmu gospodarczego nowego szefa gabinetu. Przypomina się zdanie: „Polska musi własnym wysiłkiem tworzyć i budować codziennie i z uporem, ze świadomością celu własną nowoczesną organizację polityczną i gospodarczą, zdolną do życia, do rozwoju i do wytrzymania wszystkich ciśnień zewnętrznych i wewnętrznych”. To jednak nie jest kolejny cytat z Morawieckiego. To zdanie wypowiedział także w Sejmie, ale 80 lat wcześniej – 5 lutego 1937 r. – wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski podczas obrad komisji budżetowej, gdy uzasadniał zwiększenie nakładów na inwestycje Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Na podobieństwo koncepcji oraz poczynań Kwiatkowskiego i Morawieckiego zwraca się uwagę od czasu, gdy ten ostatni został wicepremierem koordynującym działania całego pionu finansowo-wytwórczego. Łączy ich dążenie do rozwoju rodzimego przemysłu, stosowanie metod interwencjonizmu państwowego, głębokie poczucie związku między znaczeniem Polski a jej potencjałem gospodarczym, a także osobista uczciwość i pracowitość. Nie od rzeczy będzie też przypomnieć, że obydwaj w młodości garnęli się do patriotycznych czynów – jeden w Legionach i w POW, drugi w szereгах Solidarności Walczącej.

Może owe podobieństwa będą sprzyjać zainteresowaniu tym dodatkiem poświęconym Eugeniuszowi Kwiatkowskiemu, może nie. Zwróciłem tu na nie uwagę, gdyż chyba pomagają zrozumieć motywy przedsięwzięć człowieka, którego śmiało można uznać za jednego z rodaków najbardziej zasłużonych dla ojczyzny w okresie międzywojennym. I to na polu często w naszych dziejach zaniedbywanym – gospodarczym. Tymczasem w II Rzeczypospolitej i na tym polu dokazano niemało, a prawdziwym tytanem, motorem najbardziej spektakularnych sukcesów – budowy Azotów, Gdyni i COP-u – okazał się właśnie Kwiatkowski.

Nie tylko jednak tych trzech. W 1929 r., z inicjatywy prezydenta Poznania Cyryla Ratajskiego – którego zasłużenie się za to chwali – otwarto w tym mieście pierwszą Powszechną Wystawę Krajową. Oto jak wspominał to wielkie dzieło dyrektor PWK Stanisław Wachowiak: „Kiedy wszystko z taką glorią udało się, słusznie mógł ówczesny minister [przemysłu i handlu – przyp. M.R.] Eugeniusz Kwiatkowski, największy wówczas »motor« w często zmieniających się rządach, wygłosić swoje piękne przemówienie o »prawie zwycięstwa«. Był to także i jego triumf, bowiem nieliczni tylko wiedzieli, ile homeryckich bojów stoczył w Radzie Ministrów, aby postawić na swoim. Premierowie się zmieniali, on był wówczas jedyną trwałą pozycją w gabinetach”.

Warto o nim pamiętać, szczególnie w stulecie odrodzenia Polski. © ©

Maciej Rosalak

IX



MS „Piłsudski” w Nowym Jorku FOT. NAC



Maciej Rosalak

„Geheimrath Doctor Caro przeoczył, że w te cudowne dni Polski dla wszystkich Polaków był jeden temat: powstać na nowo”

Fabryki azotowe w

Na ten »temat« karabinem miast piórem pisały wypracowanie Ojczyźnie Orleńta Lwowskie, mając koło siebie w okopach swoich profesorów, na ten temat ministrowie pierwszego rządu lubelskiego z kubelkami kleju po mieście własnoręcznie rozklejali manifesty, na ten temat składów poniemieckich przy rozbrajaniu pilnowali z karabinem w ręku oficerowie jako sztyldwachy...”

Przytoczony wyżej cytat ze „Sztafety” Melchiora Wańkowicza dotyczy zarzutu chemika niemieckiego dr. Caro przeciwko prof. Mościckiemu, że w chorzowskich Zakładach Azotowych pracuje na „cudzych tematach”. Zakłady te w 1916 r. nosiły nazwę Oberschlesische Stickstoffwerke. Zostały wzniesione podczas wojny przez rząd niemiecki do spółki z Bayerische Stickstoffwerke, aby produkować nawozy i materiały wybuchowe pionierską metodą „z powietrza, wody i węgla”. Stanowiły drugą na świecie fabrykę azotniaku, która wytwarzała 120 tys. ton nawozów rocznie. Po wojnie, na podstawie art. 256 traktatu wersalskiego, należała się ona państwu polskiemu, ale rząd niemiecki nie mógł się z tym pogodzić i w końcu 1919 r. bezprawnie sprzedał zakłady o strategicznym znaczeniu fikcyjnej spółce do tego tylko celu powołanej. Sprawą wyceny zajmował się Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze, ale już 14 lipca 1920 r.

polski sąd przyznał przedsiębiorstwo Skarbowi Państwa, dokładnie dwa lata później zostało ono oficjalnie przejęte przez nasz rząd, a prezydent RP Stanisław Wojciechowski rozporządzeniem z czerwca 1924 r. nadał mu osobowość prawną i status spółki z o.o. pod nazwą Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Chorzowie.

Fabrykę powierzono prof. Ignacemu Mościckiemu – uznanemu w świecie uczonemu i posiadaczowi licznych patentów w dziedzinie chemii przemysłowej – który już od 1921 r. zaczął kompletować zespół naukowo-techniczny spośród młodych chemików, często swoich uczniów z Politechniki Lwowskiej. Wtedy też zbiegły się drogi dwóch wielkich Polaków: profesora (od czerwca 1926 r. prezydenta RP) oraz Eugeniusza Kwiatkowskiego. Mościcki wyróżnił go stanowiskiem dyrektora technicznego i nie zawiódł się na nim. A musieli borykać się z ogromnymi trudnościami, spiętrzonymi przez zawistnego niemieckiego dyrektora naczelnego Schicka, który odchodząc ze stanowiska, zabrał całą dokumentację technologii produkcji oraz swych wszystkich rodaków będących inżynierami i Technikami. Ku wielkiemu zaskoczeniu Niemców Polacy szybko uporali się z tymi przeszkodami.

Mościcki pisał w swej „Autobiografii”: „Po paru miesiącach doświadczeń doprowadziliśmy wydajność do niemieckiego

poziomu. Nie poprzestaliśmy jednak na tym; prace doświadczalne szły w dal-szym ciągu z powodzeniem. W stosunkowo niedługim czasie udoskonaliliśmy znacznie metodę niemiecką. Od tej chwili Niemiec nie imponował już więcej robotnikom chorzowskim... Zakłady chorzowskie pod zarządem polskim nabrały w opinii całego Śląska takiego rozgłosu, że wielu takich pracowników się znajdowało, co marzyło o dostaniu się do nich”. Identyfikacja robotników z fabryką zdecydowała o zlikwidowaniu sabotażu, do którego posuwali się Niemcy. „Rozpoczęło się – pisał profesor – sypanie piasku do panewek motorów, co spowodowało zacieranie się osi. Po tym następowały różne uszkodzenia elektryczne, a udało się nawet sabotażystom spowodować wybuch w młynie karbidowym, który nie pociągnął za sobą na szczęście ofiar”. Gdy Mościcki odwołał się do załogi, dywersja ustała jak nożem uciął.

Fabryka rozkwitła i zaczęła przynosić zyski, od 1924 r. zakłady chorzowskie stały się najrentowniejszym przedsięwzięciem gospodarczym państwa, choć za Niemców przynosiły straty. W 1927 r. zysk wyniósł 15 mln zł. Kwiatkowski – wtedy już minister przemysłu i handlu – wspominał: „Do tego Chorzów nie ma kapitału rezerwowego, zaczął działać bez obrotowego, musi cały czas inwestować w nowe technologie, aby zapewnić konkurencyjność swoim produktom.

Panorama Zakładów
Azotowych w Mościcach
pod Tarnowem, lata 30.

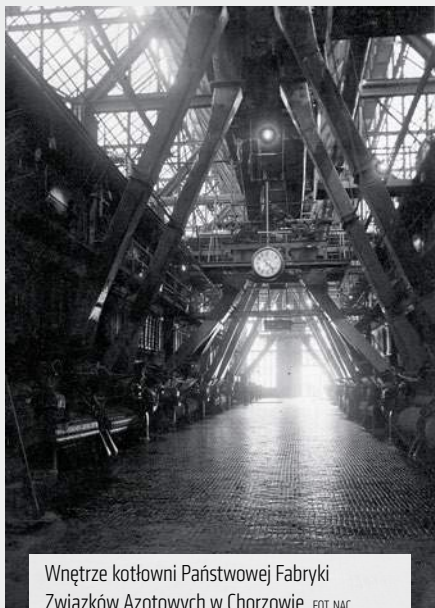
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Chorzowie i Mościcach

W 1927 roku zapłacił 1,4 mln podatków państwowych, do tego finansuje cały czas koszty procesu”. Podkreślał, że niewiele jest przedsiębiorstw państwowych i prywatnych gdziekolwiek na świecie zdolnych do uzyskania takich wyników.

Pomyślna sytuacja gospodarcza na świecie i w Polsce zdecydowała również o rozwoju naszego rolnictwa. Chłopi kupili w 1927 r. 210 tys. ton nawozów azotowych, popyt na nie rósł i nie wystarczała już produkcja chorzowska wynosząca 160 tys. ton nawozów rocznie. Rósł więc import. Dlatego 12 marca 1927 r. rząd zdecydował o budowie drugiej fabryki związków azotowych – pod Tarnowem, na nowym osiedlu nazwanym Mościcami. Prezydent wspominał w „Autobiografii”: „Minister Kwiatkowski powierzył budowę nowej wytwórni dr. Tadeuszowi Zwiśłockiemu. Zwiśłocki brał od samego początku udział w pracy nad uruchomieniem Chorzowa i kierował bardzo umiejętnie najwięcej czułym i trudnym do opanowania działem produkcji [...] był moim zięciem, więc wybór ministra nie bardzo mi dogadzał, jakkolwiek miałem jak najlepsze wyobrażenie o kwalifikacjach Zwiśłockiego. Chciałem uniknąć posądzenia mnie przez ludzi złośliwych o nepotyzm”. Cóż, zięć umarł w lutym 1929 r. z przepracowania...

Fabryka kosztowała ponad 100 mln zł, a dzięki własnej technologii



Wnętrze kotłowni Państwowej Fabryki
Związków Azotowych w Chorzowie FOT. NAC

mogła wytwarzać 182 tys. ton nawozów sztucznych rocznie. I wtedy nadszedł światowy kryzys, ceny żyta spadły ponad trzykrotnie, chłopi nie mieli pieniędzy na kupno nawozów i produkcja azotniaków stawała się nieopłacalna. Kwiatkowski – od 1931 r. dyrektor mościckiej fabryki – tak przedstawiał sytuację: „Z dwu alternatyw, a mianowicie wyrzeczenia się chwilowo wszelkich zysków przy niskich cenach produktów lub wyrzeczenia się wielu konsumentów przy cenach wysokich, wybraliśmy

zdecydowanie alternatywę pierwszą. Rozpoczęliśmy niespotykaną w innym dziale przemysłu w Polsce obniżkę cen i to nie dopiero wówczas, gdy w opinii publicznej podniesiony został krzyk o walkę z tzw. sztywnymi cenami, ale akcję tę podjęliśmy dobrowolnie i samodzielnie od roku 1930. [...] Wreszcie dla utrzymania konsumenta rozbudowaliśmy całkowicie zakład i możemy dostarczyć wszystkie zasadnicze gatunki nawozów azotowych w jakości bezkonkurencyjnej”.

Zakłady w Mościcach utrzymały się dzięki eksportowi po cenach dumpin-
gowych: w 1931 r. fabryka sprzedawała za granicę 30 tys. ton – o 3 tys. ton więcej niż w kraju. Kolejne lata były coraz lepsze m.in. dzięki opracowywaniu własnych technologii produkcji oraz trafnym zakupom licencji zachodnich. 1 sierpnia 1933 r. Kwiatkowski połączył zakłady w Mościcach i Chorzowie, a pięć lat później zysk tego koncernu zbliżył się do 9 mln zł. W maju 1938 r. Mościce – przynoszące większość zysku – zatrudniały 3,3 tys. osób, w tym tysiąc pracowników sezonowych, i tak nie mogąc nadążyć z zamówieniami napływającymi z kraju i z 60 państw świata. Z oczyszczalnią ścieków i elektrownią o mocy 60 MW Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Mościcach stała się istotnym elementem Centralnego Okręgu Przemysłowego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Dworzec Morski w Gdyni z jednym z naszych największych transatlantyków przy nabrzeżu
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Miasto i Port Gdynia



Maciej Rosalak

„Będziemy budowali nie tylko dlatego, że tego wymaga prestige Polski, obronność, samodzielność gospodarcza, bilans handlowy. Będziemy budowali i dlatego, że kapitał inwestowany w żegludze morskiej jest bardzo mały w stosunku do usług, jakie żegluga oddaje gospodarstwu narodowemu...”

Tę celną uwagę o konieczności budowy własnego portu oraz floty handlowej umieścił w „Sztafecie” Melchior Wańkowicz. Idea ta przyświecała polskim posłom, którzy 23 września 1922 r. uchwalili ustawę upoważniającą rząd „do poczynienia wszelkich niezbędnych zarządzeń celem wykonania budowy portu w Gdyni na Pomorzu jako portu użyteczności publicznej” oraz postanowili, że „kredyty niezbędne do budowy portu będą co roku wstawiane do budżetu”.

Ustawa pozostawała jednak martwą literą do 1924 r. z powodu inflacji i dopiero po reformie Grabskiego (wprowadzenie emisyjnego Banku

Polskiego i stabilnego złotego) uchwalono zaciągnięcie kredytu oraz poszukano wykonawców robót portowych. Niestety, francusko-polskie konsorcjum jako główny wykonawca okazało się kosztownym, ale bezproduktywnym pośrednikiem w kontaktach z innymi firmami francuskimi, które na ogół były nieprofesjonalne, mało wydajne i nie dotrzymywały terminów. Bałagan w finansowaniu i prowadzeniu przedsięwzięcia pogłębiły dodatkowo od 1925 r. niemiecko-polska wojna celna i odmowa załadunku polskiego węgla ze strony portu w Wolnym Mieście Gdańsku podczas strajku angielskich górników.

Główna zasługa Eugeniusza Kwiatkowskiego polegała nie tyle na wspieraniu samej idei budowy polskiego pełnomorskiego portu, ile na konkretnym, błyskawicznym i celowym działaniu, gdy tylko został po przewrocie majowym ministrem przemysłu i handlu. Zerwał on dotychczasową umowę z francuskim konsorcjum i zastąpił ją całkiem odmiennym porozumieniem. Strona polska regulowała odtąd należności gotówką w miarę postępu prac. Przebiegały one wedle ustalonego wcześniej harmonogramu, a za przedterminowe ukończenie kolejnych etapów inwestycji przyznawano premie. Sprowadzono renomowane specjalistyczne firmy, choćby belgijską Ackermans en van Haaren z Antwerpii oraz duńską Højgaard-Schultz z Kopenhagi. Oba przedsiębiorstwa weszły w 1930 r. w skład konsorcjum – wraz z polskimi firmami Biuro Budowlane F. Skąpski i S-ka oraz Inżynierowie SA. Przyniosło to znakomite efekty. Wańkowicz zachwycał się pod koniec lat 30.:

„Teraz, gdyby Żeromski żył, zaprowadzilibyśmy go na owo miejsce, na którym, pamiętam, droga piaszczysta zakręcała koło kilku checzy kaszubskich, między kilku niezażywnymi drzewinami. I pokaza-

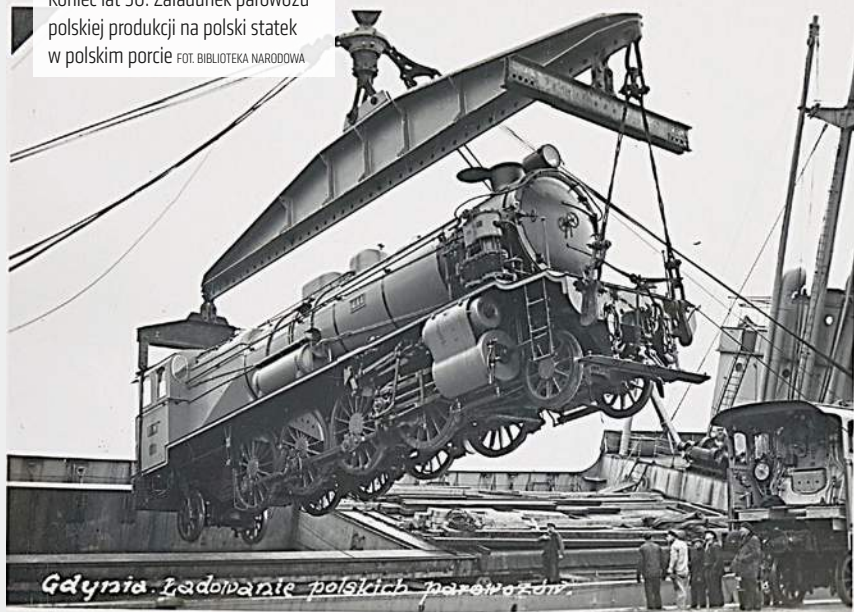
libyśmy nabrzeża długości 12 kilometrów i baseny o obszarze 320 ha, przystosowane do przyjmowania największych transatlantyków. Składy żelbetowe, składy olbrzymy, rozpierające się na 217 000 metr kw.; chłodnię największą w Europie na 1200 wagonów; elewator na 15 000 ton; 75 dźwigów, przerzucających 7500 ton na godzinę, wielkie dziedziń portu, całe jego krainy, przeznaczone każda na inny przeładunek: eksportowego węgla i importowego złomu, rudy, przemysłu rybnego...”

Dodajmy, że port, w którym w 1938 r. przeładowano 9,3 mln ton ładunków, wyprzedził pod tym względem m.in. Bremę (7,5 mln ton), Kopenhagę (6,3 mln ton), Rygę, Sztokholm, Neapol. Do Rotterdamu (42,3 mln ton) oraz Hamburga (25,3 mln ton) jeszcze sporo brakowało, ale tamte wielkie porty powstawały znacznie dłużej, a i rozmiary bieżących inwestycji na ich rozbudowę przekraczały jeszcze polskie możliwości.

Pierwszym polskim armatorem – państwowym, a następnie z większościami udziałem państwa – była założona w 1926 r. Żegluga Polska, na której czele stanął inżynier budowy okrętów Julian Rummel. Natomiast pierwszymi zakupionymi w 1927 r. we Francji statkami były niewielkie (po około 3 tys. ton nośności) masowce: SS „Wilno”, SS „Kraków”, SS „Toruń”, SS „Poznań” i SS „Katowice” (skrót „SS” oznacza steam ship – statek parowy; natomiast „MS” – motor ship). W 1939 r. Żegluga Polska posiadała 20 statków handlowych oraz wycieczkowych. Mniej statków (osiem w sierpniu 1939 r.), ale za to na ogół większych, transatlantycznych „pasażerów” motorowych, miały Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe (Gdynia-America Line, w skrócie GAL). Podziw budziły zwłaszcza MS „Batory” i MS „Piłsudski” o tonażu ponad 14 tys. BRT każdy. Kapitanem tego ostatniego został wspaniały nawigator floty carskiej z czasów wojny, dowodzący potem w wolnej ojczyźnie szkolnymi żaglowcami i coraz większymi statkami pasażerskimi – Mamert Staniewicz. Ów słynny „Znaczy Kapitan” z niezapomnianych opowiadań wspomnieniowych Karola Borchardta ożywiały wyobraźnię kolejnych pokoleń...

Przedwojenne polskie społeczeństwo było niezmiernie dumne z pięknej, imponującej Gdyni oraz ze swej Marynarki Wojennej i Marynarki Handlowej. I słusznie, tak naprawdę po raz pierwszy w dziejach stawaliśmy się narodem i państwem morskim. Pamiętajmy przy

Koniec lat 30. Załadunek parowozu polskiej produkcji na polski statek w polskim porcie FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



tym, że tonaż naszych wszystkich statków handlowych wynosił w dniu wybuchu wojny 143 671 BRT, a załogi kilkadziesiąt statków handlowych i pasażerskich liczyły około 3 tys. osób. Porównajmy to z jednym tylko, wodowanym w 1938 r. supertransatlantykiem brytyjskim „Queen Elizabeth”: 83 637 BRT i ponad 1100-osobowa załoga. Czyli dwie takie „Królowe Elżbiety” miały większą pojemność niż cała Polska Marynarka Handlowa, trzy zatrudniały zaś więcej kadry na pokładach.

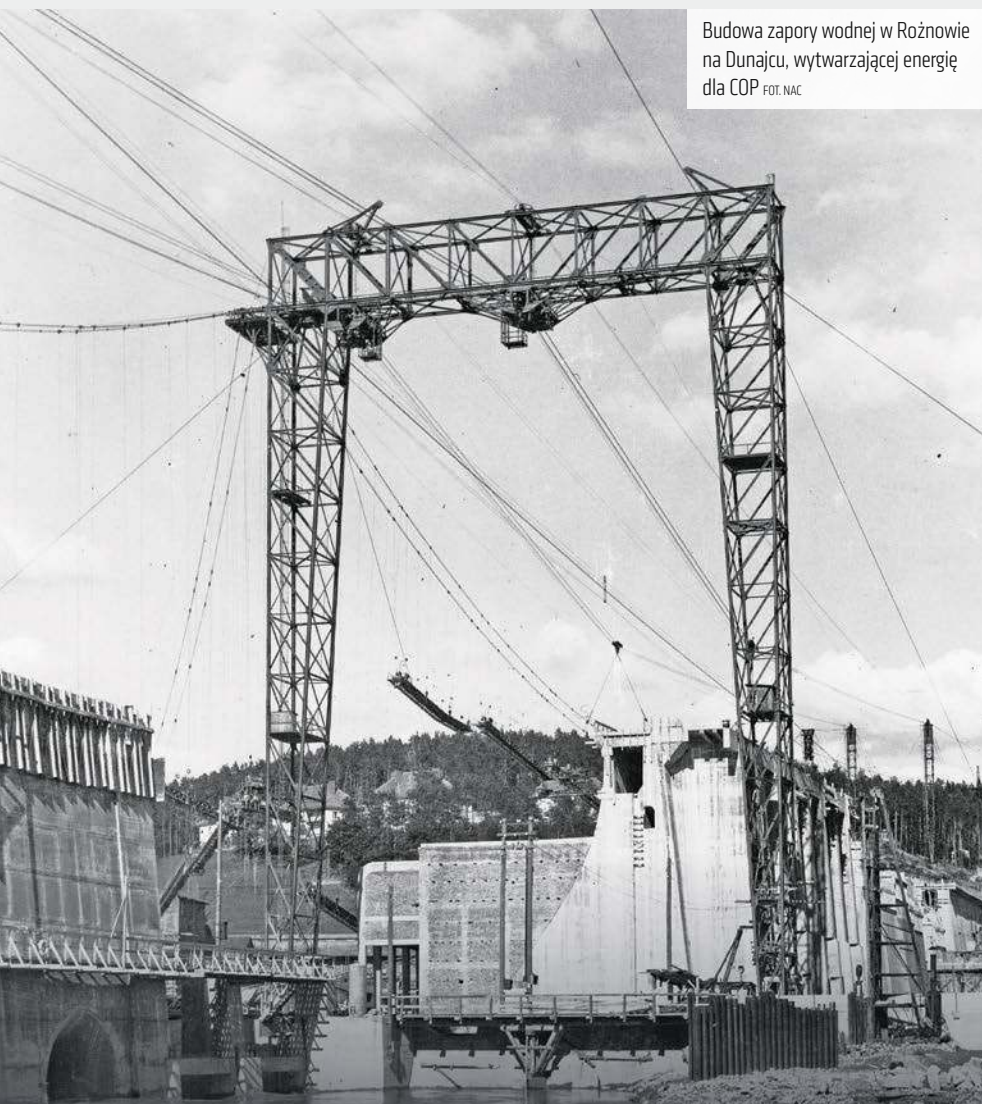
Kredyty i kontrakty zawierane od połowy lat 20. z Francuzami (niezbyt szczęśliwe), a następnie z Brytyjczykami pozwoliły w końcu lat 30. na wystawienie floty wojennej – małej wprawdzie, ale mogącej podołać zadaniom walk na Bałtyku, zwłaszcza w przypadku konfliktu z Sowietami. Polską Marynarkę Wojenną tworzyły głównie we wrześniu 1939 r. niszczyciele ORP (Okręty Rzeczypospolitej Polskiej) „Wicher” i „Burza” (produkcji francuskiej) oraz zamówione w Anglii duże niszczyciele „Grom” i „Błyskawica”, okręty podwodne „Ryś”, „Wilk” i „Żbik” oraz (większe) „Sęp” i „Orzeł”, kilka zbudowanych już w kraju trałowców (zastąpiły złomowane niemieckie), parę kutrów i stawiacz min „Gryf”.

I na koniec jeszcze raz Wańkowicz w poruszającej frazie o Polsce i morzu:

„Kiedy w 1920 r. granice lądowe nagle wrogo się zamknęły dla przywozu broni, a statków z amunicją nie chciał wyładować Gdańsk, gdzie była nasza Niepodległość? A kiedyśmy po wojnie bolszewickiej chcieli wejść w rodzinę ludów i postanowiliśmy sprzedać pierwszych 100 000 ton cementu, a obce linie okrętowe, pod wpływem cementowni zagranicznych, nie chciały go zafrachtować, a my nie mieliśmy swoich okrętów – gdzie była nasza Niepodległość? A kiedyśmy wykorzystali koniunkturę węglową i weszliśmy w 1926 r. na rynek światowy, a armatorzy obcy prawem silniejszego dobili po półtora szylinga na tonie, tak że w 1926 r. niepotrzebnie nadpłaciliśmy 7 740 000 zł – gdzież była nasza Niepodległość?...

I wówczas to poczęło się z naszej strony. Poczęło się dzieło cudowne, przemysłne, ciągłe, nieprzerwane, zgodne, mądrzejsze niż przemijające rządy, mądrzejsze niż skłócenie ludzi, dzieło instynktu. To wówczas kazano okrętom cudzoziemskim podchodzić ku Gdyni i na morzu, bez falochronu, wyładowywać w barkasy. To wówczas nad fale morskie rzucano pierwszy wątył prowizoryczny pomost drewniany na palach, to wówczas pociągnięto kolej ku Helowi i poczęto się rozglądać, gdzie budować port...”





Budowa zapory wodnej w Rożnowie na Dunajcu, wytwarzającej energię dla COP. FOT. NAC

Centralny Okręg Przemysłowy



Maciej Rosalak

„Przesuwamy się wzdłuż maszyn wiercących, heblujących, tnących. W oczach naszych bloczki stali przybierają formy trybów, dźwigów, kółek, suwaków, które pójdą w świat i będą pracowały po najmniejszych warsztatach, do których prądu dostarczy Rożnów, gazu rurociąg – będą wypełniały głodną maszyn Polskę...”

XIV

Tak pisał o fabryce obrabiarek w Rzeszowie Melchior Wańkowicz w swej słynnej „Sztafecie”. Własny przemysł zbrojeniowy, ograniczenie bezrobocia, odbudowa gospodarki po kryzysie ekonomicznym – oto przesłanki wielkiego planu inwestycyjnego w Polsce końca lat 30. Wdrażał go wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski już od 1936 r. Natomiast rok później w jego ramach umieścił projekt Centralnego Okręgu Przemysłowego. Pomysłodawcami byli bracia Kosieradzcy: Władysław – prawnik i ekonomista z Uniwersytetu Warszawskiego, oraz Paweł, profesor nauk technicznych pracujący w warszawskiej Fabryce Karabinów. Szczegółowego opracowania dokonali wraz z Kwiatkowskim. Zdaniem Jana Nowaka-Jeziorańskiego rola Kwiatkowskiego polegała „na ocaleniu i umocnieniu niezależności gospodarczej, bez której Polska nie mogła się ostać jako niepodległe państwo”.

Projekt COP pobudzał wyobraźnię społeczeństwa. Oto na terenach rolniczych Sandomierszczyzny, Lubelszczyzny, Kielecczyny i Podkarpacia, wyraźnie zapóźnionych gospodarczo w porównaniu z ziemiami dawnego zaboru pruskiego, miały powstać zapory wodne i elektrownie oraz dziesiątki fabryk dających zatrudnienie i produkujących różnorodne maszyny oraz broń potrzebną armii. Wstępny podział na Kielecczynę dającą surowce, Lubelszczyznę zapewniającą apropryzację oraz Sandomierszczyznę, gdzie właśnie w widłach Wisły i Sanu miały wyrosnąć zakłady przemysłowe, wyraźnie zatarł się podczas realizacji. Przykładowo w Radomiu rozbudowano fabrykę broni, a w Lublinie powstawały samoloty. W każdym razie ów okręg leżał w centrum państwa, możliwe oddalony od bezpośredniego zagrożenia ze wschodu i z zachodu, a zamieszkiwała go – co też nie było bez znaczenia dla jego bezpieczeństwa – ludność etnicznie polska.

Wicepremier Kwiatkowski uzasadniał przeznaczenie odpowiednich funduszy na rzecz COP w słynnym przemówieniu 5 lutego 1937 r. na posiedzeniu Sejmowej Komisji Budżetowej. Zaznaczył m.in., że Polska przeznaczy na inwestycje 27,5 proc. budżetu – wyraźnie więcej od innych krajów europejskich (Francja i Czechosłowacja – po 19 proc., Belgia – 20 proc., Włochy – 15 proc., a Austria – niecałe 4 proc.). „Wyraźnie więc przechodzimy – oświadczył Kwiatkowski – z formy pasywnej i konsumpcyjnej wydatków państwowych na podwyższanie części twórczej i inwesty-

cyjnej”. Ciekawe są argumentacja przemawiająca za uchwaleniem czteroletniego planu budowy COP (przede wszystkim zbrojeniowego) oraz planu rocznego („bardziej gospodarczego”) i przedstawiona pod koniec przemówienia pewnego rodzaju wizja przyszłości, jaką powinna wybrać Polska:

„Można, oczywiście, wywołać szereg wątpliwości i kwestii związanych z tymi projektami. Można twierdzić, iż troskę o podstawowe inwestycje można by całkowicie pozostawić prywatnej inicjatywie, gdyby tylko zapewnić jej trwałą i solidną rentowność. Można by sprzeciwiać się samej idei planowania i harmonizowania inwestycji w takim rozmiarze. Można by badać i odrzucać projekty inwestycji nierentownych albo pozornie nierentownych, czyniąc z tej zasady główne kryterium. Można usiłować przerywać kwoty z jednej pozycji na drugą. Można też skoncentrować uwagę na wątpliwościach natury formalnoprawnej. [...]”

Ale istota rzeczy pozostanie zawsze w tym, że projektowane prace i cele dojrzały już jako konieczność polityczno-gospodarcza i konieczność socjalna współczesnej Polski. Musimy pozytywnie, spokojnie, z męską decyzją pokonywać coraz większe trudności, jeżeli naprawdę cenimy zdobytą wolność i całość. W bezwładzie i w kryzysie wiecznie żyć nie można. Mamy pełną świadomość wagi zagadnienia obrony, zmobilizowanej przez cały Naród. Mamy świadomość, iż musimy uleczyć ostatecznie wszystkie głębokie rany i wszystkie choroby, które powstały w okresie długotrwałej niewoli i rozdarcia. Musimy tworzyć trwałą i mocną więź pomiędzy jedną dzielnicą Polski i drugą, pomiędzy Państwem i obywatelem, pomiędzy gospodarstwem i Narodem”.

Obiekty COP powstawały w zawrotnym tempie. Plan inwestycyjny z 1936 r. wykonano już w marcu 1939 r. – cały rok przed terminem. Wydano wtedy do 2,8 mld zł, przy czym udział Skarbu Państwa wyniósł ponad 70 proc., udział kapitału zagranicznego nie przekraczał zaś 5 proc. Inwestycje wojskowe kosztowały ponad 780 mln zł. Budowa obiektów COP pochłonięła od 1937 r. 60 proc. wydatków inwestycyjnych, przy czym najwięcej wydano na infrastrukturę: drogi, koleje, linie energetyczne, rurociągi, bez których uruchomienie fabryk byłoby niemożliwe.

A realizowano wtedy tak wielkie przedsięwzięcia jak budowa zapory i elektrowni wodnej w Rożnowie na Dunajcu.



Bombowiec PZL-37 „Łoś” – jedna z udanych konstrukcji naszego przemysłu zbrojeniowego. FOT. NAC



Wnętrze hali montażowej w Lublinie. Widoczny szkielet samolotu oraz – z prawej – silnik gwiazdowy. FOT. NAC

Zaporę na Sole ukończono w 1937 r. (wedle projektu Gabriela Narutowicza) i stworzono Jezioro Międzybrodzkie, ale na elektrownię nie wystarczyło już przed wojną czasu (ukończono ją w latach 50.). Wielką inwestycją było wzniesienie i uruchomienie huty oraz miasta Stalowa Wola. Budowę rozpoczęto w 1938 r., a otwarcie nastąpiło w czerwcu roku następnego! Huta produkowała stal szlachetną, sprzęt rolniczy oraz wojskowy. Wańkowicz pisał z uniesieniem w „Sztafecie”, że w Stalowej Woli otrzymuje się: „stal walcowaną, prasowaną, kutą, narzędziową, konstrukcyjną... Stal o współczynniku rozszerzalności ograniczonym – takim jak aluminium, z którym ta stal współpracuje – np. w gniazdach zaworowych. Stale o najwyższych wymaganiach, obsługujące różnorodne potrzeby – od spinki do samo-

obrosłe, tu będą wyładowywane z barek, tu będą się reinkarnować w stal. Tę stal stąd będą otrzymywać wszystkie zakłady w COP-ie i w całej Polsce...”

Część budowanych wtedy fabryk należała do Państwowych Zakładów Lotniczych. W Mielcu powstała Wytwórnia Płatowców, w Rzeszowie – Wytwórnia Silników, w Lublinie zaś – Wytwórnia Samolotów. Spośród ponad 60 zakładów przemysłowych COP, które wtedy budowano i których część zdążono ukończyć przed wojną, wymienimy jeszcze choćby: Wytwórnę Obrabiarek w Rzeszowie, fabryki amunicji w Skarżysku, Dąbrowie-Borze, Jawidzu i Dębie, Fabrykę Materiałów Wybuchowych w Pustkowie, Państwową Wytwórnę Materiałów Kruśzących w Pionkach, Zjednoczone Fabryki Maszyn, Kotłów i Wagonów w Sanoku, rozbudowę Zakładów Zbroje-

niowych w Starachowicach i Państwowej Wytwórni Broni w Radomiu oraz Zakłady Chemiczne w Nowej Sarzynie. Niektóre z tych zakładów wykorzystywali okupanci niemieccy, w PRL odbudowywano je i włączano do gospodarki planowej, a część przetrwała nawet tzw. transformację ustrojową i kwitnie nadal, tyle że w obcych rękach.



Pistolet VIS. FOT. MWP

chodu. Stal ta będzie przybywać kanałami ze Śląska, a, da Bóg, z terenów COP-u, na których obecnie badamy pokłady rudy. 50–60-kilowe «gęsi» żelaza, zastygłe w drążonych w wilgotnym piasku «kopytach», chropawą szlaką

MACIEJ ROSALAK: Malowano dwa skrajnie odmienne obrazy II Rzeczypospolitej Polskiej. Na pierwszym widzimy zacofane pod każdym względem państwo skazane na zagładę przez nieodpowiedzialne rządy. Na drugim – dynamicznie rozwijający się kraj zniszczony przez spisek Hitlera ze Stalinem przy biernej postawie sojuszników. Który z tych obrazów bardziej odpowiada rzeczywistości?

PROF. ANDRZEJ CHOJNOWSKI: Nie wiem, czy istnieje nadal wizerunek takiego całkowicie nieudanego państwa. Wydaje mi się, że nie przetrwał on do naszych czasów. Oczywiście niegdyś go kreowano, zwłaszcza na zewnątrz, a nie w samej Polsce. Spotykaliśmy się więc z sowieckim określeniem „bękart wersalski” i niemieckim „państwo sezonowe”, ale wśród wewnętrznych przeciwników politycznych nie było raczej osób aż tak jaskrawo stawiających sprawę. Skrajna krytyka II Rzeczypospolitej należy już do przeszłości.

Natomiast podkreśla się chętnie dynamizm rozwoju II RP w wielu dziedzinach, co nie oznacza jednak, że wszystkie problemy, z jakimi przyszło się borykać, zostały rozwiązane. Wynikało to z obiektywnych okoliczności – państwo było przede wszystkim za biedne, aby się w pełni modernizować. Modernizacja wymaga bowiem nie tylko ludzkiej energii, lecz także pieniędzy na budowę dróg czy rozwój oświaty, a tych Polska nie miała. Popelniano też błędy, nawet nie wynikające ze skrajnej głupoty lub złej woli, ale z nietrafionych wyborów. Jeżeli na przykład wybrało się – zamiast zakupów na zewnątrz – produkcję własnej broni, a nie miało się już pieniędzy, by nabywać działa czy samoloty, to trzeba było je sprzedawać za granicę, by zakłady nie splajtowały.

Trudno jednak o sprawiedliwą ocenę poczynąń naszych władz, bo państwo trwało zbyt krótko, aby wszystkie plany i działania przyniosły owoce. Niezależnie od przedsięwzięć nieudanych absolutnie nie można powiedzieć, że państwo nie wykorzystało szans, jakie dało nam odzyskanie niepodległości.

Siłą rzeczy nasuwa się porównanie tamtego dwudziestolecia z latami, jakie upłynęły od 1989 r. Po międzywojniu jak świetliste punkty pozostały: Gdynia, COP, chorzowskie i tamowskie Azoty, linie kolejowe oraz sprawne PKP, a także reforma finansów publicznych Władysława Grabskiego. A czym my się możemy pochwalić, biorąc na przykład pod uwagę podobnie długi okres, czyli lata 1989–2010? Likwidacją stoczni i cukrowni oraz długiem publicznym? To prawda, że porównywanie tak różnych epok nie jest w pełni uprawnione, ale weźmy choćby punkt wyjścia.



O zestawieniu II Rzeczypospolitej z III Rzeczpospolitą z prof. Andrzejem Chojnowskim rozmawia Maciej Rosalak

Różnica epok i kłopotów



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W latach 1918–1920 kraj pozostawał rozdarty stuleciem rozbiorów, a także straszliwie zniszczony I wojną światową oraz wojną bolszewicką. Na przykład ponad połowa mostów i stacji kolejowych nie nadawała się do użytku. W 1989 r. materialnych zniszczeń nie było. Czy w takim razie ludzie zawiedli? Brak wyobraźni, odpowiedzialności, poczucia misji?

Słusznie powiedział pan o różnicy epok i kłopotach z porównaniami. II Rzeczpospolita musiała oczywiście naprawić zniszczenia wojenne, rozprawić się z całym politycznym i infrastrukturalnym spadkiem po rozbiorach, ale nie musiała – tak jak my – przechodzić w inny wymiar systemowy. To była kontynuacja systemu gospodarczego, który istniał w drugiej połowie XIX w. Nie był wtedy potrzebny tak zasadniczy eksperyment ustrojowy, jaki trzeba było przeprowadzić po 1989 r. Nas czekała konieczność demontażu poprzedniego systemu, zarówno w świadomości społecznej, jak i na polu materialnym. Mówi pan o nieodzowności budowy zniszczonych podczas I wojny światowej mostów. Inaczej się to przedstawiało w ostatnim dwudziestolecu, kiedy odziedziczyliśmy archaiczne technologiczne i organizacyjne obiekty przemysłowe, które niekiedy należało właściwie rozebrać, żeby na ich miejscu wybudować nowe.

Po 1918 r. mogliśmy podążać starą drogą, jedynie intensyfikując działania, wzbogacając je o własne pomysły i energię. Pomagała świadomość, że teraz jesteśmy wreszcie u siebie i wszystko możemy czynić na własną odpowiedzialność. I stała się zasadnicza różnica nastrojów. Jeżeli nawet w 1989 r. znaczna część rodaków cieszyła się, że nareszcie upadł komunizm, to oczekiwania w dziedzinie gospodarki były raczej mgliste. Niektórzy spodziewali się, że teraz po prostu zapanuje raj, inni nie wiedzieli, co nastąpi i co należy czynić. Czy trzeba na przykład zburzyć wszystko, co pozostało po PRL, i budować od nowa... W 1918 r. tego typu rozterek nie było. Polacy wiedzieli, że uda się zrobić to, co zależy od naszych możliwości, od naszego zapału, natomiast nie żywili obaw, że przystąpimy do jakiegoś eksperymentu, który jest wielką niewiadomą. Pod względem ustroju politycznego i gospodarczego droga wydawała się prosta. W latach 1918 i 1989 stawaliśmy przed różnego rodzaju dylematami.

Istnieje jednak wspólny mianownik, który łączy obydwie epoki – brak kapitału polskiego. Przed niemal stuleciem państwo radziło sobie w ten sposób, że samo stawało się inwestorem, a następnie właścicielem i zarządcą przedsiębiorstw. Interwencjonizm



Warszawa 1931 r. Otwarcie linii lotniczej Warszawa – Bukareszt. W środku stoi minister Kwiatkowski. FOT. NAC

państwa i etatyzm wspaniale zdawały egzamin; tak było przy wszystkich wymienionych wcześniej przemianach inwestycyjnych. Według pomysłu, który dominował po 1989 r., wszystko należało jak najszybciej sprzedać w ręce kapitału zagranicznego oraz polskiego, często szemranego. Która droga jest więc słuszna?

Brak kapitału jest istotnie polskim problemem całego XX w. I Rzeczpospolita, w której nie było Rockefellerów, została niejako zmuszona do interwencjonizmu. Wprawdzie Eugeniusz Kwiatkowski, inicjator największych inwestycji państwowych, nieco hamował interwencjonizm, zwłaszcza w polityce walutowej, i nie poszedł – jak III Rzesza – w kierunku napędzania koniunktury inflacją, jednak mało kto dziś sobie zdaje sprawę, jak bardzo nasze państwo było zetetyzowane...

Ale to świetnie działało!...

Być może, niemniej trzeba stwierdzić, że ten kierunek rozwoju nie został dostatecznie zweryfikowany przez upływ czasu. Do budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego przystąpiono po 1935 r. Rok 1939 przerwał ten eksperyment i nie wiemy, czy nie zostałyby skażone dolegliwościami, które cechują gospodarkę państwową. Czy przedsiębiorstwa wykazałyby rentowność. Czy pracownicy osiągnęliby wysoki poziom wydajności...

Już w latach 20. przejęte przez państwo od Niemiec chorzowskie Azoty, połączone później z nowo wybudowanymi Azotami tarnowskimi, osiągnęły największą w kraju rentowność...

Pozostają jednak pytania, na które możemy odpowiedzieć, jedynie gdybając.

COP na przykład zaczął borykać się z problemami wynikającymi z całej struktury gospodarczej kraju. Nie mógł wykorzystać mocy produkcyjnych, nie znajdując zbytu. Państwo mogło wyłożyć pieniądze na budowę zakładów, ale nie wystarczało mu na kupowanie produktów. I właśnie tuż przed wojną dochodziło do paradoksalnej sytuacji, że armia polska cierpiała na brak uzbrojenia, choć fabryki zbrojeniowe mogły to uzbrojenie wyprodukować.

Oczywiście ma pan rację, że droga, którą Polska wybrała, okazała się całkiem sensowna, tylko że później idea etatyzmu została całkowicie skompromitowana w czasach komunistycznych. Dla tych, którzy podejmowali decyzje po 1989 r., zwłaszcza dla liberałów, to, co państwowe, stało się symbolem czegoś absurdu, niegospodarności i fikcji gospodarczej. I właśnie wtedy nie doceniono doświadczeń okresu międzywojennego (tu wymieniam się najczęściej Leszka Balcerowicza), choć niektórzy (tak jak Jacek Kuroń) o tych doświadczeniach myśleli. Interwencjonizm państwa nie wynika bowiem z konieczności rozwiązywania problemów tylko gospodarczych, lecz także społecznych. Państwo tworzyło przed wojną nowe miejsca pracy, aby ograniczyć bezrobocie i stwarzać alternatywę cierpiącym na głód ziemi na wsi. Demontażowi dużych zakładów pracy po okresie komunizmu nie towarzyszyła zaś troska o los zwalnianych pracowników. Przeświadczenie, że dzięki odprawom zaczną oni zakładać własne firmy i z takich małych kawałków powstanie następnie nowy system gospodarczy, okazało się chybione.



Polska produkcja zbrojeniowa. Czołg 7TP FOT. NAC



Armaty przeciwlotnicze 75 mm FOT. NAC

Przyczyn niepowodzeń tzw. transformacji ustrojowej należy szukać w zaniku honoru, uczciwości, odpowiedzialności. Przed wojną wybuchło parę głośnych afer, ale przecież nie wystąpiło zjawisko korupcji na taką skalę jak w latach 90. Wracali – a nie wyjeżdżali z kraju! – świetnie wykształceni ludzie o najwyższych kwalifikacjach zarówno zawodowych, jak i moralnych. Na przykład Ignacy Mościcki, opływany przez lata PRL symbol wszystkiego, co najgorsze, w sanacji był znakomitym uczonym i organizatorem, który poprowadził do sukcesu nasz przemysł azotowy. Co ciekawe, miał podporę w zięciach. Tadeusz Zwisłocki, również uczony chemik, uruchomił tarnowskie Mościce (umarł w 1929 r. z przepracowania!). Aleksander Bobkowski, wiceminister kolejnictwa i światowej sławy miłośnik gór, zainicjował budowę kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Według polskiego projektu zbudowali ją polscy technicy i górale w siedem miesięcy, i to jesiennych oraz zimowych! Działa nadal. Gdzie są dziś tacy ludzie?

Na pominięcie doświadczeń międzywojennego interwencjonizmu państwowego nałożyły się zarówno klęski gospodarcze komunizmu, jak i zlekceważenie doświadczeń części zachodniej Europy, gdy odchodzono od założenia, że wszystko, co państwowe, musi być złe w gospodarce. Etatyzm komunistyczny wypływał z przesłanek ideowych, toteż elementy wolnego rynku, które pozostają przecież obecne nawet w tych państwach kapitalistycznych, w których upaństwowiono częściowo gospodarkę, w komunizmie zostały zniszczone. Prowadziło to do powstania systemu fikcji gospodarczej,

z odgórnym narzucaniem wziętych z sufitu cen itd. Część społeczeństwa nauczyła się w tym absurdzie żyć i wykorzystywać go na swoje potrzeby. Wytworzył się typ człowieka zwany homo sovieticus.

To, co faktycznie stanęło w 1989 r. jako problem społeczny, było koniecznością zmiany tego typu mentalności i powrotu do wartości oraz zasad, które towarzyszyły od wielu dziesięcioleci ludzkiej gospodarności. Tymczasem ów problem pomijano, zakładając, że automatycznie sam się rozwiąże, bo ludzie szybko nauczą się w nowym ładzie nowego sposobu postępowania. A tu się okazało, że taki automatyzm bynajmniej nie występuje...

... i homo sovieticus nauczył się być krętaczem w systemie kapitalistycznym.

Okazało się też, że zysk nie jest jedynym motorem ludzkiego postępowania, co zakładał marksizm; że występują inne potrzeby, zwłaszcza w aspekcie kulturowym. Rzucenie ludzi na głęboką wodę nie zadziałało. Zaniechano przy tym misyjnej działalności państwa, zminimalizowano obowiązki państwa wobec obywateli, pozostawiono ludzi samym sobie. A przecież nigdzie do końca tak się w Europie nie dzieje. Liczne kraje na Zachodzie osiągnęły znaczny poziom rozwoju właśnie dzięki udziałowi państwa w przedsięwzięciach gospodarczych i społecznych.

Zapomniano o międzywojennym interwencjonizmie państwa, który nie był przecież żadną fanaberią, ale koniecz-

nością wynikającą z sytuacji. Być może zresztą gdyby po pewnym czasie przestał pełnić swoją funkcję, państwo by od niego odeszło. Z pewnością odegrał on jednak pozytywną rolę.

Myszę, że na ujemne zjawiska, z jakimi mamy dziś do czynienia, wpływają dwa odmienne mity założycielskie. Przed niemal wiekiem była to zwycięska wojna z bolszewikami, poprzedzona chwalebnymi dokonaniem militarnymi Legionów Józefa Piłsudskiego, POW oraz dyplomacją Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego na Zachodzie. Mit autentycznego Polaka zwycięzcy. Po II wojnie światowej mamy przerażający mit kłamstwa katyńskiego i rzekomo wygranych przez komunistów wyborów 1947 r. (w rzeczywistości sfałszowanych) jako legitymizację ich władzy. Po Polsce Ludowej z tym mitem nie rozprawiono się w sposób dostatecznie dobitny. W efekcie III RP odziedziczyła legendy formacji prosiwieckiej...

Odniosę się do tego na trochę innej płaszczyźnie. Z pewnością nasze państwo powstawało po I wojnie światowej w atmosferze triumfu. Oto zwyciężyły marzenia! Wydawały się one przez ponad sto lat utopią i mrzonką, a jednak ziściły się... W ciągu pierwszych dwóch lat istnienia Polacy zdołali stworzyć państwo dostatecznie silne, aby odepchnąć zagrożenia od swych granic. Niezależnie od różnic politycznych, jakie występowały już w latach 1918–1920, większość Polaków podzielała dumę ze swego państwa.

Drugim czynnikiem niezmiernie ważnym po 1918 r. było to, że wskrzeszenia



Armata przeciwpancerna 37 mm (na licencji Boforsa) FOT. NAC



Samolot myśliwski PZL P.11c FOT. NAC

państwa dokonali marzyciele, którzy nie liczyli się ze wszystkimi okolicznościami czyniącymi ich przedsięwzięcie – wydawałoby się – daremnym. Stanowiący elitę w znaczeniu także ilościowym. To była mała grupka, ale odwołała się do mas, wciągnęła większość do dzieła odrodzenia państwa, zapowiadając natychmiast i błyskawicznie organizując wybory do Sejmu. Nie odkładano momentu decydowania społeczeństwa o swojej przyszłości, nawet licząc się z tym, że może nie jest ono w pełni do tego przygotowane i że odsunie od władzy ową grupkę marzycieli. Piłsudscy przegrywali wszak w pierwszych wyborach.

Zgoda, po kilku latach dokonali oni korekty demokratycznego założenia, że większość ma rację, i przejęli władzę siłą, ale tuż po odzyskaniu niepodległości doszło do zaktywizowania całego społeczeństwa. Natomiast po 1989 r. elity były przeświadczone, że większość Polaków nie jest w stanie ocenić, co dla nich dobre, i same muszą podejmować najważniejsze decyzje. Uznano, że Polak jest skażony, zdemoralizowany komunizmem i niezdolny do wyrzeczeń. Nie powiedziano jasno, że przebudowa państwa będzie trudna i musi się wiązać z wysokimi kosztami i ofiarami ze strony społeczeństwa.

W 1920 r. nie wygralibyśmy z bolszewizmem, gdyby nie odwołanie się do narodu. Po 1989 r. elity okazały pychę i straciły kontakt ze znaczną częścią społeczeństwa. Stąd nawet rodzące się pomysły przeprowadzenia czegoś w rodzaju zamachu

stanu, wulgarnie mówiąc „wzięcia ludzi za mordę”, żeby wymusić na nich przejście do gospodarki wolnorynkowej.

Tylko Marszałka nie było w Sulejówku...

W istocie nie było przywódcy o dostatecznym autorytecie, który mógłby przeprowadzić tego typu rozwiązanie i pociągnąć za sobą większość obywateli.

W II RP dojrzewali tacy ludzie jak Rogalski, Wigura i Drzewiecki, którzy dosłownie w piwnicy Politechniki Warszawskiej konstruowali pierwsze modele znakomitych samolotów sportowych RWD. Rosło nowe pokolenie, o którym Aleksander Kamiński napisze „Kamienie na szaniec”. Zanim wzięli broń do ręki w walce za ojczyznę, przejęci byli pracą dla niej, o czym dyskutowali zawzięcie na obozach harcerskich słynnej Pomarańczami. Może idealizują, ale wydaje się, że było to najpiękniejsze, najlepsze pokolenie, jakie miała Polska kiedykolwiek przedtem i potem. I najokrutniej doświadczone przez dzieje...

Był to największy skarb, jaki pozostała po sobie II Rzeczpospolita. Zostawiła też głęboko zakorzenione przeświadczenie o ogromnym znaczeniu edukacji. I nie chodzi tylko, a nawet nie przede wszystkim, o korzyści materialne, jakie może przynieść wyższe wykształcenie, ale o wartość samą w sobie, jaką stanowi światły człowiek. To przeświadczenie nieśli ze sobą ludzie z pokolenia, które wchodziło w dorosłe życie w czasach II wojny światowej, wykształceni w szkołach średnich i wyższych niepodległej Polski. Powszechny był wówczas szacunek dla niektórych zawodów inteligenckich,

a zwłaszcza dla nauczyciela, wychowawcy kolejnych generacji. Nawet profesorowie wyższych uczelni szli uczyć w szkołach, aby jak najlepiej przygotować do życia i pracy ten skarb, jakim jest młodzież.

W okresie komunizmu, niezależnie od tego, że oświata stała się bardziej masowa, to przeświadczenie zabito. Ciekawe, że procent młodzieży chłopskiej studiującej na wyższych uczelniach był przed wojną wyższy niż po wojnie. I nie pomogły punkty za pochodzenie ani inne działania polityczne przy naborze na studia. Po prostu i pozycja materialna, i prestiż człowieka wykształconego, mającego do spełnienia pewne obowiązki, pewną misję w społeczeństwie, zostały zniwelowane.

Myślę, że pokolenie „Kamieni na szaniec” również dlatego z takim poświęceniem ruszyło do walki zbrojnej za ojczyznę, iż w rodzinach i szkołach przygotowane zostało do spełniania powinności wobec społeczeństwa. To przystoi człowiekowi wykształconemu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

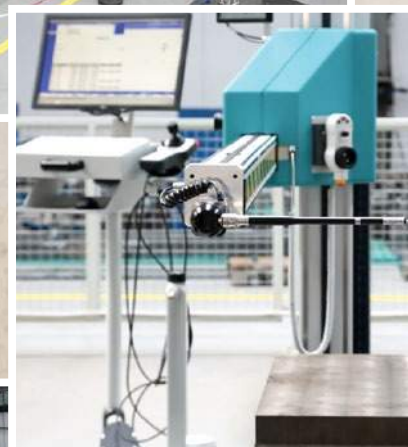
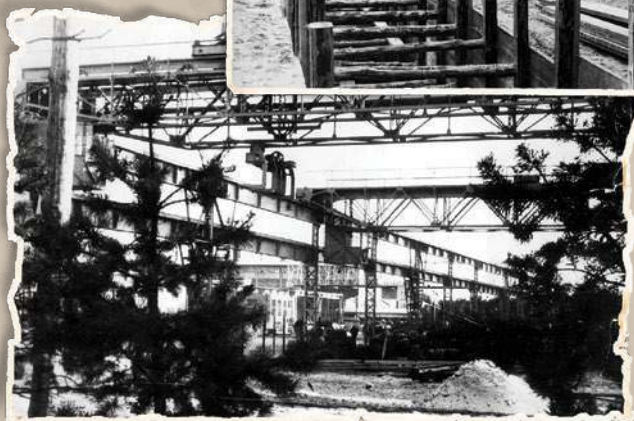
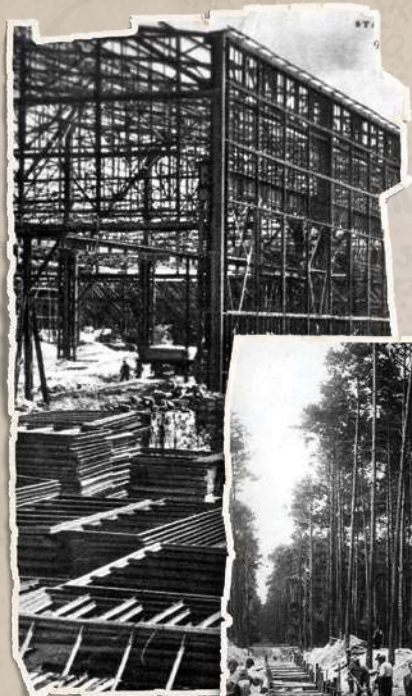
Andrzej Chojnowski – jest profesorem w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w latach 2003–2015 kierował Zakładem Historii XX Wieku. Pracuje też w Akademii Humanistycznej im. prof. Aleksandra Gieysztor w Pułtusk. Wchodzi w skład Rady Naukowej Polskiego Słownika Biograficznego, należy do Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Wydał m.in.: „Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921–1939” oraz „Piłsudscy u władzy. Dzieje Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem”.



100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Budowa Huty w Stalowej Woli 1939 r.

Nowoczesne Zakłady Huta Stalowa Wola, 2017 r.



Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

ODBUDOWUJEMY POLSKI PRZEMYSŁ OBRONNY

www.pgzsa.pl

Mocni w gębie

Nawet liberalny rodzic traci spokój, gdy odkryje, że latorośl pali papierosy, pije alkohol, randkuje i przestawia komórke na tryb samolotowy, by tatuś z mamusią nie psuli zabawy. Na domiar złego zbliża się bal maturalny – najbardziej magiczne wydarzenie w życiu Amerykanina. Trzy zaprzyjaźnione uczennice zawierają sekspekt: chcą tej nocy najarać się ziołem i stracić dziewictwo. Wapniacy, dowiedziawszy się o tych bezecnych planach, postanawiają wkroczyć do akcji, co – jak łatwo zgadnąć – owocuje serią wysoce niefortunnnych zdarzeń.

Źródłem komizmu jest tu odwrócenie ról. Nastolatki są rozsądne i poukładane, za to dorośli zachowują się jak dzieci. W skład ekipy

ratunkowej wchodzi: kawaler z odzysku, pantoflarz zgrywający twardziela i histeryczka. Zanim nadejdzie świt, trochę się ogarną, lecz kto wierzy, że ludzie po czterdziestce mogą się zmienić, ten wierzy w bajki.

Trywialno-sentymentalnymi komediami rządzą żelazne reguły. Bohaterowie, mocni

w gębie, w czynach są nader umiarkowani. Obscena zawsze idzie pod rękę z wartościami rodzinnymi. „Strażnicy cnoty” nieco odbiegają od tej normy. Z ekranu płyną pochwały dla multi-kulti, związków międzyrasowych i homoseksualizmu, męski szowinizm zostaje napiętnowany. Tak to jest, gdy na reżyserskim krzesełku posadzi się kobieta. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. KAY CANNON
„STRAŻNICY CNOTY”
USA 2018

wyst. Leslie Mann,
Ike Barinholtz,
John Cena



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GLADIATORZY NA KRAŃCU WSZECHŚWIATA

„Thor: Ragnarok” katapultuje widza w krainę czystej fantazji i przesuwając klimat opowieści o znanych z cyklu „Avengers” superbohaterach w kierunku szaleńczej akcji i dzikiej zabawy. Sprawdza się nie tylko jako wielkie widowisko, lecz także przede wszystkim jako komedia charakterów. Przeczubawne są dialogi między Thorem a Hulkiem uwięzionymi na odległej planecie Sakaar, której władca organizuje krwawe igrzyska. Świetny jest Jeff Goldblum w roli rzeźbionego władcy: groźny i śmieszny zarazem. Z kolei wydarzenia w Asgardzie, któremu grozi zagłada z rąk okrutnej, niszczycielskiej Heli, będą miały wielki wpływ na przyszłe losy nie tylko ludu Thora, lecz także na przyszłość Ziemi, bo to, co się dzieje w „Ragnaroku”, przygotowuje także grunt pod kolejne wielkie widowisko „Avengers: Wojna bez granic”. ©©



★★★★★
REŻ. TAIKA WAITITI
„THOR: RAGNAROK”
USA 2017,
GALAPAGOS

wyst. Chris Hemsworth, Tom Hiddleston,
Cate Blanchett, Jeff Goldblum

Z ŻYCIA HYBRYDY

Aby ratować głodującą ludzkość, naukowcy chcą zasiedlać Tytana, satelitę Saturna. Drogą ma być „wymuszona ewolucja”, czyli dostosowanie człowieka do oddychania azotem i do nurkowania w jeziorach metanu. Film Ruffa opowiada o rodzinie żołnierza (Sam Worthington), który zgłosił się do eksperymentu. W tej nudnej historii dzieje się niewiele: naukowcy eksperymentują, bohater zmienia coraz bardziej, ale nie chce wyrzec się ludzkich wspomnień. Pomysł jest idiotyczny, bo choćby nie wiem jak zaawansowanej bioinżynierii użyto i nie wiadomo, ilu jednaków przerobiono, to przecież nie oznacza, że będą mogli się rozmnażać na Tytanie. Co zatem dalej? Przerobić całą ludzkość, wysłać w kosmos i kazać jej wymrzeć po jednym pokoleniu? Emocji w tej obyczajowej fantastyce jest tyle co w półtoragodzinnym spacerze po galerii handlowej – niby wszystko kusi, a nie ma co kupić. ©©



★★★★★
REŻ. LENNART RUFF
„THE TITAN”
USA 2018,
NETFLIX

wyst. Sam Worthington, Taylor Schilling,
Tom Wilkinson

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „FROSTPUNK”

Po sukcesie „Wiedźmina” czy „Dying Light” chyba nikogo nie trzeba przekonywać, że polskie gry potrafią zawojować zagraniczne rynki. Poza wielkimi produkcjami świetnie mają się również te offowe, a właśnie w nich przoduje 11 bit studios. Tym razem polscy programiści zabierają

nas w brutalny świat mrozu i lodu, w którym osadzono akcję „Frostpunka”. Gra polega na budowie metropolii, która stając naprzeciw morderczym warunkom pogodowym, stara się zapewnić przetrwanie swoim mieszkańcom. Nie odbywa się to jednak bez ceny, którą przychodzi



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zapłacić wolnością albo poświęcaniem słabszych jednostek. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Strategiczna
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** 11 bit studios/Cenega
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Świat wzięty z pomyłki

O „Olandzie” Rafała Wojasińskiego równie dobrze można powiedzieć, że to książka tak ponura jak rzeczywistość, którą przedstawia, z pokręconymi, skrzywdzonymi bohaterami, jak stwierdzić, że to napisany z oddechem zbiór opowiadań, wyróżniający się specyficznym, nieczęstym poczuciem humoru prezentowanym przez autora.

„Nie wiemy, w czym bierzemy udział – czytamy – dlatego tak uwielbiamy słowa »Bóg«, »sens«, »prawda«, »moralność«, »nadzieja«, »pieniądz«, »dom«. A jednak ciągle się mylimy. Wszystkie pokolenia popełniają te same błędy. I z tej pomyłki jest nasz świat. Nie ma takiej możliwości, żeby człowiek się nie pomylił. Trzeba pamiętać, moja złociutka kureczko, że Jezus nie zbudował domu, nie chodził na szóstą do pracy, nie oszczędzał, nie miał stanowiska, pozycji społecznej. Kto chciałby takiego zięcia? To co my robimy? To kogo my naśladujemy?”

„Wiesz, dlaczego ciągle mówię, Olando? – zwraca się bohater Wojasińskiego do wymagowanej (bądź rzeczywistej, wszystko jedno) adresatki swoich słowotoków. – Dlatego że wszystkiego się boję. Jestem tchórzem i dlatego jestem. Słowa to jedyna racja takich jak ja. I nie chodzi o słowa. Chodzi o strach, który jest w każdym. Strach, z którego są wojny, zwycięstwa, świętości, wielkość i małość. Życie jest ze strachu.

Dlatego tyle mówię do ciebie? Przecież ty to ludzkość. I tak mówię do ludzkości. Nie mam prawa? Bo nie mam urzędu wysokiego kapłana, polityka i nie jestem kosmitą? Mam prawo! Bo ja kocham ludzkość. Jej los bardzo mi leży na sercu. Kocham ludzkość, bo ludzkość to też ja”.

Jednak ów rozgadany osobnik mówi jeszcze z jednego powodu,



FOT. TOMASZ RACZEJ/FOTONOWA

może najważniejszego. Otóż, „muszę ci powiedzieć – klaruje swojej Olandzie – że prawie wszystko na świecie mnie nudzi. Tylko mówienie mnie nie nudzi. Tylko słowa. I psikusy. I rosół”.

Odnosnie do rosółu nie będę się wymądrzał. Psikusy również lubię, a że dużymi fragmentami „Olanda” też jest psikusem – literackim, trudno, żebym i jej nie polubił. Co do słów, to jedni lubią je pisać, drudzy czytać, jeszcze inni mówić. Pamiętają państwo Marka Hłaskę i radę, jaką otrzymał od Igora Newerlego: „Jeśli pan chce coś napisać, niech pan o tym opowiada. Wszystkim. To nieważne, czy pana ludzie rozumieją, czy nie. Niech pan mówi: za każdym razem, opowiadając, musi pan budować swoją historię od początku do końca; po jakimś czasie zrozumie pan, które elementy są ważne, a które nie. Chodzi o to, aby pan sam to sobie umiał opowiedzieć”. „I tak zacząłem opowiadać – wspominał Hłasko w »Pięknych dwudziestolet-

nich« – mówiłem o tym ludziom w Polsce, w Izraelu; mówiłem o tym poważnym Niemcom; i Arturowi Sandauerowi, który co chwila mi przerywał, mówiąc: »Do czego pan zmierza?«. Nie wiem; o to właśnie chodzi, że nie wiem. Wiem tylko, że będę biegł przez całą drogę; i że będę mówił przez cały czas”.

Wszystkie opowiadania z tomu „Olanda” są o tym samym, a wszystkie są inne. Z jednej strony głoszą one chwałę świata, wpadają w uniesienie, wielbiąc jego urodę i piękno, a z drugiej aż brakuje im słów, by oddać całą plugawość, całe obrzydlistwo życia. I nie ma nic do rzeczy, czym akurat zajmuje się bohater „Olandy”. „Kiedyś czyściłem szamba – opowiada – pracowałem w magazynie z książkami i przy rozładunku drewna, zajmowałem się hodowlą kur i kolczykowaniem byków, ubojem świń i obieraniem cebuli w przetwórni warzywnej, sprzątałem w szkołach i paliłem w piecach jako palacz w urzędzie, stróżowałem też na składzie z węglem i wysłódkami buraczanymi. Wszystkie prace lubiłem, ale tak naprawdę nigdy nie wiedziałem, co mam robić w życiu, poza jednym. Wiedziałem, że mam mówić”.

Urodzony 44 lata temu na Kujawach Rafał Wojasiński jako prozaik zadebiutował w 2004 r. tomem opowiadań „Złodziej ryb”. Potem przyszły następne książki, nagradzane i nominowane do nagród, na czele z najbardziej znaną, tłumaczoną na obce języki opowieścią „Stara”, przerobioną także na potrzeby sceny. Wojasiński sporo zresztą pisał i dla teatru, i dla radia. No, a przede wszystkim dla czytelnika. A ten, o ile to nie będzie czytelnik niedzielny, z obcowania z „Olandą” będzie zadowolony. ©©



★★★★★
RAFAŁ
WOJASIŃSKI
„OLANDA”
NISZA 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Długie pożegnanie

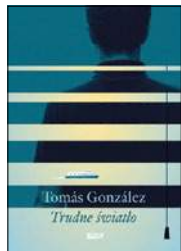
Cóż takiego się stało ze sztuką współczesną, że jej wielkim tematem stała się eutanazja? Strach odpowiadać, nie świadczy to dobrze ani o sztuce, ani o świecie. Od Oscara dla filmu Michaela Haneke „Miłość” po powiastkę dla młodzieży, w której progiem dorosłości staje się nie pierwsza noc z dziewczyną, narodziny dziecka czy bilet do wojska, ale wycieczka z sędziwym przyjacielem do szwajcarskiej kliniki wspomaganego samobójstwa („Wszczęświat kontra Alex Woods” Gavina Extence’a). Jak się tu znaleźliśmy i czy jest jeszcze jakaś droga odwrotu?

Sędziwy narrator powieści „Trudne światło” żegna się ze światem, wspominając zmarłą żonę, rozpamiętując własny dramat (jest ślepnącym malarzem), ale przede wszystkim wraca do chwil, kiedy zaplanował śmierć własnego syna, okrutnie cierpiącego po wypadku samochodowym. Dekady przeplatają się, wędrujemy przez Stany i Kolumbię, jest w tej opowieści cierpienie, melancholia, jest i afirmacja życia, które jest cudowne, lecz musi przeminać.

Ładnie napisane, lecz nie mogłem się pozbyć wrażenia, że nadmiernie i nazbyt sztampowo symboliczne. Narrator musi być człowiekiem wrażliwym, więc malarz. O głębi jego artystycznej natury świadczyć ma to, że porusza go widok katedry Sagrada Familia. O tym, że rodzina była szczęśliwa i spełniona – przypowieść o ukochanym kocie.

Zaglądam na okładkę, a tam slogan reklamowy: „Jeśli García Márquez jest Wagnerem, Tomás González to Bob Dylan”. Jesteśmy w domu, bo to znaczy, że jednak nie literatura, tylko literaturka, powieść udająca wielką sztukę. I myślę sobie, że może kolumbijski pisarz lepiej sprawdziłby się jako poeta pop, latynoskie skrzyżowanie Briana Pattena z Jackiem Podsiadło. I proszę: w ostatnim rozdziale bohater pisze wiersz, który jest jednym z lepszych kawałków prozy w całej książce. Życie się kończy, sztuka pozostaje, odkrywa bohater. Tak, to też już wiemy.

Nazwano kiedyś postmodernizm literaturą wyczerpania. Zdaje się, że na miano stulecia wyczerpania zasłużył już nasz wiek. Tak wynika z filmów, książek i oczywiście zamieszczonych tu utyskiwań recenzenta. ©©



★★★★★
TOMÁS GONZÁLEZ
„TRUDNE ŚWIATŁO”
ZNAK 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zbiór opowiadań szwajcarskiej autorki piszącej po włosku. Dwadzieścia miniatur różnej jakości, kilka z nich mistrzowskich, jak opowiadanie o Brodskim. Lektura dla miłośników prozy nieoczywistej i niekomercyjnej.



FLEUR JAEGGY
„JESTEM BRATEM NN”
NOIR SUR BLANC

Zbiór opowiadań polskiego podróżnika, a w tle Syberia, Azja Środkowa, Afryka. „Niech inne narody go nam zazdroszą” – pisał o Ossendowskim jego biograf, Witold Michałowski. „A Polacy niech go lepiej znają” – wypadałoby dodać.



ANTONI FERDYNAND OSSENDOWSKI
„NIEZNANYM SZLAKIEM”
ZYSK I S-KA

Rzecz o tajnej policji III Rzeszy: historie jej wybranych funkcjonariuszy, opowieści o tym, jak ścigano i jak chroniono gestapowców w latach powojennych, oraz rzut oka na obraz gestapo w kulturze masowej.



KLAUS-MICHAEL MALLMANN, A. ANGRICK
„GESTAPO PO ROKU 1945”
REPLIKA

Trzeci tom cyklu prześmiewczych opowieści o losie wampirów w PRL. W nowej książce dobijamy do czasów transformacji. Dla fanów Pilipiuka najważniejsza będzie deklaracja, że Jakub Wędrawycz powróci. ©©



ANDRZEJ PILIPIUK
„WAMPIR Z KC”
FABRYKA SŁÓW

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Piotr Krysiak „Dziewczyny z Dubaju” (Deadline)**
– jak polskie modelki zarabiały na spełnianiu sekszachcianek szejków. **Niestety na faktach.**
- Katarzyna Puzyńska „Nora” (Prószyński i S-ka)**
– dziewiąty tom popularnej serii kryminalnej o policjantach z Lipowa.
- Remigiusz Mróz „Testament” (Czwarta Strona)** – siódmy tom kryminalnego cyklu, którego bohaterem jest Joanna Chyłka.
- Jo Nesbø „Macbeth” (Wydawnictwo Dolnośląskie)** – autor cyklu o Har-rym Hole’u, tym razem o porachunkach policyjno-przestępczych lat 70.
- Remigiusz Mróz „Zerwa” (Filia)** – piąty tom serii kryminalnej o komisarzu Forście. **Bestseller jeszcze przed premierą w księgarniach.**

(Najchętniej kupowane książki minionej miesiąca w sieci Świat Książki)

Po 20 latach doświadczeń, występów na całym świecie, współpracy z polskimi oraz zagranicznymi twórcami, zdobyciu wielu polskich oraz zagranicznych laurów Kapela ze Wsi Warszawa powróciła do korzeni. Nawiązała współpracę z mazowieckimi muzykami, inspiratorami zespołu, co pod koniec ubiegłego, jubileuszowego dla zespołu roku zaowocowało płytą „Re:akcja mazowiecka”. Album wyróżniono niedawno Fryderykiem.

„Powracamy na równinę mazowiecką, by spotkać się i zagrać z jednymi z ostatnich wiejskich muzykantów. Wyprawiliśmy się kolejny raz »Szlakiem Tradycji«. I odnaleźliśmy Ich... a może Oni odnaleźli nas? Tak jak znakomita śpiewaczka Maria Bienias, która powitała nas serdecznymi słowami »trochę latek na Was czekałam« – pisze o swoim najnowszym albumie Kapela ze Wsi Warszawa.



FOT. RÓDZIK POLAK/IZAM

Co Wsi Warszawa w duszy gra

Wspomniana pani Maria, rocznik 1943, to osoba niezwykła. Propagatorka mazowieckiej tradycji, śpiewaczka doskonale posługująca się gwara, do niedawna intensywnie tworząca rękodzieło. Autorytet w kwestii regionalnych tradycji. – Te 300 piosenek, te 600 przyśpiewek, to mam wszystko w głowie – deklaruje.

Zresztą niezwykli są pozostali artyści występujący na nagrodzonej Fryderykiem płycie: Marianna Rokicka – śpiewaczka, Stefan Nowaczek – skrzypek, Eugeniusz Szymaniak – legacz, grupa śpiewacza kobiet Bandysionki z Bandyś, grupa śpiewacza męska Carniacy z Czarni oraz Kapela Zdzisława Kwapińskiego. I to w dużej

mierze oni nadają „Re:akcji mazowieckiej” specyficznego, nostalgicznego charakteru, innego od ostatnich, bardziej zwariowanych, folkowych, ale z punkrockowym zacięciem nagrań Kapeli ze Wsi Warszawa. Ani lepszych, ani gorszych. Innych.

– Ta płyta to opus magnum naszych 20 lat wędrówek po bezdrożach Polski i świata. Jest dedykowana mistrzom i przewodnikom korzennej kultury, którzy nas inspirują, uczą i przekazują tematy dawne – mówił podczas odbierania Fryderyka Maciej Szajkowski, lider zespołu. Dwudziestu lat, podczas których zespołowi udało się rozpropagować nasz folk nie tylko poza granicami Polski, lecz także w kraju – wśród tych, którzy aby docenić piękno dawnej muzyki Mazowsza, potrzebowali takich interpretatorów jak Kapela ze Wsi Warszawa. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Z hajsem źle, bez – gorzej

Płyta z miejsca wskoczyła na szczyt listy najlepiej sprzedawanych płyt. Co więcej, członkowie duetu (Taco Hemingway i Quebonafide) jako soliści mają w zestawieniu jeszcze trzy albumy. Każdy osiągnął platynowy nakład.

Soma to środek dający szczęście. Wymyślił go przed 90 laty Aldous Huxley w powieści „Nowy wsapaniały świat”. Czyżby raperzy chcieli nam zasygnalizować, że książki czytają i szczęście nam swym krążkiem dają? To już zależy od odczytania i wieku słuchacza. „Ja bym chciał przekazać coś dzieciakom / Ta odpowiedzialność mnie zabija” – deklaruje we wstępie Taco. Później mamy różne warianty pogadanki o przyjemnościach zdobywania hajsu, który jednak szczęścia nie

daje. Aby było bardziej wzniosłe, padają nazwiska i nazwy, które wypada znać (tylko w „Art-B” mamy ich dziewięć). „Fani lubią, kiedy znów cierpisz” – konstatuje Taco w „Tamagotchi” i... singiel osiągnął na YouTube 10 mln wyświetleń w 10 dni, co jest rekordem. Drugi rekord ustanowił na Spotify – prawie 2 mln odtworzeń w tydzień.

Duet niewątpliwie rządzi. Dwudziestolatkowie z wyczuciem odpowiadają na zapotrzebowanie 14-latek, sprzedając prawdy dawno objawione. W tym kontekście są świetni, a Kuba „Quebonafide” Grabowski dodatkowo posiada naturalny, powalający flow (czytaj: rapowanie w jednym rytmie). Zapewne będzie ciąg dalszy. „Nie ma co znowu się mazać i bać / Powitajmy nowy, wsapaniały świat”. ©©



★★★★★
VARIUS MANX & KASIA STANKIEWICZ
„ENT”
MUSICART

Po 20-letniej przerwie Stankiewicz śpiewa z najpopularniejszym zespołem lat 90. W swych tekstach uczuciowo marzy i mierzy się z życiem. Jest nostalgicznie pięknie. Tylko czy dzisiejsze nastolatki odczuwają tak jak wtedy ich matki? ©©



★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY
„JOHNNY CASH: FOREVER WORDS”
SONY

Po śmierci rodziców John Carter Cash znalazł niezbrane listy i poematy ojca. 18 wykonawców i zespołów skomponowało do nich muzykę. Powstała poruszająca płyta. Ponura, choć z kilkoma przeblaskami słońca i miłosnej romantyki. ©©



★★★★★
TACONAFIDE
„SOMA 0,5 MG”
TACONAFIDEX



Kraków

kbf★



najpiękniejsza muzyka filmowa

1000 biletów

na Festiwal Muzyki Filmowej
do zdobycia już teraz w RMF Classic

Szczegóły na www.rmffclassic.pl



Słuchaj nas on-line:
www.rmffon.pl



Słuchaj nas w telefonie. Pobierz aplikację w AppStore,
Google Play, Microsoft Marketplace.

Białystok 90,0 FM
Bydgoszcz 95,1 FM
Częstochowa 89,9 FM
Elbląg 91,2 FM

Gdańsk 88,4 FM
Gdynia 107,1 FM
Katowice 94,1 FM
Kielce 99,0 FM

Kraków 87,8 FM
Lublin 107,6 FM
Łódź 105,0 FM
Olsztyn 100,9 FM
Opole 97,5 FM

Poznań 103,9 FM
Płock 93,1 FM
Szczecin 98,0 FM
Toruń 105,5 FM

Warszawa 98,3 FM
Włocławek 91,2 FM
Wrocław 99,2 FM
Zielona Góra 89,0 FM

MACIEJ PIECZYŃSKI: Już od 2,5 roku w Polsce rządzi prawica. Czy dobra zmiana jest dobra również dla wartości chrześcijańskich?

ARKADIUSZ STELMACH: Na tle poprzedników z liberalnej koalicji PO-PSL rządu PiS należy ocenić pozytywnie. Myślę, że niewielu jest w Polsce katolików, którzy marzyliby o tym, żeby wróciły tamte czasy. W końcu to właśnie rząd Platformy podpisał konwencję stambulską (tzw. konwencję antyprzemocową), promował in vitro, gender itd. Również w porównaniu z tym, co się dzieje w wielu krajach Zachodu, dobra zmiana dla wartości chrześcijańskich wypada bardzo dobrze. Mogło być gorzej – wystarczy wspomnieć skrajnie lewacki rząd pana Trudeau w Kanadzie czy to, co za prezydentury pana Obamy działo się w Stanach Zjednoczonych. Jednak do beczki miodu trzeba dodać łyżkę dziegciu – mimo wszystko katolicy wiązali większe nadzieje ze Zjednoczoną Prawicą. Wielu polityków tego obozu to ludzie, którzy nie wstydzą się swoich przekonań religijnych, powszechnie wiadomo o nich, że są wierzący i praktykujący, a jednak mimo to wykazują pewną powściągliwość we wprowadzaniu w życie wartości chrześcijańskich.

Chodzi o ostrożną postawę w sprawie aborcji?

Tak, ale nie tylko. Ten rząd do tej pory nie wypowiedział szkodliwej dla rodziny konwencji stambulskiej. Jest jeszcze inna sprawa, o której niestety rzadko się mówi – otóż premier Mateusz Morawiecki często wspomina o potrzebie realizacji idei tzw. zrównoważonego rozwoju. To zakłęcie, które brzmi nowocześnie, ładnie dla ucha, przy tym niezbyt kontrowersyjnie. Warto jednak wiedzieć, co dokładnie oznacza. To lewicowa koncepcja, opracowana w elitarnych komórkach ONZ. Jednym z założeń zrównoważonego rozwoju jest walka z przeludnieniem poprzez depopulację. W praktyce miałyby to polegać na upowszechnianiu aborcji, eutanazji, antykoncepcji, sterylizacji, programów genderowych, legalizacji związków jednopłciowych itp. Rząd powinien wytłumaczyć społeczeństwu, co rozumie przez zrównoważony rozwój i jakie są jego konsekwencje. Niby rządzi u nas raz lewica, raz prawica, ale tak naprawdę niezależnie od barw politycznych nikt z rządzących nie kwestionuje otwarcie lewicowych haseł polityki globalnej, formułowanych na forum ONZ. Nie rozumiem, jak depopulację można



FOT. JENISZ KACZMAREK / GAZETA POLSKA / FORUM

**Z Arkadiuszem Stelmachem,
wiceprezesem Stowarzyszenia Kultury
Chrześcijańskiej im. Piotra Skargi
rozmawia Maciej Pieczyński**



Pro-life to współczesne rycerstwo

pogodzić z przywiązaniem do głoszonej przez Jana Pawła II wartości, którą jest obrona życia od poczęcia do naturalnej śmierci.

Co do powściągliwości PiS w obronie wartości chrześcijańskich – rząd musi liczyć się z opinią publiczną, a ta raczej niechętna jest całkowitemu zakazowi aborcji.

Jesteśmy krajem chrześcijańskim od ponad 1050 lat. To chyba wystarczający czas, by nauczyć się obrony wartości. To my wydaliśmy na świat Jana Pawła II, który nie kalkulował, czy opłaca się bronić życia.

Nie zastanawiał się nad tym, co będzie mile widziane. Nie obawiał się, że głośne mówienie o wartościach zniechęci ludzi do Kościoła. Wszędzie głosił potrzebę obrony życia, nie bacząc na to, że naraża się na krytykę. A mimo wszystko oplakiwały go miliony ludzi na całym świecie. Katolicy nie powinni kalkulować, gdy chodzi o sprawy fundamentalne. Zawsze powinno liczyć się to, co jest słuszne, a nie to, co popularne. Na co nam elektryczne samochody, jeśli nie będziemy potrafili bronić wartości życia, bronić dzieci – najmniejszych, bezbronnych istot?!

Zwolennikiem obrony życia jest nawet papież Franciszek, któremu wielu katolików przypisuje poglądy lewicowe. Zdarzyło mu się publicznie pochwalić uczestników szczecińskiego, największego w Polsce Marszu dla Życia.

Oczywiście papież Franciszek wyowiada się publicznie za życiem. Jednak z drugiej strony w Watykanie dzieją się rzeczy niepokojące. Doszło do głębokich zmian w Papieskiej Akademii Życia. W jej skład weszli ludzie, którzy reprezentują cywilizację śmierci. Pamiętamy też niezbyt szczęśliwą – delikatnie mówiąc – wypowiedź Ojca Świętego o tym, że katolicy „nie muszą rozmnażać się jak króliki”.

O ile dla Jana Pawła II najważniejszy był bój pomiędzy cywilizacją życia a cywilizacją śmierci, o tyle Franciszek przesunął akcent na konfrontację kultury chciwości z kulturą sprawiedliwości. Według jednego z lewicowych tygodników właśnie za tę zmianę optyki polscy katolicy nie lubią Franciszka.

Franciszek wywodzi się z Kościoła południowoamerykańskiego, który od kilkudziesięciu lat znajduje się pod wpływem agendy marksistowskiej. To właśnie w Ameryce Południowej narodziła się teologia wyzwolenia, która akcentuje bardziej problemy społeczne niż duchowe. To połączenie chrześcijaństwa z marksizmem nie może się w Polsce podobać. My jesteśmy impregnowani na tego typu eksperymenty, dlatego nie akceptujemy pomysłów, które ze swojej ojczyzny chce implementować do nauki całego Kościoła papież Franciszek.

Kontrowersje wzbudza też encyklika „Amoris laetitia”, której przesłanie interpretowane jest jako przyzwolenie na przystępowanie rozwodników do komunii świętej. W tej sprawie list otwarty do Franciszka wystosowali także polscy katolicy. Nad Wisłą niechęć wobec papieża wywołuje również jego postawa w sprawie islamskich imigrantów...

Wielu katolików postrzega masową migrację muzułmanów do Europy w szerokim kontekście eksperymentu społecznego pod hasłem multi-kulti. Celowo przepędza się ludzi z jednego krańca świata na drugi, aby ich przemieszać i w efekcie zniszczyć tradycyjne społeczeństwa. Na miejscu wyrzuconych na śmietnik historii państw narodowych ma powstać „nowy, wspólny świat”. Polskie doświadczenia, chociażby związane z rzezią wołyńską, pokazują, że mieszanie kultur kończy się czasem tragicznie. Szczególnie trudno jest więc polskim katolikom zrozumieć, dlaczego Franciszek postanowił wpisać się w ten lewicowy eksperyment.

Jednak krytyka pod adresem Polski za nieprzyjmowanie uchodźców argumentowana jest również wartościami chrześcijańskimi. Z tego punktu widzenia powinniśmy pomagać potrzebującym, nawet za cenę własnego bezpieczeństwa, a jeśli tego nie robimy, to jesteśmy nie tylko ksenofobami, lecz także niepełnowartościowymi katolikami.

To bardzo powierzchowna interpretacja wartości chrześcijańskich. Oczywiście katolicyzm uczy nas miłości Boga i bliźniego. Obowiązuje nas jednak porządek miłości. Najpierw trzeba pomagać najbliższemu. Jednak absurdalne jest nazywanie Polaków zamkniętymi na świat ksenofobami, ponieważ to właśnie z Polski pochodzi najwięcej misjonarzy, którzy zgodnie z nakazem Pana Jezusa idą w świat, nauczają wszystkie narody, ewangelizują, także pomagają materialnie, budują studnie w Afryce itd. Nie uzdrowimy całego świata, zapraszając do Europy 6 mld ludzi! Jezus mówił: „Idźcie w świat”, a nie: „Zaproście cały świat do siebie”. Przy czym niestety wielu emisariuszy z Europy Zachodniej, którą dziś można nazwać postchrześcijańską, zamiast nauki Zbawiciela szerzy w krajach Trzeciego Świata demoralizację. Zamiast głosić Słowo Boże, przywołują antykoncepcję, sterylizację, pornografię...

Wróćmy do polskiego Kościoła. Czy nie jest on nazbyt upolityczniony albo i nawet upartyjniony? To sztuczny problem.

Nie jest problemem, że abp Jędraszewski mówi o „ulicy i zagranicy” w kontekście ukrzyżowania Chrystusa? Albo że z drugiej strony politycznej barykady po stronie lewicy angażują się ks. Sowa czy ks. Boniecki?

Problem jest wtedy, gdy ksiądz postępuje niezgodnie z nauką Kościoła. Jeżeli zaś jest jej wierny, to ma prawo, w trosce o dobro wspólne, komentować bieżące wydarzenia polityczne.

Jednym z celów Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Piotra Skargi, którego jest pan wiceprezesem, jest „formacja młodych mężczyzn w duchu rycerskim”. Brzmi ciekawie, ale dla wielu pewnie kontrowersyjnie.

Gdyby z narażeniem zdrowia lub nawet życia stanął pan w obronie bitej czy okradanej kobiety, a potem ona wyznałaby panu, że zachował się pan po rycersku, to poczułby się pan obrażony czy dowartościowany?

To jasne, że polectałoby to moją próżność. Kultura rycerska, która wyrosła w katolickiej Europie średniowiecza,

jest jedną z największych wartości, którą dała światu cywilizacja chrześcijańska. Ten ideał wciąż lśni wielkim blaskiem, pomimo czarnej legendy wieków średnich. Rycerstwo to służba i poświęcenie dla Boga, walka w obronie słabych, potrzebujących, tych, którzy nie są w stanie sami się obronić. Właśnie te ideały przyświecają dziś ludziom, którzy biorą udział w marszach dla życia, wystawiając się na bezpardonowe ataki lewackich bojówek. Współcześni rycerze, opływani, wyzywani przez zwolenników zabijania dzieci, twardo i niezłomnie walczą o prawa tych, którzy nie zdążą nawet otworzyć ust w swojej obronie, bo giną w łonach swoich matek. Ideał rycerski można realizować dziś, broniąc tego, co w naszej cywilizacji piękne i dobre.

Może właśnie tak pojmowana rycerskość jest cechą charakterystyczną polskiego katolicyzmu? W końcu lubimy o sobie mówić jako o przedmurzu chrześcijaństwa.

Zgadza się. Przez wieki broniliśmy Europy przed naporem islamu, następnie walczyliśmy z nawałą komunistyczną, a dziś możemy otwierać światu oczy na niebezpieczeństwa związane z neokomunizmem, demaskować marksistowskie źródła lewicowo-liberalnych eksperymentów. Potrzeba nam nowego rycerstwa, które będzie bronił naszych dzieci przed prześladowaniami – zarówno ze strony abortertów w przypadku dzieci nienarodzonych, jak i ze strony propagandzistów ideologii gender. Gdy rozmawiam z katolikami z różnych krajów świata, słyszę wiele pochwał pod adresem polskiej religijności. W Polsce przetrwała prawdziwa wiara, otwartość na Boga. Polscy katolicy tłumnie korzystają z sakramentu spowiedzi, co oznacza, że mają świadomość grzechu, że wiedzą, iż życie ludzkie nie kończy się w perspektywie doczesnej – pełnej michy, telewizora i lodówki. My naprawdę wierzymy, że życie ziemskie to tylko pewien etap, a nasz cel jest poza tą ziemią. Dzięki tej wierze wciąż jesteśmy silni, wciąż jesteśmy przedmurzem chrześcijaństwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Arkadiusz Stelmach

– wiceprezes Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Piotra Skargi.



Filip Memches

Uderzenie po kieszeni klasy politycznej oznacza z jednej strony zachętę do korupcji, a z drugiej – postulat nierealistyczny – ostrzegał w 2004 r. Lech Kaczyński

Kwietniowa awantura o zarobki polityków nie jest pierwszą taką sytuacją w historii III RP. Co jakiś czas w Polsce wraca temat wynagrodzeń ludzi sprawujących władzę.

Zazwyczaj jest tak, że obie strony sporu co do zasady są zgodne – politycy nie powinni za dużo zarabiać, bo przecież chodzi o publiczne środki, a nimi – bądź co bądź – nie powinno się szastać. Kością niezgody jest natomiast to, kto owej zasady przestrzega, a kto ją łamie.

I tak opozycja formułuje pod adresem opcji rządzącej zarzut przejadania pieniędzy podatników. W odpowiedzi opcja rządząca najczęściej się broni, idąc w zaparte i twierdząc, że takie oskarżenia są oszczerstwem. Jednak – jak pokazało niedawno Prawo i Sprawiedliwość – może też postąpić inaczej oraz podjąć decyzję o obniżeniu zarobków osób ze świecznika (w tym przypadku posłów i senatorów oraz prezydentów miast, burmistrzów i wójtów).

O tym, że ta decyzja PiS była ukłonem w stronę rozgniewanego na apanaże polityków społeczeństwa, mówił sam Jarosław Kaczyński. Słowa: „Vox populi, vox Dei – głos ludu, głos Boga” skomentował zapowiedź zwrotu przez członków rządu nagród, których wypłata wywołała wśród Polaków olbrzymie emocje.

POLITYK TWÓJ WRÓG?

Jednak nawet takie zachowanie to za mało, żeby odwrócić panujący trend. W polskiej świadomości zbiorowej i tak utrwała się obraz klasy politycznej jako grupy darmozjadów.

Wiele już napisano i powiedziano na temat źródeł tego negatywnego nastawienia do polityków nad Wisłą. Główna teza jest następująca: Polacy przez 123 lata nie mieli własnego państwa, potem po krótkim okresie niepodległości doświadczyli sześćioletniej okupacji i 45 lat podporządkowania obcemu mocarstwu,



Lech Kaczyński ostrzegwał

więc władzę samą w sobie postrzegając jako byt obcy.

Ta uwaga brzmi jak banał. Znacznie ciekawsze jest zastanowienie się nad tym, jak i dlaczego wrogość społeczeństwa wobec polityków zadomowiła się na dobre w III RP, czyli w okresie, w którym – wydawałoby się – Polacy odzyskali jako naród podmiotowość polityczną, a więc również możliwość decydowania o własnym państwie.

Nieraz można odnieść wrażenie, że sam przymiotnik „polityczny” wciąż stanowi w Polsce niemal epitet. Bywa bowiem łączony z autorytarnymi tendencjami znajdującymi wyraz przede wszystkim w ograniczaniu swobód obywatelskich.

Z kolei nie brak w Polsce nadal ludzi, którzy z dumą podkreślają swoją „apolityczność”, ponieważ w ich oczach polityka jest ze swojej natury czymś brudnym.

Na początku transformacji ustrojowej żywotne jeszcze były antypolityczne uprzedzenia epoki PRL. Pod powierzchnią patetycznych haseł obozu solidarnościowego dawał o sobie znać cynizm społeczeństwa zmęczonego wegetacją w warunkach realnego socjalizmu. Bycie politykiem wielu Polakom kojarzyło się z karierowiczostwem nomenklatury PZPR, a nie z etosem inteligencji zaangażowanej w Solidarność.

Z pewnością wielu działaczy partii komunistycznej za korzystne dla siebie

uznało odejście z polityki i zajęcie się biznesem w ramach prywatyzacji majątku narodowego. Tym samym mogli oni zdjąć z siebie odium osób pogardzanych przez społeczeństwo, a zarazem – dzięki przekształceniom własnościowym – zachować czy nawet pomnożyć to, na czym im naprawdę zależało, czyli indywidualny materialny stan posiadania.

W latach 90. istotny stał się jednak nowy dyskurs dotyczący roli polityki w życiu publicznym. Kreowały go kręgi opiniotwórcze dostarczające ideologicznych argumentów dla procesu transformacji.

Ów dyskurs bazował na swoiście interpretowanym liberalizmie. Afirmował indywidualizm, a takie kategorie jak „naród” czy „państwo” traktował podejrzliwie – jako coś, co wikłało jednostkę w rozmaite „kolektywy” (sam termin „kolektyw” przywoływał na myśl skompromitowaną ideologię komunistyczną). Nastąpiło odwrócenie komunistycznej hierarchii wartości: jednostka, zysk indywidualny – wszystkim; wspólnota, interes ogółu – niczym.

Z perspektywy takiego dyskursu trzeba było w Polsce zadbać o dwie sprawy: społeczeństwo obywatelskie i wolny rynek. W tym ujęciu politycy byli postrzegani jako ludzie potencjalnie pasywni, żyjący na budżecie państwa i zarazem krępujący aktywne jednostki – w odróżnieniu od osób dzielnie radzących sobie jako pracownicy organizacji pozarządowych czy mniejszych lub większych korporacji. Działo się to niezależnie od tego, że III RP od samego swojego początku sprzyjała w praktyce rozrostowi biurokracji państwowej i dławiącemu drobną przedsiębiorczość fiskalizmowi.

Obowiązujący dyskurs oczekiwał więc od polityków nie tyle rządzenia państwem, ile zarządzania nim – żeby tylko nie przeszkadzali oni globalnemu kapitałowi, Unii Europejskiej i organizacjom pozarządowym (zwłaszcza Fundacji Batorego) nieść Polakom dobrobyt oraz pokój.

WOŁANIE NA PUSZCZY

Pewnym przełomem okazało się natomiast powstanie w roku 2001 Platformy Obywatelskiej. Była to chyba pierwsza formacja wywodząca się z establishmentu III RP (z Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności), która otwarcie w głoszonych postulatach wystąpiła przeciwko klasie politycznej. Na paradoks zakrawało podjęcie owej z założenia antysystemowej inicjatywy przez prominentnych przed-

stawicieli polskiej polityki. Tak się rozdził liberalny populizm.

Znamienny zatem w tym kontekście jest wywiad, którego Lech Kaczyński udzielił w roku 2004 periodykowi „Fron-da”. Będąc wówczas prezydentem Warszawy, powiedział on m.in.: „Platforma [...] stosuje swego rodzaju socjotechnikę. Jako głównego wroga społeczeństwa wskazuje [...] klasę polityczną, a szerzej, aparat państwowy, który chce pozbawić obecnego stanu posiadania. Wystarczy wymienić tu chociażby wszelkie inicjatywy obciążenia dochodów parlamentarzystom. Tymczasem na tle polskiej klasy średniej uczciwy polityk nie jest bogaczem. Trudno go nawet uznać za kogoś zamożnego”.

Lech Kaczyński ostrzegał przed skutkami, które niesie czynienie z ludzi sprawujących władzę kozłów ofiarnych: „Polityka nie jest jakimś wdzięcznym zajęciem, a jednocześnie wymaga wysokich kwalifikacji. Uderzenie po kieszeni klasy politycznej oznacza z jednej strony zachętę do korupcji, a z drugiej – postulat nierealistyczny. To jest próba skoncentrowania niechęci społecznej tylko na jednym odcinku przestrzeni publicznej w warunkach, w których mamy zdegenerowane także inne odcinki”.

Słowa te okazały się jednak wołaniem na puszczy. Dominowało bowiem inne podejście. W roku 2011 jednym z wymownych propagandowych chwytów PO w parlamentarnej kampanii wyborczej było przeciwstawianie na billboardach budowy dróg, mostów, szkół „robieniu polityki”.

I jeśli nawet w roku 2015 nastąpił w Polsce znaczący zwrot w prawo, to niskie mniemanie społeczeństwa polskiego o klasie politycznej się nie zmieniło. W tym zakresie można mówić o kontynuacji liberalnego populizmu PO, niezależnie od tego, że ugrupowanie to już blisko trzy lata nie sprawuje władzy.

PiS demonstracyjnie występując za obniżeniem wynagrodzeń politykom, dał się tak naprawdę moralnie zaszantażować Platformie. Przyznał rację jej sugestiom – że do polityki garną się osoby żadne osobistych korzyści majątkowych, które jednak poza polityką nie potrafią ich osiągnąć, są więc cwaniakami albo nieudacznikami.

Jednak marne zarobki polityków nie przyczynia się bynajmniej do tego, że do rządzenia państwem polskim wezmą się ludzie ideowi – tacy, dla których – by przywołać znany demagogiczny argument – Polska jest ważniejsza od pieni-

dzy. Będziemy natomiast mieli do czynienia ze świadectwem braku szacunku dla olbrzymiej odpowiedzialności, która ciąży na politykach. Jeśli bowiem za coś mało płacimy, to znaczy, że przydajemy temu czemuś małą wartość. Tak więc obecna sytuacja demoralizuje Polaków.

PiS miał przywrócić polskiej polityce prestiż, czyli podążyć w odwrotnym kierunku niż PO. Jako partia odwołująca się do inteligenckiego etosu PiS powinien uświadamiać lud polski co do znaczenia osób sprawujących władzę, a nie populistycznie deprecjonować je w jego oczach. Dzieje się jednak inaczej.

I tak inteligencki etos przybiera karykaturalne formy. Przejawia się to w przesądach, które żywią współcześni ideowi potomkowie doktora Judyma. Są oni przekonani, że w przypadku polityków pieniądze służą głównie zaspokajaniu ich chciwości, a nie ich godnemu życiu. Tak, jakby wśród ludzi sprawujących władzę nie było również ojców odpowiedzialnych za materialny byt swoich rodzin.

Z czego zatem się bierze takie negatywne nastawienie do klasy politycznej w Polsce? Czy tylko z dziedzictwa minionych dwóch stuleci bolesnej historii? Nie tylko. To jest też spadek sarmatyzmu, który we wzmacnianiu władzy króla upatrywał zagrożenia dla „złotej wolności” szlachty.

POTRZEBUJEMY WŁADZY

Natomiast sama „apolityczność”, którą chlubi się wielu Polaków, nie jest żadną cnotą. W starożytnej Grecji, uchodzącej bądź co bądź za kolebkę europejskiej demokracji, cechowała ona ludzi określanych mianem „idiotes”. Pojęcie to, kojarzące się nam dziś nieprzypadkowo z pewnym pejoratywnym słowem, obejmowało osoby niezainteresowane życiem publicznym, zajęte wyłącznie własnymi sprawami, wyobcowane ze społeczeństwa.

A przecież polityka to pole konfliktu. Jej uczestnicy biorą udział w walce, nawet jeśli sprowadza się ona tylko do stawiania czoła potężnym – wewnętrznym i zewnętrznym – grupom nacisku przy stole negocjacyjnym.

Nikt z nas zaś w Polsce nie żyje sam na bezludnej wyspie. Stanowimy wspólnotę, która potrzebuje władzy. Aby ta władza wywiązywała się ze swoich powinności wobec obywateli, musi być silna. A zatem też konieczne dowartościowana i doinwestowana.



SZEWACH WEISS

Karol Marks i totalitaryzm

Minęło 200 lat od narodzin Karola Marksa. Przyszedł na świat w Niemczech, gdzie rozpoczął swoją działalność naukową, a później wyjechał do Wielkiej Brytanii. Czuł tam więcej wolności w propagowaniu swoich idei. Bez wątpienia Karol Marks był wybitnym naukowcem, odebrał solidne wykształcenie, a jego teoria opisana w książce „Kapitał” odbiła się szerokim echem. Trudno było wtedy pominąć tak przenikliwą analizę opartą na ogromnej wiedzy, stworzoną w świecie dzikiego kapitalizmu, jaki panował w tamtym czasie. Kapitalizmu, podczas którego bardzo rozwinął się handel międzynarodowy, kapitalizmu bezlitosnego, który wiązał się z migracją milionów ludzi ze wsi do miast. Kapitalizmu, podczas którego bardzo rozwinął się handel międzynarodowy, kapitalizmu bezlitosnego, który wiązał się z migracją milionów ludzi ze wsi do miast. Kapitalizmu, podczas którego bardzo rozwinął się handel międzynarodowy, kapitalizmu bezlitosnego, który wiązał się z migracją milionów ludzi ze wsi do miast.

Z punktu widzenia tego, jak bardzo teoria ekonomiczna zmieniła świat, Karol Marks jest wyjątkowy. Nie chciał zostać na uczelni, nie zamierzał używać mocy swojego autorytetu z uniwersyteckiej katedry, poszedł w stronę dziennikarstwa, publikacji książek. W 1848 r. Karol Marks wraz z Fryderykiem Engelsem ogłosili rewolucyjny manifest komunistyczny, który mobilizował proletariatusz ze wszystkich krajów do jednoczenia się i zmieniania świata.

Ów manifest został zaadaptowany przez ruchy rewolucyjne w krajach, w których kultura polityczna nie była na to gotowa. Dlatego idee Marksa i Engelsa połączyły się tam z autorytarną kulturą polityczną, tak zrobił np. Lenin w Rosji. I dlatego spoglądając na marksizm retrospektywnie, bierzemy pod uwagę okropną, tragiczną i krwawą praktykę

polityczną. Jeden z najgorszych totalitaryzmów na świecie zmienił obiecany proletariatuszowi przez Marksa raj równości w piekło niezwykle brutalnej dyktatury.

Niektórzy uważają, że tak musiało być. Że już w samej marksistowskiej teorii znajdują się geny totalitaryzmu. Jednak mamy przecież także inne doświadczenie. Na podstawie teorii, a przynajmniej w częściowym oparciu na teorii Marksa, rozwinął się socjalizm w innych kierunkach. Tak powstał w Niemczech, Austrii, potem w Wielkiej Brytanii, a później trafił i do innych krajów ruch socjaldemokratyczny. Część wartości tego ruchu była przejmowana przez liderów innych ruchów politycznych, którzy zaczęli częściowo wdrażać politykę socjalną chociażby po to, by zatrzymać wzbierającą falę socjalistyczną. Trudno sobie wyobrazić dzisiejsze systemy ekonomiczne, polityczne bez częściowej choćby adaptacji marksizmu, chociażby ze względu na strach i chęć obrony przed marksizmem.

Tak więc dzieło Karola Marksa i marksizmu na świecie jeszcze nie jest zakończone. Widać to na przykładzie różnych krajów. Ślady marksizmu możemy znaleźć w wielu dzisiejszych państwach, w których opieka socjalna jest mocno rozwinięta. Są to np. państwa skandynawskie, Francja, Niemcy, Kanada, nawet Wielka Brytania, i to pod rządami konserwatystów, a także częściowo Polska. Znajdziemy tam elementy marksizmu, mimo że nie są nazywane wprost i nie przypominają się ich korzeni. To, z czym mamy dziś do czynienia w Chinach czy Korei Północnej, to znów jest zafałszowany marksizm. Chociaż w Chinach posługujących się sztucznie komunizmem do sprawowania reżimowej władzy są elementy

gospodarcze oparte na marksizmie, bez których bardzo wielu Chińczyków mogłoby głodować.

Karol Marks pochodził z żydowskiej rodziny. Stał się jednak zaciekle antysemitą, niby opierając się na naukowych podstawach. To, co głosił o Żydach, było okropne. Nie był jednak pierwszym Żydem, który stał się antysemitą. Czy ja, sam będąc Żydem, powinienem się przejmować, że Marks pochodził z mojego narodu? Świadomość tego, że z mojego narodu pochodzili również Albert Einstein, Zygmunt Freud czy Heinrich Heine, balansuje ten wstyd. Biorąc również pod uwagę, że gdyby autentyczny marksizm jako teoria polityczna i ekonomiczna był na początku realizowany w krajach, które miały jakąkolwiek tradycję demokratyczną, moglibyśmy uniknąć tej okropnej tragedii spowodowanej totalitarną interpretacją marksizmu. © ©

oprac. raw

„Do Rzeczy” poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną**, by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.



Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Knebel do posiłku

Kiedy byłem mały, nauczyciele i wychowawcy mieli kompletnego hopla na punkcie milczenia przy jedzeniu. Tak było w przedszkolu, szkole, na koloniach. – Zamknijcie buzie i jedzcie! – grzmiała często pani na stołówce, co skądinąd nie miało wielkiego sensu. Trudno wszak jeść, nie otwierając ust.

Sądziłem, że ten pedagogiczny aksjomat przeminał, podobnie jak choćby surowy obowiązek leżakowania w przedszkolach. Jednym z moich pierwszych wspomnień jest scena, w której udaję, że śpię na rozkładanym łóżeczku, ale spod przymkniętych oczu obserwuję wychowawczynię, która podrywa się ze swego krzesła i pośpiesznie galopuje ku rzędom męczących się pod kocami przedszkolaków. – Ciekawe, kto podpadł? – myślę sobie. I w tym momencie dostaję siarczystego kłapa w tyłek. Tylko dlatego, że nie spałem podczas leżakowania. Obecnie zamordyzm łóżeczkowy osłabł, co bez wątpienia czyni dzieciństwo szczęśliwszym. Mówcie, co chcecie, ale postęp ma także swoje jasne oblicze.

Natomiast milczenie przy jedzeniu jest wciąż ponurym obowiązkiem, o czym dowiedziałem się zaskoczony od swojego syna, chodzącego do trzeciej klasy podstawówki. Opowiedział, że i w przedszkolu, i w szkole wychowawczynie toczą heroiczne boje z dziećmi, żeby te nie gadały przy

jedzeniu. Nigdy wcześniej się na to nie skarżył, bo sądził, że tak być musi. Ja zaś sądziłem, że już tak nie jest, więc nie dopytywałem.

Oczywiście rozumiem, że opiekunowie małych dzieci chcą sobie ułatwić życie, a w każdym razie uczynić je nieco cichszym. Każdy, kto spędził parę godzin wśród wytwarzających hałas maluchów, wie, że to gorsze od imprezy techno na trzeźwo. Jednak z drugiej – znacznie mi bliższej – strony kneblowanie ludzi podczas posiłku czyni z jedzenia przygnębiającą czynność fizjologiczną. Jasne, rzucanie się kulkami z chleba to przegięcie (choć zabawiał się tak narybek ostatnich Romanów), a miotanie zupy przy użyciu łyżki to makabra. Jednak nawet infantylna rozmowa podczas jedzenia to osiągnięcie naszego gatunku, którego dzieci nie powinno się pozbawiać. Dorośli podczas obiadów załatwiają interesy, podczas kolacji się zakochują albo po prostu miło spędzają czas. Dlaczego zabraniać tego dzieciom?

Tym bardziej że walka o ciszę przy stole jest z góry przegrana. Dzieciaki i tak będą gadały, to po prostu ludzkie. Niech więc gadają. Nawet głośno. Bo przecież za chwilę będziemy narzekać, że się gapią w telefon przy jedzeniu. Konwersacja przy posiłku to jeden z tych anachronizmów, które trzeba pielęgnować, a nie zwalczać. Jedzenie w milczeniu nas odczłowiecza. Poważnie. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Ogród nieplewiony

Kiedy człowiek zastanawia się nad przyczynami upadku Zachodu, mimo jego bezsprzecznych sukcesów gospodarczych i technologicznych, przychodzi mu do głowy ów przysłowiowy „ogród nieplewiony”, ogród pozostawiony sam sobie po wyeliminowaniu ogrodnika. Nasza cywilizacja, zbudowana ongiś na sztywnych regułach dekalogu i dość rygorystycznych normach moralnych, porzuciła je na rzecz permisywizmu, relatywizmu, czyli „róbta, co chceta”. Pytanie, dlaczego odrzuciła gorset

zanim zdoła się dowiedzieć, kim jest i kim być powinien. Wyrusza w świat bez „instrukcji obsługi życia”.

Przybyszy z zapóźnionych (na szczęście) stref cywilizacyjnych, zadziwiają pustką w starych katedrach przerabianych na hotele i knajpy. Skąd to zdziwienie? A dlaczego miałyby być pełne? Potrzeby religijne u większości nie biorą się same z siebie – jeśli nie robią tego rodzina ani szkoła... Parę lat temu trwała u nas wielka dyskusja, gdzie mają się odbywać lekcje religii. Zwyciężyła – dzięki Bogu – koncepcja, że w szkole. A gdyby była zajęciem pozaobowiązkowym – poza szkołą... Kto, poza paru maniakami, poświęci na to wolny czas?

W drodze do psychicznego komfortu, jaki niesie zdaniem lewaków bezstresowe wychowanie, wyeliminowano jakiegokolwiek przymus. A autorytet rodzica, pedagoga itp. nie może opierać się wyłącznie na perswazji. Można – nie wiadomo, jak czule – przemawiać do roślinek, ale w kształtowaniu ogrodu nie obejdzie się bez sekatora, a czasem nawet wyrwania z korzeniami chwastu.

W dodatku relatywistyczna ideologia, w której każdy ma swoje racje i każda jest tyle samo warta, wychodzi z zadziwiającego dla realistów przekonania, że człowiek sam z siebie jest dobry i jeśli przyjdzie mu wybierać według własnego rozumu – wybierze dobrze. Dotychczasowa praktyka dziejów świata wykazuje, że zazwyczaj wybiera źle. Zresztą skąd miałby się wziąć ten jego rozum? ©©

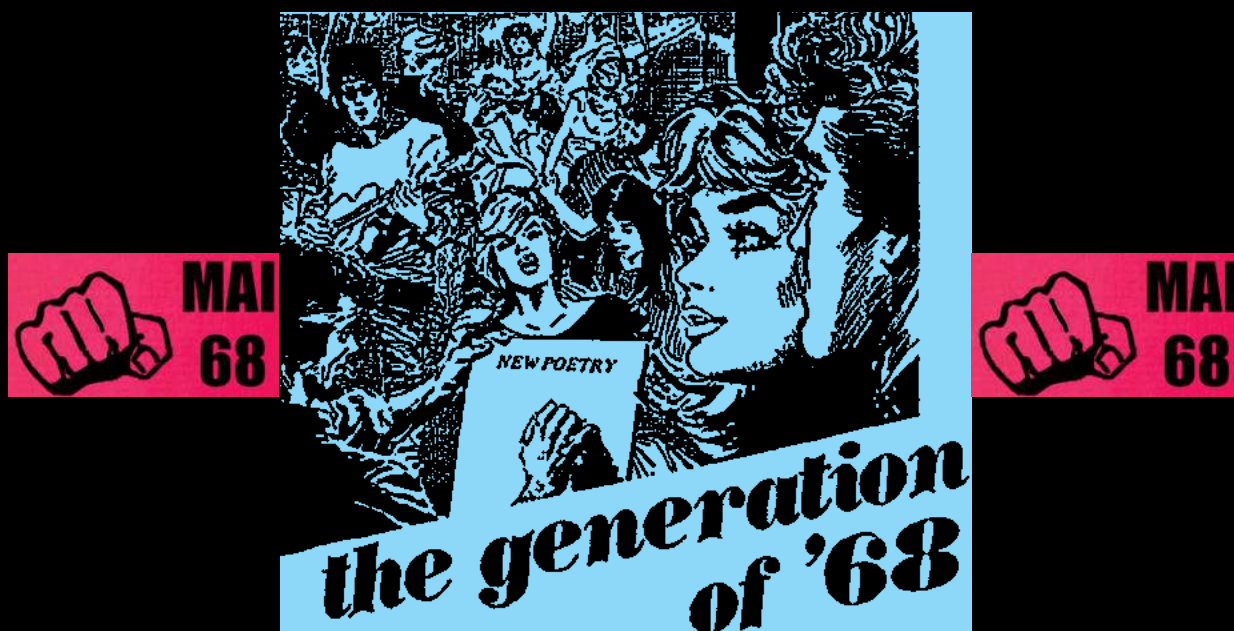
Młody człowiek wyfruwa z gniazda, zanim zdoła się dowiedzieć, kim jest i kim być powinien

będący de facto kręgosłupem? Odpowiedź jest prosta – bo mogła. Żłudne poczucie dobrobytu i opiekuńczego państwa sprawiło, że dwie najważniejsze w dotychczasowym świecie instytucje przestały być niezbędne – rodzina i Kościół. Obie spełniające rolę drogowskazu, obie kształtujące kolejne pokolenia. Jeszcze wiek temu samotny człowiek, zwłaszcza z dzieckiem, był skazany na zagładę, dziś przeżyje, i to nieźle.

Rozpad rodziny wielopokoleniowej sprawia, że młody człowiek wyfruwa z gniazda,

MAJ '68

[50. ROCZNICA REWOLTY, KTÓRA
PRZEMODELOWAŁA ZACHODNIĄ
CYWILIZACJĘ]



Mariusz Adamczyk: „Cywilizacja chrześcijańska przetrwała bez szkody wiele wstrząsów i kryzysów. Nie zaszkodziła jej reformacja, kontrreformacja, oświecenie, liberalizacja i laicyzacja. Nie dała jej rady wielka wojna. Socjalistyczne totalitaryzmy okazały się jedynie przejściowym incydentem bez znaczenia. Zachód został zainfekowany od wewnątrz dopiero przez kontrkulturę, która swoje symboliczne zwycięstwo odniosła w roku 1968. Odczuła to każda dosłownie sfera życia” (2008).



Waldemar Łysiak

Niemiecka publicystka, Bettina Röhl, córka sławnej terrorystki Ulrike Meinhof z RAF (Rote Armee Fraktion), autorka kilku książek o „generacji '68”, rzuciła twardo: „— *Nadal panuje ideologia spod znaku '68 (...)* Powinniśmy się starać o demitologizację ruchu '68”.

Starać się można, jednak osiągnięcie celu będzie tu bardzo trudne, gdyż dzisiejszy lewicowy („postępowy”) Salon świata został stworzony właśnie przez pokolenie tamtego młodzieżowego buntu, dlatego bez pardonu broni „mitologii '68”. Również u nas. Swego czasu kuratorka wystawy w Zachęcie „Rewolucje 1968”, Maria Brewińska, udzielając wywiadu „Rzeczypospolitej” rozczulała się „no-

wym, antykonserwatywnym myśleniem” tamtej generacji buntowników, i precyzowała: „— Młodzi, którzy nie przeżyli wojny, chcieli dokonać przewrotu, aby świat stał się lepszy. Tłumiona latami energia eksplodowała. Rzeczywistość stała się psychodeliczna, miłość i seks przestały być obwarowane zakazami. To był naprawdę niesamowity okres, wybuch pozytywnych emocji: manifestacje przeciwko wojnie w Wietnamie, bratanie się artystów z ludem, białych z czarnymi, aktywizacja «zwyczajnych» obywateli”.

No, po prostu, sam miód — zbiorowy Mesjasz–hipis zstąpił na Ziemię i zrobił jej dobrze. Bez tego panowałaby dzisiaj czarna noc wstecznictwa, jaskinia filistrów, ciemnogród zupełny. Nie żartuję — heroldowie ruchów '68 pięją swoje trele serio. Mit „generacji '68” to — najkrócej mówiąc — teza, iż tamto pokolenie swą rewoltą wyzwoliło ludzkość z rozmaitych tradycyjnych (często wielowiekowych) pęt i hamulców, przynosząc wolność wszystkim uciśnionym, kasując dysproporcje, niwelując nierówności, eliminując

bariery, podnosząc szlabany, otwierając bramy, znosząc zakazy, wygładzając wertepy, et cetera, et cetera. Słowem: dali światu raj, lub przynajmniej przesłonek raju, i błogosławioną „polityczną poprawność” we wszelkich możliwych aspektach. Pytanie: jeśli tak, to czemu tylu ludzi brzydzi się kondycją i aparycją dzisiejszego świata? Świata, w którym polityczno–kulturowy mainstream wywodzi się duchowo z „Maja '68”. Politolog Michał Kuź: „*Filarem mainstreamu jest zaczerpnięte z lewicowej rewolty lat 60. ubiegłego wieku myślenie o kulturze, religii, rodzinie i ludzkiej seksualności. Matecznikiem tej rewolucji były uczelnie, zwłaszcza wydziały humanistyczne. To na uczelniach doszło też do najszybszej zmiany pokoleniowej, i to tam rewolucjoniści zaczęli w końcu kształcić nowych badaczy, a przy okazji wszystkich liczących się dziennikarzy, większość nauczycieli, a także pokaźną liczbę duchownych różnych wyznań. System się w efekcie domknął, a elity o określonym ideologicznym profilu zaczęły się samoodtworzać*” (2017).



Paryż 1968

PUNKT WIDZENIA, PUNKT SIEDZENIA

Rewolta '68 miała różne cele i oblicza w krajach nią wstrząsanych (Francja, Niemcy, Włochy, Holandia, Hiszpania, Japonia, USA, Brazylia, Argentyna, Jugosławia, Polska, Czechosłowacja itd.), później wszakże jej heroldowie wypracowali wspólną platformę ideowo-reklamową (piarowską) będącą fundamentem mitu, przypisując „pokoleniu '68” liberalizację właściwie wszystkiego: rodziny (depatriarchalizacja), kultury (kontrkultura), szkolnictwa (obniżenie wymaganych norm), prawa (radykalne zmniejszenie represyjności), obyczajów (radykalne rozluźnienie), przepisów (usprawnieniowa nowelizacja), etc., w tym także wymuszenie rozwiązań szczegółowych i masowych, dotyczących całych grup, jak depenalizacja homoseksualizmu (od 1969), legalizacja oraz instytucjonalizacja feminizmu, administracyjne uwalenie spuścizny nazistowskiej, itp. Starczy pobeżna analiza tych przypisywanych sobie zasług, by większość przechwałek obalić lub obśmiać (źródła zmian były w prawie każdym wypadku wcześniejsze),

lecz nie to jest istotą problemu pt. „generacja '68” lub „mitologia '68”, tylko bilans zysków i strat. Według Salonu — zyski bezwzględnie tu dominują, świat został prawidłowo zmodernizowany i dohumanizowany. Według kontrsalonowców — świat został przez „pokolenie '68” zgangrenowany.

Gdy zerkamy ku źródłom, czyli cofamy się pamięcią o 50 lat — widać generalną różnicę między buntem młodzieży Wschodu i Zachodu. I tu (Polska, Czechosłowacja), i tam (Francja, USA, Niemcy) bunt młodych był wymierzony przeciwko porządkowi społeczno-politycznemu, przeciwko dyktaturze. Lecz tu — przeciwko dyktaturze komunistycznych kacyków, prokremlowskich despotów. Natomiast tam — przeciwko dyktaturze konserwatywnych rodziców i siwiejących autorytetów. Młodzież zachodnią uwierała pęta tradycyjnej („burżuazyjnej”) obyczajowości i kultury, nęciły zaś „postępowe” miazmaty doktryn lewackich (maoizm, trockizm itp.). Młodzież wschodnioeuropejską gnębiły systemowe pęta doktryny komunistycznej, a wabiły uroki „mieszkańskiego” dobrobytu i liberalnego ustroju zachodnich państw. Można tedy rzec,

iż nad Wisłą walczono o to, co zwalczano nad Sekwaną — jest to diabelski paradoks 1968 roku. Francuska młodzież, z całą naiwną głupotą żółtodziobów i neofitów, rwała się ku goszystowskiemu utopiom, które obiecywały alternatywne społeczeństwo według wzorca teoretyków socjalizmu, tymczasem polska młodzież rwała się do coca-coli i do normalnej swobody, czyli do tego, żeby w sklepach był nie tylko ocet, i aby wolność słowa zesłała z łamów konstytucji na ulice — aby zagościła w codziennym życiu.

Przepaść między motywami/dążeniami buntów '68 (wschodnioeuropejskimi i zachodnioeuropejskimi) — to przepaść między dwiema głównymi rzeczywistościami ówczesnego globu: opresyjną i demoliberalną. W latach 60-ych XX stulecia na Zachodzie nie było żadnych publicznych przyczyn usprawiedliwiających wybuch buntu: demokracja kwitła, panowała wolność słowa, bezrobocie nie istniało. Dobrobyt przewrócił klepki wewnątrz główek nudzącej się luksusowo młodzieży „kapitalistycznych krajów” — młodzieży, którą stać było na wszystko dzięki samemu tylko kieszonkowemu od „starych”. Bettina Röhl: „ — Uczestnicy zachodniego

Paryż 1968



FOT. BRUNO BARBEY/MAGNUM PHOTOS/FOURUM

ruchu '68 dopiero wchodzili w dorosłe życie, byli wówczas nastolatkami, dwudziestolatkami, i byli pierwszym «pokoleniem kieszonkowego». Pierwszy raz młodzież zyskała tak duże przywileje i fory materialne, dysponując pieniędzmi od rodziców, dziadków, wujków, i od państwa, bo brała rozmaite stypendia. Pierwszy raz młodzi ludzie mogli masowo wypożyczać bądź kupować mieszkania, tudzież samochody, nabywać sprzęt audio-wizualny, skutery i motory, podróżować po świecie i wałkować się z sytym brzuchem. I ta właśnie uprzywilejowana, rozpieszczona generacja dała się porwać absurdalnym lewackim ideologiom, uprawiając głupawy popkomunizm, jak ja to nazywam, miesząc Marksa i Mao z dzinsami i narkotykami, wreszcie praktykując «luksusową rewoltę» przeciwko swym dobroczyńcom — darczyńcom, czyli rodzicom, dla fatamorgan rozwalających całą kulturowo-obyczajową bazę Zachodu”.

ŚWIATOPOGLĄD HIPISÓW

Zrewoltowana zachodnia młodzież nie miała wątpliwości, iż kapitalizm, patriarcalizm i cała tradycyjna „nadbudowa” cywilizacji zachodniej są krępującym przeżytkiem i skandaliczną przeszkodą dla postępu, którą usunąć to obowiązek każdego mądrego człowieka. Pewność co do tego panowała po obu stronach Atlantyku. I po obu stronach tegoż oceanu kulturowe, obyczajowe plus instytucjonalne skutki rewolty były podobne. Północnoamerykańska hipisowska „choroba Ery Wodnika” uległa wprawdzie szybszej kompromitacji dzięki zbiorowemu mordowi w wykonaniu bandy „dzieci kwiatów” Charlesa Mansona (rzeź u Polańskiego) i dzięki samobójczym narkotykowym „złotym strzałom” rockowych gwiazd (Jimi Hendrix, Janis Joplin, Jim Morrison), lecz efekt długofalowy ukazuje codziennie Hollywood (beprzuderyjny seks na ekranach) i przemysłowa kariera narkotyków.

Żeby efekt był analogiczny — start do celu musiał być identyczny. I był — zerwano się w USA pod sztandarami antykapitalizmu, antykonsumpcjonizmu, antyfamiliizmu, antyklerykalizmu, antypurytanizmu, z godłem stuprocentowej WOLNOŚCI jako absolutem. I ze współczuciem dla tych, którzy rewolucji nie pragną. W książce „**Umysł zamknięty**” (1987) Allan Bloom pisze: „*Studenci amerykańscy tamtych czasów pragnęli być przywódcami rewolucji współczucia. Pogardzali amerykańską klasą średnią, tą stanowiącą większość rzesz prostaków, która nie chciała ani*



przywództwa, ani współczucia buntującej się studenterii”. Fakt — „wynalazki” buntowników nie zyskiwały powszechnych braw. Zamiast rodzinnego lub własnego domu — młodzieżowa „komuna”; zamiast małżeństwa — „sztafeta”; zamiast służby wojskowej — pacyfizm; zamiast elementarnej choćby autodyscypliny — „poszerzenie świadomości”. Dawne sartrowskie hasło „*Zakazuje się zakazywać!*” robiło w hipisowskich Stanach nie mniejszą furorę niż w Europie lewicowych kontestatorów. Musiały minąć całe lata, by okazało się, że „*wolna miłość*” to rozwiązłość, „*make love not war*” to quasi-prostytucyjność, a „*poszerzenie świadomości*” to ciężkie narkotykowe uzależnienie milionów szczeniaków i gołowąsów.

Ruch hipisowski zrobił karierę globalną, rozplecił się na wszystkich kontynentach prócz Antarktydy. I wszędzie — po arkadyjskim („dzieciokwiecny”) okresie wzlotu — finałem było bolesne „*bum!*”. Wszędzie kończyło się zgnilizną. Robert Tekieli: „*Przestałem być hipisem, kiedy w Krakowie w latach osiemdziesiątych zobaczyłem co się dzieje w hipisowskim squacie. W opuszczonym budynku byli chłopcy, były dziewczyny. Była wolna miłość, narkotyki, wszystko. Ale któregoś dnia przyszli menele. Chłopcy, w imię pacyfizmu, nie bronili dziewczyn. Były regularnie gwałcone. Sub kultura*”. Wedle starej reguły przetrwania („*co cię nie zabije, to cię wzmocni*”) — subkultura hipisów utwardziła skórę niejednemu.



■ Dojrzałość — rozumna refleksja — ka-
zała też niejednemu zdumieć się, że był
takim idiotą. Ekshipis, później wybitny
prawicowy publicysta amerykański, Pa-
trick J. O'Rourke (autor świetnych książek
dla konserwatystów), przeszedł optymal-
ną ewolucję „from fool to sage”. Damian
Leszczyński: „Wspominając swoją hipisow-
ską i kontrkulturową młodość, O'Rourke
pisze jak wesoło bawił się w rewolucję,
w walkę z imperializmem i nierównościami,
dopóki nie zrozumiał jednej prostej rzeczy
— a mianowicie, że jego nieprzezwyczę-
ziona wrogość wobec kapitalizmu wynikała
z wrogości wobec jakiegokolwiek wysiłku,
wobec pracy”. Wcześniej czy później — by
nie zdechnąć z głodu — trzeba było pójść
do pracy. Mnóstwo tych, którzy nie wy-
korkowali od „koku”, ścięło włosy i zaczę-
ło się co rano meldować z teczką w biurze.
Jednak lokal, do którego wracali, był już
inny niż bogobojny dom rodziców. Socjo-
log Anthony Giddens: „Dziś odczuwamy
z całą mocą siłę tej transformacji i wciąż
nie umiemy do końca sobie z nią poradzić.
Zaliczają się do niej zmiany w obrazie ro-
dziny, zmniejszenie roli małżeństwa, nacisk
położony na jakość relacji międzyludzkich
(m.in. seksu), masowe zasilenie rynku
pracy przez kobiety, niższy przyrost de-
mograficzny i epoka wychuchanych dzieci
(...) Wiele spośród jednostkowych i zbioro-
wych eksperymentów hipisów przyniosło
skutki opłakane. Seksualne wynaturzenia
przyszyły nazwę wolnej miłości. Narkotyki
okazywały się drogą do zniewolenia (uzależ-
nień), a nie do wyzwolenia ducha (...) Co
więcej, uczestnicy tego ruchu zakwestio-
nowali kilka rzeczy, bez których nie może
się obyć żadne przyzwoite społeczeństwo.
Byli antybiurokratyczni, ale pewien stopień
biurokratycznej koordynacji jest niezbęd-
ny w złożonym społecznym organizmie,
państwo nie może bez biurokracji funkcyj-
nować”. Niemiecki historyk Götz Aly (czło-
nek „pokolenia '68”) mówi to samo co
Giddens: „ — Naszym celem był inny model
społeczny, więc zakwestionowaliśmy pań-
stwowy monopol siły, a przecież wiadomo,
że jeśli ten monopol zostanie nadwerężony,
to państwo nie może funkcjonować”.

BILANS: „NIC DOBREGO”

Niefunkcjonowanie państwa, unice-
stwienie państwa, zawsze było celem
anarchistów, którzy mają brodę co naj-
mniej sto lat dłuższą niż „generacja '68”.
Zatem to nie buntownicy roku 1968 wy-
myślili osłabianie państwowych struktur.
I tak jest ze wszystkim co przypisuje sobie
tamta generacja. To nie oni wymyślili

ekologię (prekursorami byli tu rolnicy
bawarscy). To nie oni wymyślili feminizm
(wcześniej były rozmaite emancypant-
ki, sufrażystki itp.). To nie oni wymyślili
„wolną miłość” (powszechna rozwiązłość
panowała już w europejskich „szalonych
latach 20-ych”, zaś całkowicie uwalniająca
seks pigułka antykoncepcyjna została
wynaleziona przed 1968). To nie oni zde-
komponowali/zdewastowali rodzinę tra-
dycyjną, tylko totalne uprzemysłowienie
świata, które wyciągnęło kobiety z domu
do pracy fabrycznej i biurowej. To nie oni
wymyślili depenalizację homoseksuali-
zmu (we Francji zadekretował to już ce-
sarz Napoleon Wielki). To nie oni osłabili
chrześcijaństwo (tę robotę zaczęła maso-
neria XVIII wieku i kontynuowała lewica
francuska, głównie wolnomularska, przez
cały XIX wiek; ksiądz Bernard Podvin,
rektor Uniwersytetu Katolickiego w Lille:
„ — Gdy korzystając z Maja '68 francuska
lewica chciała dobić Kościoła, reakcją wielu
katolików była ucieczka w tradycjonalizm
trydencki, który pono daje więcej bezpie-
czeństwa”). Et cetera, et cetera. Buntow-
nicy '68 nie wymyślili literalnie niczego.
Jednak czy prawdą jest, że nie osiągnęli
niczego? Götz Aly: „ — Moje pokolenie,
zwane «pokoleniem '68», nie osiągnęło nic.
Zupełnie nic”.

To nieprawda. „Generacja '68” osiągnę-
ła dużo, wyrzuciła świat do góry (rozkra-
czonymi) nogami. Aly zresztą poprawił się
szybko: „ — Nie działaliśmy praktycznie
nic dobrego”.

O właśnie: nie „nic”, tylko „nic dobre-
go”. Istotnie bowiem — chociaż osią-
gnęli dużo, czy osiągnęli coś dobrego?
Dziesięć lat temu, a więc w 40. rocznicę
„Maja '68”, „Rzeczpospolita”, której
szefem był wówczas dzisiejszy RedNacz
„Do Rzeczy”, Paweł Lisicki, zadała bardzo
słuszne pytanie: „Czy jesteśmy od roku
1968 bardziej wolni, i czy na pewno jest
to powód do radości?”. Ani do radości,
ani do dumy. Pewna liberalizacja oby-
czajów była na Zachodzie nieuchronna
wskutek ciągłego wzrostu dobrobytu,
jednak wszystko, czego „pokolenie '68”
nie wymyśliło, tylko rozpropagowało
ekspansywnie — budzi duży krytycyzm.
Czy degrengolada tradycyjnego małżeń-
stwa i tradycyjnej rodziny („wolność od
rodziny”), praktyczne unicestwienie tych
struktur gwoi ekshibicyjnego uwolnienia
seksualności — to jest coś, czym win-
niśmy się cieszyć? Winniśmy bić brawa
daniu fizycznemu wymiarowi człowieka
przewagi nad duchem? Mamy się kłaniać
bożkom groteskowego kultu wiecznej
młodości? Trzeba szanować dzisiejsze

bezrygorowe szkolnictwo, które skutkuje
globalnym zaniżeniem inteligentności
i erudycyjności? Relatywizowanie (miast
wpajanie) kanonu wiedzy i kanonu este-
tyki to właściwa droga? Autodestrukcja
jest lepsza niż autorytaryzm? Korynckie
libido winno górować nad intymnością?
Śmieciowa kontrkultura nad kulturą? Ka-
żda głupawa reforma dla reformy — nad
tradycją? Awangardowe nygusostwo nad
kindersztubą? Trudno sobie dziś wyobra-
zić, że kiedyś para bez ślubu nie mogła
wynająć pokoju hotelowego, lecz równie
trudno sobie wyobrazić, że kiedyś uczeń
nieumiejący liczyć i czytać nie mógł dostać
świadectwa ukończenia szkoły.

W grę wchodzi również niezwykle
ważny aspekt ekonomiczny. Mariusz
Adamczyk zebrał (2008) rozliczne tabele
wynikowe dotyczące PKB pięciu cywilizacji
(Chiny, Indie, Islam, Japonia i Zachód),
konkludując: „Wielkim przegranym drugiej
połowy XX wieku okazuje się Zachód (...) Udział Zachodu w całkowitym światowym
PKB spadł do 53% w roku 2005. Dla cywil-
lizacji, która przez tysiąclecie rozwijała
się najszybciej ze wszystkich, musi to być
szczególnie szokujące (...) Coś zepsuło się
dopiero na przełomie lat 60. i 70., wskutek
wydarzeń, które pod koniec lat 60. ogar-
nęły cały Zachód i odcisnęły swoje nega-
tywne piętno w kolejnych dekadach”. Lecz
buntownicy '68 gwizdzą na ekonomiczne
wskaźniki — wolą fetować swe triumfy
„estradowego” rodzaju.

GWIAZDORZY MAJA

„Pokolenie '68” wygrało dubeltowo:
ćwierć wieku po swym buncie miało
już gdzieś władzę polityczną
(exemplum niemiecka koalicja Zielonych
i SPD), a globalnie ma pełną władzę
kulturowo-obyczajową, którą sprawuje
Salon. Niepotrzebny im nawet marksizm
(notabene: nie Marks, lecz gosztyowski
teoretyk Marcuse był ich pierwszym guru
ideologicznym) — stworzyli własny „izm”,
zwany „political correctness”. Wydają
mnóstwo książek i piszą mnóstwo artyku-
łów wspierających „mitologię '68”, mnós-
twa tekstów sygnowanych nazwiskami,
choć — ciekawostka — w 1968 uważali
to za przestępstwo (hasło „śmierć auto-
ra”), głosząc, że wszelka twórczość winna
być dziełem kolektywu. To maoistowskie
hasło przypominała Virginie Linhart, cór-
ka szefa grupy francuskich maoistów '68,
Roberta Linharta, która w swej książce
o „generacji '68” ośmieliła się też wytknąć
„Majowi '68”, że był stymulowany i kie-
rowany przez Żydów. Dzisiaj wiadomo,



Bettina Röhl



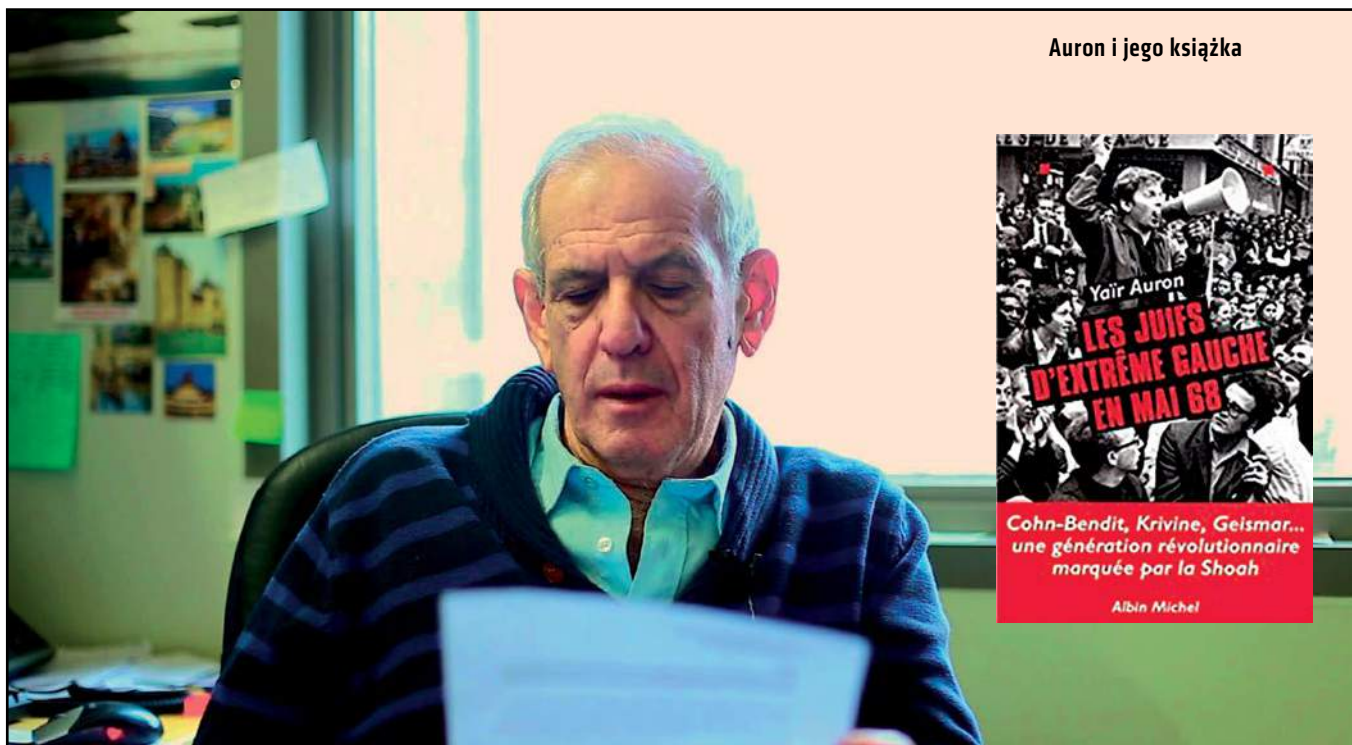
Virginie Linhart

że głównie przez agentów KGB, a bezpośrednio (na ulicach i przy mównicach) przez dzieciaki z bogatych żydowskich rodzin, szkolone co roku na wakacyjnych obozach lansujących lewacką ideologię. O tym właśnie pisze bezkompromisowa Linhart, i rzuca nazwiska: Geismar, Weber, Lévy, Cohn-Bendit i in. Notabene nie była pierwsza, dziesięć lat przed nią izraelski historyk Ya'ir Auron wydał pracę **„Żydzi z ekstremalnej lewicy w Maju '68”**.

Wzmiankując tekst Virginie Linhart, powołuję się znowu na dziecko buntowników '68, i nie jest to przypadek. Panie Linhart i Röhl nie są bowiem wyjątkami — spora grupa dzieciaków tamtej lewackiej młodzieżówki gardzi dzisiaj swymi rodzicami i publicznie tę wzgardę wyraża. We Francji najgłośniejszym takim krytykiem własnych rodziców jest modny

literat Michel Houellebecq (Magdalena Miecznicka: *„Houellebecq znienawidził wyzwolone pokolenie Maja '68 i obarczył je wszystkimi winami za nieszczęścia ludzkości, bo jego rodzice jeszcze po trzydziestce uważali się za dzieci kwiaty i postanowili w imię wolności jednostki oddać swoje dziecko na wychowanie do dziadków”*), a w Wielkiej Brytanii równie modny pisarz Martin Amis (syn wściekłego lewaka, Kingsleya Amisa), itd. Równocześnie głośne się stały konwersje lewaków „pokolenia '68” — z lewicowości na antylewicowość (w USA dramaturg David Mamet, we Francji pisarz Olivier Rolin i filozof André Glucksmann), tłumaczone przez tych neofitów prawicy faryzeizmem ideologii lewicowej. Większa wszakże grupa „nazwisk” nie zamierza kłaść swych ideałów '68 — woli je mitologizować.

„Generacja '68” wypromowała dużo znanych figur, które ją symbolizują personalnie. Nie jest to może takie proste w USA, bo tam z młodzieżową rewoltą kojarzone są dziś nazwiska przedstawicieli „bitników” („Beat Generation”), czyli pokolenia o włos wcześniejszego, które swym włóczęgowym luzactwem i swą twórczością literacką, swym kontestatorstwem antymieszczańskim i „drugami”, przygotowało eksplozję hipisostwa. John (Jack) Kerouac i Allen Ginsberg. Po nich był tylko Ken Kesey, autor **„Lotu nad kukułczym gniazdem”**, idol hipisowskiego ruchu Merry Pranksters (Weseli Figlarze), który mówił, że jest „za młody na bitnika, za stary na hipisa”. Tymczasem Europa ma gwiazdy wyrosłe bezpośrednio z 1968 roku. W Niemczech Rudi Dutschke i Joschka Fischer (został ministrem w rządzie koalicyjnym kancлера Gerharda Schrödera), nie mówiąc już o bandyckich asach grupy terrorystycznej Baader-Meinhof. We Francji Niemiec Daniel Cohn-Bendit (nomen omen), dzisiaj wpływowy deputowany parlamentu UE (to on był w Unii głównym obrońcą Bronisława Gereńki, gdy ten wywołał skandal międzynarodowy krzycząc, iż polskie faszystowskie władze — rząd PiS-u — chcą mu odebrać godność, bo żądają podpisania deklaracji lustracyjnej). W Polsce Adam Michnik, serdeczny przyjaciel Cohn-Bendita, guru priwiślańskiego Salonu. Michnika wszyscy rodacy do-



Auron i jego książka

FOT. AP/EAST NEWS



Daniel Cohn-Bendit (ksywa „Czerwony Danny”) na manifestacji ulicznej i na konferencji prasowej (siedzi za stołem po lewej)

■ brze znają — jednym jest znany jak zły szeląg, drugim jak złoty rubel. Niemieckiego Francuza zna niewielu Polaków, tedy warto go przedstawić.

Wśród przywódców paryskiego „Maja '68” Daniel Cohn-Bendit (angielska ksywa: „Czerwony Danny”, francuska: „Czerwony Dany”) wyrósł na figurę numer 1. Został ikoną europejskiej radykalnej lewicy. Tudzież ikoną anarchistów (należał do kilku ugrupowań anarchistycznych). Tudzież ikoną marihuaniistów. Tudzież ikoną pedofilów. W latach 70-ych XX wieku pracował w przedszkolu państwowym i tak to wspominał później: „ — Mój ciągły flirt z dziećmi szybko przybrał charakter erotyczny. Dzieci rozpinają mi rozporek, by głąskać...”. I tak dalej, i tym podobnie. Wywalono go za „perwersję i lubieżność”. Bettina Röhl: „ — Prócz uprawiania pedofilii, spacerował po ulicach z psem o imieniu Kałasznikow (...) W 1968 robił dobre «koktajle Mołotowa» i uprawiał rewolucję. Czasami przerywał uliczną manifestację, by odpocząć. Brał wtedy takśówkę i jechał do ulubionego baru, gdzie pił koktajle z tuzami zniechodzonej burżuazji — pracownikami pobliskich kancelarii adwokackich. To była taka fajna rewolucja. Mieszkanie w Paryżu, dom w Toskanii, naręty w Szwajcarii, drogie wino i ekskluzywne ubrania. Historia Cohn-Bendita to cała historia tamtej lewicy”.

TERROR POKOLENIA '68

„Czerwony Dany”, gwiazdor „lewicy kawiorowej” oraz „pokolenia '68”, prócz psa Kałasznikowa ukochał równie rasowego Adama Michnika: „ — Dla nas, francuskich studentów z generacji '68, Adaś był jednym

z nas, człowiekiem lewicy walczącym przeciwko totalitaryzmowi o demokrację. Był tak jak ja intruzem w systemie, który go odrzucił”.

„Przeciwko totalitaryzmowi o demokrację”? Coś się porobiło z pamięcią „Czerwonego Daniela”, jeśli zapomniał o co w istocie walczyli. Walczyli o trockizm — o trockizację demokracji — czyli na rzecz lewackiego totalitaryzmu. Michnik przyzna później (1988), mówiąc o swym druhu francuskim: „ — Nie będę ukrywał, że coś mieliśmy wspólnego z trockizmem”.

Ano mieli. Lecz wróćmy do świeżych wynurzeń Cohn-Bendita na temat jego druha polskiego: „ — Ostatnio martwię się o mego przyjaciela Adama Michnika. Odnoszę wrażenie, że Adam przeżywa swój dramat Historii. Cierpi z powodu cofania się swego kraju ku mrokom. W dzisiejszej Polsce nie ma już chyba miejsca dla wolnego człowieka, dla intelektualisty”.

FOT. BRAUN/OLYMPIA



Adam Michnik



Paryż 1968

FOT. GAC/PAP

Daniel Cohn-Bendit powiedział za to pierwszych rządów PiS-u. Przesadził, bo Michnik ma niezmiennie twardy salonowy elektorat, zresztą chwala go nawet publicyści kojarzeni z prawicą (według literata Jerzego Pilcha pewna proza literacka Jarosława Marka Rymkiewicza to „wielka pieśń miłosna o Adamie Michniku”; Piotr Semka rozczuła się „chwalebny przeszłością Adama Michnika”, itp.). Zawsze zresztą był przez kogoś chwalony, pewnie dlatego, że zawsze był pryncypialny (publicysta Krzysztof Mętrak w 1971 roku: „Adaś pryncypialny, zacietrzewiony jak dawniej. Tak wyobrażałem sobie komunistyczne doktrynerstwo żydowskie przedwojennych komunistów”). A łoża Michnika wciąż dzierży sporą władzę medialną (opiniotwórczą), analogicznie jak wokół całego globu dzierży ją „generacja '68”, by wymienić CNN, TVN, BBC i inne „liberalne” telewizje, bądź francuski „Le Monde”, niemiecki „Der Spiegel” czy nowojorski „NYT” albo „Washington Post”. Dzisiaj

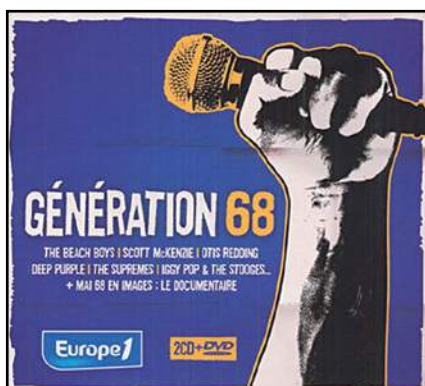
Została za to rozszarpana. Olga Doleśniak: „Wojujący sztab roku 1968 najwidoczniej poczuł się urażony krytyką wymierzoną we wszystkie tzw. osiągnięcia rewolucji obyczajowej. Herman złamała tabu — bez ogródek przeciwstawiła się dyktatowi antyrodzinnej propagandy feministycznej, z jej głównym hasłem «samorealizacji»”.

Innym drastycznym wydarzeniem dotyczącym „pokolenia '68” jest afery, która eksplodowała u Włochów. Stowarzyszenie Ofiar Czerwonych Brygad (134 zabitych, ponad 2 tys. okaleczonych) zaalarmowało Ministerstwo Kultury, że na festiwalu filmowym w Locarno Italię będzie reprezentował film „Słońce przyszłości”, gloryfikujący zbrodniczą „generację '68”. Minister Sandro Bondi kazał sobie wyświetlić to dzieło i ryknął wściekle. Skandalem, szeroko komentowanym przez europejskie media, stał się fakt, iż lewacki film (reżyser Gianfranco Pannone) otrzymał gigantyczne, choć ciche, dofinansowanie ze strony ministerstwa za czasów premiera Romano Prodiego (długoletniego agenta KGB), którego rząd pełen był dawnych aktywistów '68. O skandal związany ze „Słońcem przyszłości” Bartłomiej Radziejewski spytał polską tłumaczkę książki Bettiny Röhl „Zabawa w komunizm”, Ewę Stefańską, by usłyszeć: „ — Dofinansowali film pewnie urzędnicy ministerstwa stanowiący ekspozyturę generacji '68. Ta generacja, z nielicznymi wyjątkami, nigdy nie potępiła lewackiego terroryzmu. Dla nich bandyci z Czerwonych Brygad to bohaterowie,

męczennicy, ofiary opresyjnego systemu kapitalistycznego. Nigdy nie porzucili swojej chorej fascynacji ideologią Mao, Lenina czy Marksa (...) Sentymenty do lewackiego terroryzmu pojawiły się wcześniej również w innych krajach, na przykład w Niemczech, i nie była to reakcja spontaniczna. Taka postawa została wypracowana przez lata. Sowieckie służby, posługujące się wywiadem eneradowskim, uczyniły bardzo dużo, by przygotować społeczeństwo do zaakceptowania nawet tak absurdalnych postaw wobec własnego państwa, jakie prezentowała Frakcja Czerwonej Armii (...) To efekt propagandy głoszonej przez wpływową generację '68. Głos takich osób, jak Joschka Fischer, Daniel Cohn-Bendit czy Günter Grass, był i jest słuchany na całym świecie z uwagą, która wielu nie pozwala zastanowić się nad tym, jak wielkie brednie czasami ci ludzie wygadują (...) Starczy prześledzić historię pisma «Konkret», na którym wychowała się część obecnych niemieckich elit...”.

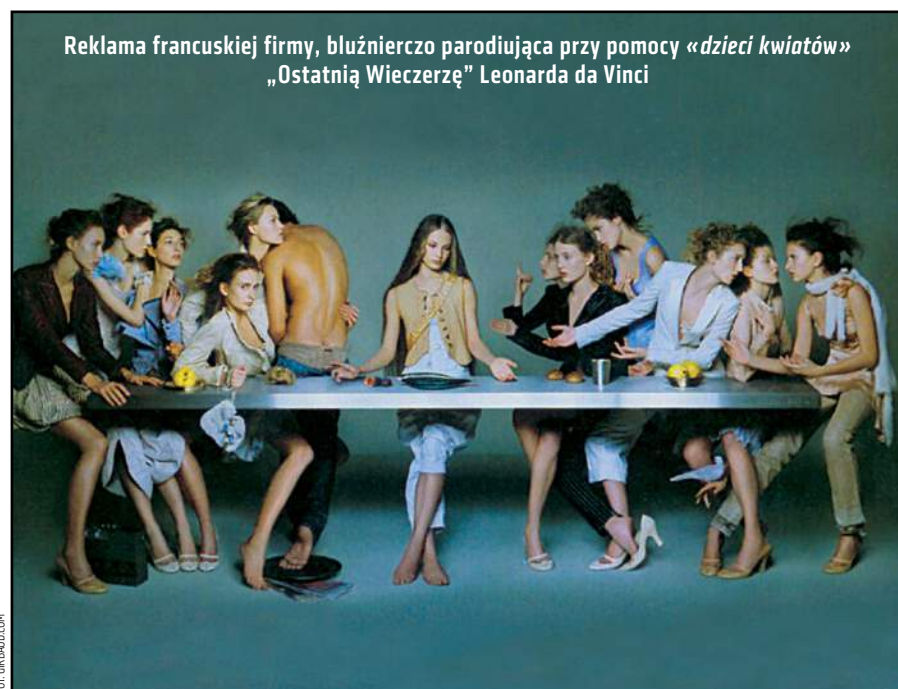
Tu reporter zadał kolejne pytanie: „ — Czy i w Polsce są ludzie ciepło mówiący o terrorystach?”. Odpowiedź brzmiała: „ — Pewnie należałoby się pochylić nad poglądami ludzi związanych z «Krytyką Polityczną». Zwykle traktuje się ich jako lewicę z ludzką twarzą, z którą dialog jest dopuszczalny ze względu na brak ich komunistycznej przeszłości. Moim zdaniem niesłusznie”.

Moim zdaniem KGB był królem mitotwórców, a jego następczyni, FSB, nie chce być gorsza. ©©



tamci luksusowi żule są kastą kulturowych decydentów. Wyzwolili świat od godności, a wmawiają, że przywrócili światu godność, i na tym polega tak skutecznie szerzona przez nich mitologia roku 1968.

Spśród głośnych przypadków politycznopoprawnościowego terrorku, który sprawuje „generacja '68”, warto wymienić casus Ewy Herman, prezenterki telewizyjnej i publicystki (autorki „Das Eva Prinzip”, 2006). Tę Niemkę wywalono z pracy (2007), bo apelowała, by „przywrócić macierzyństwu rangę, którą miało zanim Niemcy pozbyły się takich wartości jak szacunek dla rodziny i pokoleniowa solidarność”. Herman krytykowała również wojujący feminizm jako „fatalny efekt rewolucji obyczajowej '68”, pisząc: „Walka o wizerunek kobiety doprowadziła do jednoznacznego zwycięstwa feministek, którym udało się przeforsować nowy wzór kobiety — niezależnej, ale i niekobiecej”.





Z Szymonem Nowakiem, historykiem, autorem książki „Niechciani generałowie” rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Na defiladzie zwycięstwa w Londynie maszerowali Amerykanie, Brytyjczycy, Australijczycy, Kanadyjczycy, a także egzotyczni przedstawiciele Meksyku, Etiopii, Fidżi, Seszeli i Libanu, a zabrakło Polaków FOT. HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

Noc generałów

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego defilada zwycięstwa w Londynie miała miejsce dopiero w czerwcu roku 1946? O absencji w niej Polaków zdecydowano na Kremlu?

SZYMON NOWAK: Związek Sowiecki święcił zwycięstwo nad Trzecią Rzeszą już w czerwcu 1945 r. Wówczas odbyła się w Moskwie wielka parada zwycięstwa, w której kulminacyjnym momentem było rzucenie pod mauzoleum Lenina 200 zdobycznych sztandarów niemieckich sił zbrojnych. Alianci zachodni ze świętowaniem wiktorii postanowili poczekać na ostateczne rozprawienie się z Japonią. Wojna na Dalekim Wschodzie (Japonia kapitulowała 2 września 1945 r.), wybory w Wielkiej Brytanii (gdzie paradoksalnie Winston Churchill, który wygrał dla Albionu najcięższą z wojen, przegrał pierwsze powojenne wybory z Clemen-tem Attlee'em), a potem zapewne również niesprzyjająca angielska pogoda – wszystko to razem sprawiło, że parada zwycięstwa w Londynie odbyła się dopiero w czerwcu 1946 r.

Smutną sankcją dla polskich żołnierzy z PSZ na Zachodzie był fakt niezaproszenia ich do udziału w londyńskiej paradzie. A przecież pod koniec wojny Polacy stanowili piątą siłę zbrojną aliantów.

Początkowo w uroczystości mieli wziąć udział tylko polscy piloci, idąc razem w grupie z lotnikami RAF. Jednak Polacy odmówili, solidaryzując się z pozostałymi polskimi żołnierzami, którym odmówiono możliwości zaprezentowania się w marszu zwycięstwa. Następnie polską stronę miała reprezentować nieliczna delegacja LWP z trzema wysokimi rangą oficerami, ale przyłot tej reprezentacji został odwołany w przededniu defilady. Ostatecznie na londyńskich ulicach maszerowali Amerykanie, Brytyjczycy, Australijczycy, Kanadyjczycy, a także egzotyczni przedstawiciele Meksyku, Etiopii, Fidżi, Seszeli i Libanu, a zabrakło Polaków. Wydaje się, że brak udziału Polaków w paradzie zwycięstwa to obojętna decyzja Wielkiej Brytanii (aby w żaden sposób nie urazić Stalina i nie zadrżać stosunków z ZSRS), no i oczywiście Moskwę.

Najstarszym polskim weteranem wojennym, który pozostał na emigracji, był bohater spod Cuszyny?

W 1939 r. gen. Jerzy Wołkowicki miał 56 lat i po najeździe niemieckim na Polskę dowodził garnizonem Chełma, a następnie prowadził kombinowaną dywizję nazwaną swoim nazwiskiem. Dostał się do niewoli sowieckiej, ale wyjątkowym

zbiegiem okoliczności ocalał z katyńskie-go mordu. Wiązało się to bezpośrednio z przeszłością Wołkowickiego, który jako młody oficer i poddany cara brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej oraz w bitwie morskiej pod Cuszimą w 1905 r. Negował wniosek kapitulacji floty i proponował walczyć do końca, a potem zatopić okręt. Nieprzejednana postawa młodego mierzana została uwieczniona w komunistycznych publikacjach i rozstawiona na obszarze całego Kraju Rad. To dzięki temu (być może za sprawą decyzji samego Stalina) Wołkowicki jako jeden z nielicznych polskich oficerów ocalał z Katynia i dotrwał do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, by współorganizować armię gen. Andersa. Generał Wołkowicki pozostał na emigracji – dożywał starości na osiedlu polskich oficerów w Walii, a następnie w domu kombatanta Antokol pod Londynem.

Kontradmiral Józef Unrug był Polakiem z wyboru? Czemu nie wypełniono jego testamentu?

Pochodził z niemieckiej rodziny (Unruh), ale już jego ojciec, chociaż pruski generał, czuł się Polakiem i chronił syna przed zniemczeniem. Zacztyując się w powieściach morskich i podróżniczych, Józef

wybrał karierę w Kriegsmarine. W czasie I wojny światowej pływał m.in. na U-Bootach i szkolił niemieckich podwodniaków. Kiedy Polska odzyskała niepodległość, zameldował się w Wojsku Polskim. We wrześniu 1939 r. stacjonował na Helu i dowodził obroną całego polskiego Wybrzeża. Po kapitulacji rozmawiał z Niemcami wyłącznie z pomocą tłumacza, mówiąc, że 1 września 1939 r. zapomniał języka niemieckiego, i wielokrotnie odmawiał niemieckim propozycjom służby dla Hitlera. W tej postawie pozostał nieugięty przez wszystkie lata niemieckiej niewoli.

W testamencie napisał, że chciałby spocząć obok podkomendnych na cmentarzu w Gdyni-Oksywiu. Zmarł w 1973 r. i został pochowany we Francji. Nie wiadomo, dlaczego jego ostatnia wola nie została wypełniona ani przez władze PRL, ani w III RP.

Jak to się stało, że dowódca lotnictwa II RP karierę militarną rozpoczął w Turcji, a część II wojny spędził na zesłaniu?

Ojciec Ludomiła Rayskiego – Artur – brał udział w powstaniu styczniowym, a po zakończeniu walk przedostał się do Turcji, gdzie walczył, pracował i przyjął tureckie obywatelstwo. Kiedy wybuchła I wojna światowa, Turcja upomniała się o swojego obywatela – Ludomiła – i dlatego właśnie „Turek” i „Efendi” (jak nazywano później w Polsce Rayskiego) lotnicze szlify zdobywał na tureckim niebie. Potem służył w Wojsku Polskim, będąc ostatecznie dowódcą naszego lotnictwa. Pomimo próśb we wrześniu 1939 r. pozostał bez przydziału bojowego, by ostatecznie organizować i pilotować do granicy transport polskiego złota.

Po przegranej wojnie obronnej 1939 r. kręgi gen. Sikorskiego szukały winnych klęski Wojska Polskiego. Takim kozłem ofiarnym stał się gen. Rayski, chociaż kilka miesięcy przed wybuchem wojny złożył dymisję z urzędu. Dlatego właśnie skazano go na obóz karny w Cerizay we Francji (gdzie ostatecznie nie trafił), a potem na obóz karny PSZ na wyspie Bute. Wstawiennictwo Brytyjczyków sprawiło, że odzyskał wolność i mógł latać w lotnictwie transportowym RAF. Dopiero po śmierci gen. Sikorskiego otrzymał przydział do polskiego lotnictwa i jako ochotnik latał ze zrzutami dla powstańców warszawskich.

Dowódcę Samodzielnej Brygady Spadochronowej obwiniali Brytyjczycy. O co i z jakim skutkiem?

Interesujące jest to, że zaraz po operacji „Market Garden” Brytyjczycy chwaliли dzielną postawę polskich żołnierzy. Dowódca alianckiej 1. Dywizji Powietrznodesantowej gen. Urquhart pisał, że jest dumny, mogąc walczyć pod Arnhem ramię w ramię z Polakami. Marszałek Montgomery również chwalił Polaków i prosił gen. Stanisława Sosabowskiego o wyznaczenie 10 polskich żołnierzy do odznaczenia za bohaterską postawę.

Dopiero później ktoś zdecydował, że trzeba znaleźć winnego przegranej przecież bitwy. Uznano, że niepokorny i szorstki Sosabowski będzie nadawał się do tej roli wyśmienienia. Zarzucano mu – i jego podkomendnym – brak zaangażowania oraz zachowawczość podczas walki. Bezpodstawnie, gdyż z szeregów polskiej jednostki w czasie bitwy ubyło 23 proc. stanu (zabici, ranni, zaginieni i w niewoli). Pomimo tego Brytyjczycy nie ustawiali w knowaniach przeciwko Sosabowskiemu, a ich oskarżenia doprowadziły w grudniu 1944 r. do odwołania ze stanowiska polskiego dowódcy 1. SBS.

Co sprawiło, że gen. Stanisław Maczek przez dwie dekady był bezpaństwowcem?

Po wojnie zaangażował się na Wyspach Brytyjskich w działalność Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Instytucja ta miała za zadanie organizację sprawnego przejścia polskich żołnierzy do cywila, zdobycia przez nich atrakcyjnego zawodu i szybkiego znalezienia pracy. W związku z tym komunistyczna władza oskarżyła generała o służbę wojskową dla obcego państwa, pozostającą ze szkodą dla interesu Polski Ludowej. 26 września 1946 r. uchwała Rady Ministrów pozbawiła gen. Stanisława Maczka (i 75 innych oficerów) polskiego obywatelstwa. Dopiero w 1971 r. rząd PRL przywrócił mu bezpodstawnie zabrane obywatelstwo.

Wyżej wymienieni klepali po wojnie biedę, pracując dorywczo...

Pozostający na emigracji polscy generałowie żyli nad wyraz skromnie, żeby nie powiedzieć biednie, chwytając się rozmaitych form zarobkowych. Musieli odłożyć na bok oficerską dumę i głęboko schować mundury z lampasami oraz wieloma orderami. Nad ich losami zapadła noc niepamięci.

Pod koniec lat 40. kad. Unrug znalazł zajęcie w Maroku – naprawiał stare kutry i pracował dla przedsiębiorstwa zajmującego się wydobywaniem oraz sprzedażą manganu. Po powrocie do Europy mieszkał z żoną w domu spokojnej starości we Francji pod Orleanem, prowadzonym przez Polski Fundusz Humanitarny. Generał Rayski przez dwa lata prowadził pralnię na peryferiach Londynu, a następnie znalazł zatrudnienie w Instytucie Topografii jako kreślarz. Generał Bortnowski był pielęgniarzem i psychoterapeutą w szpitalu psychiatrycznym w Anglii. Potem wyjechał do USA, gdzie pracował w handlu,

fabryce zabawek oraz w hotelarstwie. Generał Sosabowski początkowo utrzymywał się z wynajmu mieszkań w domu, który osobiście przysposobił do użytku. Później założył zakład tapicerski i przez długie lata był magazynierem. Pogromca Niemców spod Falaise, gen. Maczek, utrzymywał się z pracy w szkockiej fabryce, w sklepie. Poznał też fach barmana.

Stanisławowi Skalskiemu, który odrzucił lukratywne oferty pracy na Zachodzie i powrócił ku swojej udręce do ojczyzny, towarzyszy – tu i ówdzie – etykieta antysemity.

W dzieciństwie w rodzinnym Dubnie tworzył zgraną paczkę z Polakami, Żydami i Ukraińcami, w gimnazjum – razem z kolegą Żydem – wydawał szkolną gazetkę, a z nurtu rzeki uratował topiącą się parę – również Żydów, zaś jego pierwszą miłością była Żydówka – Sana Fiszmanówna.

Wiele lat później, katowany w komunistycznych kazamatach, przekonał się, jak wielu Żydów pracuje w ubeckich strukturach. Skazany na karę śmierci, potem zamienioną na dożywocie, spędził w celi osiem lat, a po wyjściu na wolność dawał świadectwo prawdzie, za co przypięto mu łatkę antysemity.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**SYMON NOWAK
„NIECHCIANI
GENERAŁOWIE”
FRONDA 2018**



Szymon Nowak – rocznik 1973. Historyk, autor książek: „Oddziały Wykłętych”, „Warszawa 1944. Alternatywna historia powstania warszawskiego”, „Dziewczyny Wykłęte”, „Bitwy Wykłętych” oraz najnowszej – „Niechciani generałowie”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Krzyż kontra półksiężyc

Sulejman Wspaniały, sułtan imperium osmańskiego, miał wizję. Marzył o rzuconiu na kolana niewiernych. O odzyskaniu Hiszpanii, a – kto wie – być może nawet o opanowaniu całej Europy. Na drodze jego ekspansji stał jednak niewielki zakon joannitów. Bitnych chrześcijańskich rycerzy, którzy mieli swoje zamki na Rodos i Malcie.

Bez zniszczenia zakonu Sulejman nie mógł myśleć o realizacji swoich wielkich planów. Czymże jednak była ta garstka rycerzy mnichów wobec potęgi jego imperium? Wydawało się, że wystarczy, aby sułtan tupnął nogą, żeby joannici rozpięchli się w przerażeniu. Gdy wielka armia turecka w 1565 r. wypłynęła w stronę Malty – nikt nie dawał zakonnikom najmniejszych szans.

Historia potoczyła się jednak inaczej. 40-tysięczne wojsko Sulejmana natrafiło na zacięty opór ze strony chrześcijańskich rycerzy. Kolejne fale najeźdźców odbijały się od murów zamków. A obrońców była zaledwie garstka. Kilkuset joannitów dowodzonych przez Jeana de la Valette i kilka tysięcy wspierających ich żołnierzy.

Znakomity historyk Bruce Ware Allen opisał tę wielką batalię

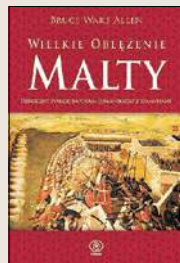
w sposób fascynujący. Huk potężnych dział burzących, bojowe okrzyki rycerzy, rżenia przerażonych koni. Akty wielkiego bohaterstwa i wielkiego tchórzostwa. A w tle wielka polityka – z jednej strony wielkie ambicje Sulejmana, z drugiej misterna gra europejskich mocarstw.

Mimo przytłaczającej przewagi Turków joannici nie złożyli broni. Po czterech miesiącach heroicznej obrony doczekali się odsieczy. A najeźdźcy zostali zmuszeni do odwrotu.

Skutki dla ówczesnego świata były kolosalne. Ekspansja Turków została zahamowana, a w chrześcijańskiej Europie tchnięty został nowy duch.

„Osmańska flota – pisze Allen – zostawiła za sobą setki zabitych i ludzkie strzępy dryfujące na płytkich przybrzeżnych wodach. W nietypowych na tę porę roku upałach ich smród szybko stał się nie do wytrzymania. Jeszcze przez długi czas ów zakątek plaży odwiedzały jedynie żywiące się padliną ptaki”.

Na kanwie tej niebywałej historii powinien powstać spektakularny hollywoodzki film. Niestety, nigdy do jego realizacji nie dojdzie. Byłby bowiem zbyt niepoprawny politycznie. ©



★★★★★

BRUCE WARE ALLEN

„WIELKIE
OBŁĘŻENIE
MALTY”

REBIS 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Chłuba II RP

Jednymi z produktów reklamowych odrodzonej Rzeczypospolitej były transatlantyckie statki pasażerskie. Mimo że początkowo na drugą półkulę pływały wiekowe, zakupione w Danii jednostki („Pułaski”, „Kościszko” i „Polonia”), zagranicznych gości przyciągały wysokiej klasy obsługa i znakomita kuchnia.

Kapitanowie naszych jednostek niemal w komplecie przeszli do legendy

W efekcie w konkurencyjnych firmach starano się odstrząsnąć chętnych do zaokręgowania się na polskich jednostkach:

„Mogą nimi podróżować ludzie, którzy nie mają nic do stracenia oprócz życia. Nawet szczury już dawno z tych statków uciekły; zostały tylko karaluchy i inne insekty, które żyją, tnąc pasażerów, i giną wraz ze statkiem, ponieważ wypęcić się ich nie da”.

Sytuacja konkurencji niebawem miała się pogorszyć, gdyż w połowie lat 30. do służby weszły wybudowane we Włoszech dwa bliźniacze transatlantyki – „Piłsudski” i „Batory”. Wniosły one nową jakość w transporcie transoceanicznym. Inna sprawa, że nie żałowano środków na ich wykończenie, a wnetrza dekorowali najwybitniejsi polscy plastycy, z Zofią Stryeńską na czele. Nie bez powodu przybycie tej drugiej jednostki do Gdyni (11 maja 1936 r.) uważa

się za początek nowej epoki w dziejach polskiej żeglugi, gdyż nowe transatlantyki przejęły obsługę połączeń z USA. Natomiast dwa kolejne – „Sobieski” i „Chrobry” – niebawem zaczęły pływać na linii południowoamerykańskiej.

Osobnym tematem byli kapitanowie naszych jednostek, którzy niemal w komplecie przeszli do legendy. Tak jak kapitan Zdenko Knötgen, Polak z wyboru, wcześniej służący we flocie austro-węgierskiej. Jego matka była Słowaczka, ojciec (prawdopodobnie) Czechem, dlatego Knötgen słabo znał język polski, a do historii przeszedł jako kapitan Białe Mszy. Chcąc bowiem kiedyś sprawdzić, w jakim stopniu upojenia alkoholowego znajduje się podległy mu oficer, zapytał się go, czy już „widzi białe mszy”. Dzielnym wilkiem morskim nieco się przejęczył...

Inną gwiazdą polskiej żeglugi transatlantyckiej był kapitan Eustazy Borkowski. Dowodził kolejno „Kościszka”, „Pułaskim”, „Piłsudskim” i „Batorym”, znakomicie kreując swoją osobę. Pasażerowie uważali go za skrzyżowanie Krzysztofa Kolumba z Jamesem Cookiem. Podziw wzbudzały też zdolności lingwistyczne kapitana (znał osiem języków!). Dowodzenie transatlantykiem zamienił w prawdziwe misterium. Nazywano go Szamanem Morskim. Miał też wręcz nieprawdopodobne szczęście i nawet groźny pożar na „Batorym”, jaki wybuchł podczas jednego z rejsów, potrafił przekuć w osobisty sukces. Jednak to już historia na inne opowiadanie... ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**WYWIAD
Z AMERYKAŃSKIM
AGENTEM,
KTÓRY DOPADŁ
ESCOBARA**

Maciej Rosalak – **Rubikon Piłsudskiego**
Spór o zamach majowy – **Moczulski kontra Giertych**
Tomasz Stańczyk – **Dwie żony Marszałka**
Sławomir Koper – **Tajemnica morderstwa Zauchy**
Piotr Zychowicz – **Amerykańska masakra w Dachau**
Daniel Brown – **Sadystka z Auschwitz**
Marcin Bartnicki – **Kto zabił Różę Luksemburg**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Francja „pomogła” Polsce**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Gdyby cała ta historia działa się pół wieku temu, Meghan Markle musiałaby wybić sobie z głowy małżeństwo z księciem z brytyjskiej rodziny królewskiej. Jest Amerykanką, aktorką, rozwódką i w dodatku pochodzi z rodziny, która, choć nie jest biedna, nie może poszczycić się ani koneksjami, ani wielkim majątkiem – to byłoby aż nadto, by zdyskwalifikować Meghan jako kandydatkę na żonę księcia. Podobne sprawy wcześniej nie kończyły się happy endem. W 1937 r. król Edward VIII poślubił wprawdzie Wallis Simpson, Amerykankę i rozwódkę, musiał jednak wcześniej zrzec się tronu. Dwadzieścia lat później księżniczka Małgorzata, siostra Elżbiety II, rozstała się z Peterem Townsendem, pułkownikiem lotnictwa, opromienionym sławą bohatera wojennego, nie uzyskawszy zgody rządu

dzieckiem, którego ojcem jest narkoman siedzący w więzieniu (Norwegia). Gdyby w pałacu Buckingham krzywo spojrzano na Meghan, opinia publiczna – choć z pewnością nie cała – mogłaby nie najlepiej to odebrać.

MAGIA I CZAR

Monarchia brytyjska nadal wyraźnie różni się od pozostałych. Magia, jaką rozciąga wokół siebie rodzina Windsorów, jest nieporównywalna z tym, jak odbierane są inne rodziny królewskie. Wszystko, co się dzieje na brytyjskim Dworze św. Jakuba, elektryzuje ludzi i media nie tylko na Wyspach Brytyjskich.

Ogromna popularność królowej, jej rodziny i monarchii jako takiej nie słabnie. Z badań wynika, że dwie trzecie Brytyjczyków akceptuje monarchię w całej

Windsorowie w nowych czasach



Teresa Stylińska

Za kilka dni książę Harry poślubi aktorkę i rozwódkę. To najwidoczniejszy znak tego, jak zmieniła się monarchia

i królowej na małżeństwo – bo Townsend także był rozwiedziony.

Czy dzisiaj rząd i dwór mogłyby się nie zgodzić na małżeństwo Harry'ego i Meghan? Odmowa mogłaby oznaczać narażenie się na zarzut seksizmu i dyskryminacji w stosunku do wybranki księcia. Nie bez znaczenia jest przykład płynący z innych europejskich dworów, gdzie przez ostatnie lata bardzo rozluźniono gorset dawnych zasad. Do rodzin królewskich przez małżeństwo weszli trener i właściciel siłowni (Szwecja), rozwiedziona prezenterka telewizyjna i zawodnik piłki ręcznej (oboje w Hiszpanii), panna z nieślubnym

rozciągnięciem. Niemalą rolę gra tu z pewnością przywiązanie do historii i tradycji, ale tajemnicę sukcesu mogą też stanowić elastyczność i umiejętność zachowania równowagi między sferą publiczną a prywatną, między tradycją i nowoczesnością. Windsorowie są bliscy poddanym, a jednocześnie zachowują dystans, jakiego należy się spodziewać po rodzinie królewskiej.

Z jednej strony są jak zwykli ludzie. Pracują (książę William do niedawna jako pilot śmigłowca ratowniczego), mają swoje kłopoty, bawią się, cieszą i smucą jak każdy. Z drugiej – poruszają się w sferach niedostępnych dla zwykłego człowieka. To





przemawia do wyobraźni, przyciąga, intryguje. Wytwarza więc aurę wyjątkowości, pewien czar, który daje o sobie znać zwłaszcza wtedy, gdy poddany ma okazję do bezpośredniego kontaktu z kimś z rodziny królewskiej. Relacje z takich spotkań to prawdziwe peany na ich cześć. Z tego punktu widzenia małżeństwo członka rodziny z tzw. commonerem, czyli człowiekiem bez arystokratycznych korzeni, też spełnia dodatkową funkcję. Jest jak klamra łącząca odległe od siebie i bardzo odmienne elementy. Pokazuje, że nawet duże różnice nie są nieprzekraczalne.

Jak w tym wszystkim odnajdzie się Meghan Markle? Fakt, że jest Amerykanką, nie ma znaczenia, poza czysto formalnym: będzie musiała przyjąć obywatelstwo brytyjskie. Chociaż nie stanowi to problemu – zostaje przecież żoną obywatela Wielkiej Brytanii – to będzie musiała jednak

trochę potrwać, bo prawo nie przewiduje żadnej szybkiej ścieżki nawet w takiej szczególnej sytuacji.

KSIAŻĘ I AKTORECZKA

Oczywiście Meghan rozstała się już ostatecznie z prawniczym serialem „Suits”, dzięki któremu zyskała popularność. Poza tym na początku marca przyjęła chrzest w obrządku anglikańskim. Nie było to konieczne, ale – jak doniosła prasa – Meghan chciała w ten sposób okazać szacunek królowej. Nie jest zresztą katoliczką, a tylko małżeństwo z katolikami było, w myśl zasad sukcesji, wykluczone. Do niedawna, bo znowelizowany przed paru laty Act of Succession zniósł ograniczenia religijne. Meghan zresztą na polu wyznaniowym ma bardzo zróżnicowane doświadczenie: jest protestantką, uczęszczała do szkoły katolickiej, a jej pierwszy mąż był Żydem.

Chociaż zaręczyny Meghan z księciem Harrym ogłoszono pod koniec listopada, już na początku kwietnia w brytyjskich księgarniach pojawiła się jej błyskawicznie napisana biografia, opatrzona tytułem „Extracted from Meghan: A Hollywood Princess” („Istota Meghan: Księżniczka z Hollywoodu”). To niby nic dziwnego, bo moment jest odpowiedni, by taką książkę rzucić na rynek, ale jest w tym też pewien smaczek. Otóż napisał ją sam Andrew Morton, autor książki „Jej prawdziwa historia” – słynnej biografii Diany. A to Diana właśnie, według przyjaciółek Meghan, od zawsze była jej najprawdziwszą idolką. Meghan ją podziwiała i bardzo chciała być taka jak ona. Dzięki Mortonowi, który pisząc biografie obu, odegrał rolę „łącznika”, pierwszy krok ku Dianie został zrobiony.

Faktem jest jednak, że zauroczenie Meghan Dianą i całą rodziną Windsorów budzi pewne podejrzenia. Nie tylko wśród jej znajomych, lecz także rodziny, są tacy, którzy utrzymują, że Meghan świadomie kierowała swym życiem tak, by móc wejść do rodziny królewskiej. To miał być jej prawdziwy cel. Meghan, jak twierdzą, jest osobą wyrachowaną i nieszczerą, a Harry szybko się o tym przekona.

Najważniejszym, choć jeszcze w praktyce niesprawdzonym aspektem unowocześniania monarchii jest zmiana zasad sukcesji. Przepisy przyjęte w 2013 r. dają kobietom prawo do dziedziczenia tronu na równi z mężczyznami. Był to czołowy postulat środowisk liberalnych, które

jak zwykle szermowały argumentem, że sukcesja w linii męskiej narusza świętą zasadę równości płci. Dla księcia Harry’ego ta zmiana znaczy niewiele, bo i tak w kolejce do tronu jest dopiero szósty, po swym ojcu Karolu, bracie Williamie i trojgu jego dzieci. Zresztą czasy, gdy w rodach królewskich staczano zawzięte boje w walce o tron, dawno minęły. Tron nie oznacza już realnej władzy, a splendor i tak płynie z samej przynależności do rodziny.

Przyszłość i funkcjonowanie monarchii nie jest zresztą tematem specjalnie poruszającym brytyjską opinię publiczną, choć są oczywiście kręgi, które bardzo by chciały wprowadzić go do debaty. Jednak zdaniem zdecydowanej większości Brytyjczyków nie ma nad czym dyskutować, bo monarchia po prostu jest i będzie. Można najwyżej rozważać jej stronę finansową czy organizacyjną, czyli kto jakie powinien mieć obowiązki i ile należy przeznaczać na utrzymanie dworu.

Brytyjczyści antymonarchiści działają w ramach grupy nacisku pod nazwą Republic. Jej siłą jest głównie udział paru prominentnych artystów, takich jak reżyserzy Mike Leigh i Ken Loach oraz aktor Colin Firth, bo sama grupa jest niewielka i nieznacząca. I chyba sami jej działacze nie zdają sobie sprawy ze śmieszności swych wywodów. Na swej stronie internetowej Republic pisze, że ma 30 tys. sympatyków, a jednocześnie dowodzi, że w Wielkiej Brytanii jest aż 10–12 mln republikanów. Nikt chyba nie traktuje tego poważnie.

Republic lubi wykorzystywać wydarzenia dworskie do manifestowania swych przekonań, dlatego 19 maja, w dniu ślubu, chce zorganizować w Londynie europejską konferencję antymonarchistów. Jednak jej czołowy postulat dotyczy referendum w sprawie utrzymania monarchii, jakie, jej zdaniem, należy przeprowadzić po śmierci królowej Elżbiety. Małe są jednak szanse, by rząd i parlament zechcieli się do tego przychylić, a jeszcze mniejsze, by republikę poparli obywatele. Nawet gdyby najbliższe wybory wygrała Partia Pracy, a premierem został jej lider Jeremy Corbyn, republikanin z przekonania. Corbyn bowiem już oznajmił, że nie będzie dążył do zniesienia monarchii.

Aż 62 proc. Brytyjczyków jest przekonanych, że nawet za sto lat monarchia nie zniknie. I pewnie się nie mylą.



Irański zakład



Jacek Przybylski

Ku uciesze Izraela oraz Saudów i wbrew namowom europejskich sojuszników Trump wycofał USA z porozumienia nuklearnego z Iranem. Ta decyzja może wywołać nową wojnę na Bliskim Wschodzie

Ku zaskoczeniu niektórych europejskich polityków prezydent Trump zdecydował się zrealizować kolejną przedwyborczą obietnicę. Po zerwaniu umowy o wolnym handlu (TPP) i wypowiedzeniu w zeszłym roku paryskiego porozumienia klimatycznego nowy gospodarz Białego Domu wycofał Amerykę z porozumienia z Iranem.

– Reżim irański finansował lata chaosu i terroru poprzez zagrabianie pieniędzy

swoich obywateli – podkreślał prezydent, ogłaszając, że USA wycofują się z zawartego jeszcze za czasów Baracka Obamy porozumienia, które zamrazało irański program nuklearny w zamian za zniesienie międzynarodowych sankcji. Według Trumpa porozumienie z 2015 r. między Iranem a sześcioma mocarstwami (USA, Francją, Wielką Brytanią, Chinami, Rosją i Niemcami) „było w rzeczywistości wielką fikcją”. – Jeśli

nic z tym nie zrobimy, to nie wiemy, co się wydarzy – przekonywał gospodarz Białego Domu.

Chociaż na te słowa w napięciu czekali politycy w większości stolic świata, to sama decyzja nie mogła być dla nikogo niespodzianką. O tym, że porozumienie z Iranem to „najgorsza umowa w historii”, Donald Trump wielokrotnie publicznie mówił, jeszcze zanim wygrał wyścig do Białego Domu. Trump zwracał uwagę, że umowa z Iranem nie gwarantuje, że Iran nigdy nie zdobędzie broni atomowej, a jedynie opóźnia moment, w którym ajatollahowie zyskają dostęp do nuklearnego guzika. Umowa została bowiem zawarta na 15 lat, a więc teoretycznie po 2030 r. Iran mógłby wznowić prace nad bombą atomową. Amerykański prezydent podkreślał też, że porozumienie nie reguluje kwestii



Donald Trump, wypowiadając porozumienie z Iranem, zrealizował kolejną obietnicę przedwyborczą

FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM

wym – premier Benjamin Netanjahu pod koniec kwietnia udawał w wygłoszonym po angielsku wystąpieniu, że z pół tony dokumentów wykradzionych przez izraelski wywiad wynika, że Iran kłamał, próbując przekonywać, iż nigdy nie dążył do uzyskania broni jądrowej – mógłby też skłonić Izrael do przeprowadzenia prewencyjnego ataku na Iran.

Donald Trump liczy jednak, że za pomocą sankcji zmusi Teheran do nowych ustępstw. Prezydent Iranu Hasan Rohani co prawda publicznie wykluczył zmiany w porozumieniu z 2015 r. w sprawie irańskiego programu nuklearnego, ale nowi, jastrzębi doradcy prezydenta USA – szef dyplomacji Mike Pompeo (do niedawna szef CIA) oraz doradca ds. bezpieczeństwa John Bolton, mają nadzieję, że odpowiednio twarda polityka zmusi Irańczyków do okazania większej pokory. – Ameryka już dawno odebrała bolesną lekcję, że należy negocjować tylko z pozycji siły. To doświadczenie, o którym zapomnieli poprzednia administracja – podkreślał w zeszłym tygodniu Bolton, tłumacząc dziennikarzom decyzję swego szefa w sprawie Iranu.

LEKCJA POKORY

Zarówno ekipa w Białym Domu, jak i najbliżsi bliskowschodni sojusznicy Ameryki – Izrael i Arabia Saudyjska – chcą czegoś więcej niż tylko zatrzymanie irańskiego programu nuklearnego. Władze w Waszyngtonie, Tel Awiwie oraz Rijadzie mają nadzieję, że zerwanie z legitymizacją teokratycznych władz w Teheranie pozbawi irański reżim przychodów ze sprzedaży ropy, które Iran wykorzystywał m.in. do finansowania wrogich Zachodowi operacji w Syrii, Iraku, Libanie czy Jemenie, wspierania grup uznawanych przez Zachód za organizacje terrorystyczne oraz finansowania irańskiego programu balistycznego.

Nowe surowe sankcje mogą uderzyć w gospodarczy krwioobieg Iranu i wzmóc uliczne protesty, a w konsekwencji – przynajmniej w teorii – zwiększyć szanse na to, że młodzi, prozachodni Irańczycy, zmęczeni rządami ajatollahów, doprowadzą wreszcie do upadku teokratycznego reżimu, który wielokrotnie publicznie deklarował chęć wymazania Izraela z mapy świata. Taka postawa jest zgodna z oczekiwaniami Arabii Saudyjskiej oraz Izraela – zaniepokojonych rosnącą pozycją Iranu w regionie. Następca saudyjskiego tronu, książę Muhammad

rozwoju programu balistycznego Iranu, którego rakiety już dziś mogą osiągnąć takich celów, jak: Tel Awiw-Jafa, Rijad czy Moskwa. A przecież rakiety te stanowią ogromne zagrożenie, nawet jeśli nie przenoszą głowic nuklearnych.

Trump zwrócił również uwagę na destabilizujące działania Teheranu na Bliskim Wschodzie, np. w Syrii oraz Jemenie, i podkreślił, że nie można pozwolić, aby Iran pieniądze na finansowanie wrogich działań zyskiwał z aktywów odmrożonych w ramach porozumienia oraz ze sprzedaży ropy, wcześniej objętej międzynarodowymi sankcjami.

JĘZYK SIŁY

Decyzja Trumpa o rezygnacji z porozumienia nuklearnego uszkodziła irańskich twardogłowych, którzy opowiadają się za ostrym podejściem do Zachodu.

Radykalni parlamentarzyści, gdy tylko dowiedzieli się o decyzji Trumpa, publicznie spalili wydrukowaną flagę USA, skandując przy okazji swój ulubiony okrzyk: „Śmierć Ameryce!”

Zrywając porozumienie, Ameryka może dać ajatollahom motywację do zerwania wszelkich rozmów ze wspólnotą międzynarodową. Marszałek Ali Lari-dżani już oznajmił w wywiadzie, że po wycofaniu się USA z porozumienia Iran nie jest zobligowany do przestrzegania wcześniejszych zobowiązań.

Szybkie wznowienie przez Iran prac nad bronią atomową wywołałoby zaś wyścig zbrojeń na masową skalę: jeśli Iran dysponowałby arsenałem jądrowym, to pobudziłby apetyt na broń nuklearną władz Arabii Saudyjskiej, Egiptu czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Powrót do prac nad arsenałem jądrowym



■ ibn Salman, jeden z najpotężniejszych ludzi na Bliskim Wschodzie, wielokrotnie nazywał duchowego przywódcę Iranu, ajatollaha Alego Chameneiego, nowym Hitlerem. – Wiele państw na świecie czy w Europie nie zdawało sobie sprawy, jak niebezpieczny był Hitler, dopóki nie wydarzyło się to, co się wydarzyło. Nie chcę, by to samo stało się na Bliskim Wschodzie – przekonywał niedawno na antenie CBS News.

Swego niezadowolenia z zawartego z Iranem porozumienia od początku nie ukrywały też władze w Izraelu. Mogło się to wydawać dziwne, bo porozumienie dawało Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (IAEA) możliwość dokonywania inspekcji irańskich instalacji, co powinno opóźnić rozwój irańskiego programu nuklearnego. Izraelskie władze twierdzą jednak, że Iran nadal pracuje nad bombą atomową, tyle tylko że robi to w tajnych ośrodkach, do których inspektorzy nie mają jak dotrzeć. Niewykluczone jednak, że premier Benjamin Netanjahu popełnił błąd, namawiając USA do wycofania się z porozumienia, które nawet jeśli nie blokowało całkowicie, to przynajmniej znacząco spowalniało irańskie prace nad bombą atomową. Nie można mieć też żadnych wątpliwości, że najnowszy ruch Trumpa sprawił, że w pobliżu beczki prochu, jakim jest Bliski Wschód, zrobiło się jeszcze bardziej gorąco.

Zaledwie dzień po wypowiedzeniu przez prezydenta Trumpa porozumienia atomowego z Teheranem Iran i Izrael rozpoczęły wzajemny ostrzał. Najpierw w pobliżu pozycji izraelskiej armii na okupowane przez Izrael Wzgórza Golan spadło 20 rakiet wystrzelonych z syryjskiego terytorium. Jeśli potwierdzą się doniesienia, że rakiety odpalili bezpośrednio Irańczycy, to byłby to pierwszy bezpośredni atak irańskich wojsk na pozycje Izraela – do tej pory Teheran wolał dla bezpieczeństwa atakować przy pomocy grup terrorystycznych, takich

jak choćby libański Hezbollah. Tak czy owak dzięki zaawansowanemu systemowi obrony antyrakietowej rakiety nie wyrządziły większych szkód.

Dużo skuteczniejsza była odpowiedź izraelskiej artylerii, która na cel wzięła pozycje elitarnych irańskich Strażników Rewolucji. Był to kolejny atak Izraela na irańskie instalacje w Syrii – wcześniej izraelskie rakiety zniszczyły m.in. magazyn broni Irańczyków. Zeszlutygodniowy kontratak był jednak największą ofensywą izraelskiej armii na cele w Syrii od 1973 r., czyli od wojny Jom Kippur. Podczas operacji, w której poza wyrzutniami rakiet wzięło udział również ok. 30 izraelskich myśliwców F-15 i F-16, został zniszczony m.in. magazyn broni na lotnisku w Damaszku, irańskie obiekty wojskowe i wywiadowcze na południe, na północ i na wschód od syryjskiej stolicy. Izrael spodziewa się, że Iran może zaatakować – w kraju otwarte zostały schrony dla cywilów, powołano też pod broń rezerwistów.

Na razie Trump i jego jastrzębia ekipa wierzą, że Iran nie odważy się zaatakować ani wrócić do prac nad bronią jądrową, bo ajatollahowie wiedzą, że nie mają szans w militarnej konfrontacji z Izraelem i Stanami Zjednoczonymi. USA mogą tu przywołać przykład Korei Północnej, której dyktator przynajmniej chwilowo musiał przestać grozić światu nuklearnym armagedonem, gdy zorientował się, że nowy amerykański prezydent rzeczywiście jest zdolny zmieść jego reżim z powierzchni ziemi.

To ważna zmiana. Barack Obama naивно wierzył bowiem, że porozumienie zbliży Iran do Zachodu, a wspólne projekty finansowe skłonią władze w Teheranie do współpracy z USA. Szybko okazało się jednak, że korzystając z odwilży na linii z Zachodem, ajatollahowie coraz mocniej wspierają rządy wrogiego USA syryjskiego dyktatora Baszara al-Asada, umacniają swoje wpływy w Iraku i prze-

prowadzają coraz więcej cyberataków na Zachód i jego sojuszników.

CIOŚ DLA PARYŻA, LONDYNU I BERLINA

Realpolitik prezydenta Trumpa zdecydowanie zwiększa ryzyko wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie.

Właśnie przed tym ryzykiem ostrzegali Trumpa europejscy sojusznicy, przerażeni faktem, że obecne władze w Waszyngtonie mogą nie mieć żadnego planu B na wypadek fiaska ich strategii. Zarówno prezydent Francji Emmanuel Macron, jak i kanclerz Niemiec Angela Merkel oraz szefowa rządu w Londynie Theresa May robili więc, co mogli, aby przekonać amerykańskiego przywódcę, aby USA nie były tym krajem, który jako pierwszy zerwie porozumienie z Iranem.

Strategiczną zmianą jest też nowe podejście Ameryki do sojuszy. Donald Trump wydaje się gotowy do rozmów tak długo, jak długo sojusznicy zgadzają się z jego pomysłami. Nowy przywódca USA zignorował bowiem apele nie tylko w sprawie porozumienia z Iranem. Od początku swoich rządów Trump wycofał już Amerykę z paryskiego porozumienia klimatycznego, ogłosił wprowadzenie protekcyjnych cel na stal i aluminium importowanych z Unii Europejskiej (a także z Kanady i Meksyku). Po wygranej zwolenników wyjścia Wielkiej Brytanii z UE Trump stwierdził zaś, że wierzy, iż inne kraje również opuszczą Unię Europejską. Takie zachowania nowego gospodarza Białego Domu sprawiają, że według sondażu Pew Research Center Amerykę lubi już tylko 46 proc. Francuzów i 35 proc. Niemców. Z badania przeprowadzonego przez instytut Forsa wynika, iż większość Niemców uważa, że Donald Trump stanowi większe zagrożenie dla pokoju na świecie niż prezydent Władimir Putin.

Zmiana podejścia Ameryki do sojuszników i konieczności dotrzymywania zobowiązań niepokoi zwłaszcza w tych krajach, w których bezpieczeństwo zewnętrzne oparto głównie na gwarancjach Waszyngtonu. I chociaż na pogorszeniu się relacji między Waszyngtonem a Londynem, Paryżem i Berlinem mogłaby zyskać Warszawa, to trzeba również pamiętać, iż Trump nie zostawia żadnych złudzeń: Ameryka może nadal chronić, ale musi mieć z tego realne korzyści.



Twoje własne mieszkanie za 1.200 pln miesięcznie!

NOWY PROGRAM MIESZKANIOWY GRUPY INWEST



Szukasz mieszkania dla siebie, a może chcesz je kupić inwestycyjnie?

*U nas już za **1.200 pln** brutto miesięcznie kupisz dwupokojowe mieszkanie o pow. **50 m²***

*Potrzebujesz tylko **połowy** kredytowego wkładu własnego - resztę **zapłacimy** za Ciebie!*

www.grupainwest.pl

* Powyższe ogłoszenie ma charakter informacyjny i nie stanowi oferty handlowej w rozumieniu art. 66 §1 Kodeksu Cywilnego.

* Warunkiem skorzystania z oferty jest zapoznanie się regulaminem i warunkami Programu Mieszkaniowego Grupy Inwest dostępnego na stronie www.grupainwest.pl



Z **Danielem Lötterem**, rzecznikiem prawicowego Frontu Narodowego w RPA rozmawia **Tomasz Cukiernik**

W RPA nadchodzi komunizm

TOMASZ CUKIERNIK: Dlaczego parlament RPA przegłosował ustawę wywłaszczającą białych farmerów z ziemi bez odszkodowań? Czy to jest legalne?

DANIEL LÖTTER: Decyzja rządu ANC [Afrykański Kongres Narodowy – partia nacjonalistyczno-lewicowa – przyp. red.] przystaje do inspirowanej przez komunistów Karty Wolności. W rzeczywistości to jedynie jeszcze jeden krok w kierunku uformowania państwa marksistowsko-leninowskiego. Ważne jest, aby zrozumieć, że wywłaszczona ziemia nie trafi do czarnych obywateli, jak się powszechnie twierdzi, lecz stanie się własnością państwa. Jeszcze jeden element, o którym należy pamiętać, to fakt, że rząd ANC traci poparcie (choć ciągle rządzi z poparciem na poziomie 67 proc.). Poprzez obiecywanie masom ziemi ma on również nadzieję, że odzyska część głosów wyborców, które stracił

w ciągu ostatnich ośmiu lat. Niedawno przeprowadzone badanie ANC pokazuje, że zaledwie 22 proc. ziemi rolnej nadal należy do białych farmerów, co nie jest nieproporcjonalne do demografii kraju. Zgodnie z obowiązującą konstytucją wywłaszczenie jest całkowicie nielegalne. Jednak większością dwóch trzecich głosów konstytucja może zostać zmieniona, aby to zalegalizować – i właśnie to proponuje zrobić rząd. Z poparciem EFF [Ruch Bojowników o Wolność Gospodarczą – faszystowsko-rasistowska partia komunistyczna – przyp. red.] i PAC [Kongres Panafrkański – partia socjalistyczno-rasistowska, która była odpowiedzialna za masakrę ludzi w kościele św. Jakuba kilka lat temu – przyp. red.] rządzący będą mieli więcej niż potrzebne dwie trzecie większości. Należy również pamiętać, że ustawa wywłaszczeniowa dotyczy nie tylko farm, lecz także „wła-

sności” – innymi słowy: nieruchomości, firm, inwestycji, a nawet tradycyjnych ziem plemiennych, takich jak dawne Królestwo Zulusów, które jest trzymane w ramach Ingonyama Trust pod rządami króla Goodwilla Zwelithiniego. Całkiem jasne, że to komunistyczny plan w pełnej skali.

Jakie stanowisko zajął w tej sprawie prezydent Matamela Cyril Ramaphosa?

Cyril Ramaphosa jest członkiem plemienia Venda, jednego z najmniejszych plemion tubylczych. Jego olbrzymim wyzwaniem jest, by utrzymać w ramach ANC plemię Xhosa (tradycyjne jądro ANC, którego członkiem był Nelson Mandela) oraz plemię Zulusów (którego członkiem był eksprezydent Jacob Zuma). Najprostszym sposobem na to są dzikie obietnice. Dlatego też skorzystał z możliwości obiecania ziemi, żeby tylko



oskarżał Żydów, i obiecuje swoim zwolennikom utopię, w której biali ludzie nie są już częścią społeczeństwa. Malema nie powinien być bagatelizowany. Nie jest głupi, on jest bardzo, bardzo niebezpieczny.

Czy rząd ANC nie obawia się, że skutek wyłączenia będzie taki sam jak w Zimbabwe podczas rządów Roberta Mugabe (ludobójstwo białych, upadek gospodarczy, głód)?

Jako przedsiębiorca Cyril Ramaphosa się tego obawia. Jednak historia postkolonialnej Afryki pokazuje nam, że afrykańscy liderzy nie biorą zbyt wiele pod uwagę tego, co o ich polityce sądzi społeczność międzynarodowa, ani konsekwencji swoich działań dopóty, dopóki sami dobrze się mają. Ramaphosa złożył obietnicę i musi się jej trzymać, jeśli chce nadal mieć swoją głowę na własnym karku.

Po wprowadzeniu nowego prawa doszło do ataków Murzynów na białych farmerów. Jak duży jest to problem?

To wielki problem w naszym kraju. Tylko w ciągu 100 pierwszych dni tego roku doszło do 108 ataków. Według wszystkich szacunków rok 2018 będzie najbardziej krwawym do tej pory.

Co w tej sytuacji robi policja?

Jedenaście lat temu minister policji powiedział, że ataki na farmy nie są „oddzielnym” rodzajem przestępstw, lecz zwykłym morderstwem, napaścią lub włamaniem, do czego incydentalnie dochodzi na farmach. Dlatego nie jest to ewidencjonowane jako wyjątkowa zbrodnia, a jest badane jako jedno z przestępstw. Niepotwierdzone raporty mówią o tym, że policjanci są również w to zamieszani, ale nie ma konkretnych dowodów, które ujrzałyby światło dzienne. Fakt jest jednak taki, że były sprawy, w których napastnicy atakujący farmy byli wyposażeni w zaawansowany technologicznie sprzęt do zakłócania połączeń komórkowych i sygnału internetowego (aby ofiary nie mogły zadzwonić po pomoc), co wskazuje, że mieli dostęp do wyposażenia używanego zwykle przez siły policyjne lub wojskowe.

W jaki sposób biali farmerzy są dyskryminowani w RPA?

Obecnie w RPA obowiązuje 119 przepisów opierających się na przesłankach rasowych, których celem jest

ludzie wspierali ANC. Ramaphosa jest zajęty obroną własnej pozycji.

Czy czarna większość popiera nowe prawo?

Bez wątpienia. Katastrofalny rząd Zuma, z całą korupcją i zawłaszczaniem państwa, przez ostatnie dziewięć lat przyniósł upadek gospodarczy i ogromny poziom bezrobocia. W rzeczywistości czarna populacja jest teraz biedniejsza niż przed 1994 r. Obiecywanie jej ziemi należącej do białych Południowoafrykańczyków daje łatwe rozwiązanie, jednocześnie kreując kozła ofiarnego ich niedoli, obwinianą białą mniejszość. Nigdy nie było tradycją afrykańską ani zwyczajem kwestionowanie osoby lidera. Niedawno jeden czarnoskóry powiedział mi, że uważa, iż całkowicie nieakceptowane byłoby postawienie Zuma przed sądem z oskarżeniami o korupcję i malwersacje, ponieważ nawet jeśli jest

on prawdopodobnie winny, to ciągle jest liderem i nie powinien być upokarzany.

Julius Malema, lider EFF, publicznie nawołuje do mordowania białych. Czy on jest wariatem?

Nie. Jednak jest bezwzględny. Malema jest człowiekiem ambitnym politycznie. Chce być u władzy. Nadzwyczajne jest to, że prezydent, podczas swojego przemówienia o stanie narodu, wbrew wszelkiemu protokołowi, wskazał Malemę dwa razy z nazwiska, co jest bardzo rzadkie. A potem Malema otrzymał aplauz dłuższy niż sam prezydent. Nie ma wątpliwości, że ma wpływ na politykę rządu ANC w czasach po Zumie. Staje się bardzo potężny, ponieważ mówi i robi to, co chce jego publiczność. Malema wie bardzo dobrze, co robi. Europejczycy nie powinni w szczególności przeoczyć podobieństw pomiędzy Malemą a Hitlerem – oskarża białych o wszystko, co złe, tak jak Hitler

KOT BLOMBERG/GETTY IMAGES

■ uprzywilejowanie czarnej większości. Biali farmerzy nie kwalifikują się do otrzymania dotacji rolnych od państwa, a np. czarni farmerzy są subsydiowani w postaci otrzymywania bydła, ziarna, wyposażenia rolnego itp. Nazywane to jest „akcją afirmatywną za apartheid”, ale większość młodych południowoafrykańskich rolników urodziła się po erze apartheidu.

Jak radzą sobie w tej sytuacji biali farmerzy?

Opuszczenie swojej farmy i swojego kraju to dla południowoafrykańskich farmerów bardzo trudna sprawa. Większość gospodarstw rolnych należała do rodzin od pokoleń, przechodząc z ojca na syna. Na większości tych farm stosunki pomiędzy farmerem a jego pracownikami zawsze były doskonałe. Często ta sama rodzina pracowników była zatrudniana przez tych samych farmerów od pokoleń. Te relacje zostały teraz zniszczone przez politykę Zuma, Ramaphosy i Malemy. Jeśli się weźmie pod uwagę ataki na farmy i bezpieczeństwo rodzin farmerów, ostatecznie prowadzi to do tego, że rolnicy zaczynają zastanawiać się nad opuszczeniem kraju. Olbrzymi odzew na ogłoszenie australijskiego ministra spraw wewnętrznych Petera Duttona, że Australia zastanawia się nad szybką ścieżką aplikacji o wizy dla białych południowoafrykańskich farmerów, wskazuje, iż wielu myśli o relokacji do Australii, jeśli to byłoby możliwe.

Podobno południowoafrykański pisarz Dan Roodt powiedział, że Polska i Czechy powinny zaprosić prześladowanych afrykanerów jako odwzajemnienie za przyjęcie ponad tysiąca Polaków i Czechów, którzy uciekli do RPA przed komunizmem...

W obecnej sytuacji w naszym kraju nasza społeczność rolnicza potrzebuje jakiegokolwiek pomocy, którą mogłaby otrzymać. Pozwolenie im na relokację jako uchodźców byłoby dobre, ale podejście Frontu Narodowego jest takie, że potrzebujemy uznania ze strony społeczności międzynarodowej naszych praw do żądania samostanowienia jako mniejszości w naszym kraju. Mamy wystarczająco dużo ziemi dla naszych farmerów, aby mogli żyć dostatnio, ale nie pod rządami reżimu, który powoduje, że nie tylko jest to trudne, lecz także pozwala na działania zagrażające życiu. Jeśli polski rząd chce otwarcie uznać to prawo, to możemy to wykorzystać.

Co biali Południowoafrykańczycy sądzą o Polaku Januszu Walusiu, zabójcy murzyńskiego lidera komunistów Chrisa Haniego w 1993 r.?

Kiedy ktoś w RPA otrzyma wyrok dożywotniego więzienia, zwykle zostaje warunkowo zwolniony po 15 latach. Janusz odsiaduje już ćwierć wieku i nadal odmawia mu się warunkowego zwolnienia. Front Narodowy podpisał już pewną liczbę memorandumów do ministra sprawiedliwości Michaela Masuthy, aby Walus został zwolniony z przyczyn

Ataki na farmy prowadzą do tego, że rolnicy zaczynają zastanawiać się nad opuszczeniem kraju

humanitarnych. Członkowie ANC, którzy popełniali zbrodnie polityczne, tacy jak Aboobaker Ismail, który podłożył bombę, zabijając 19 cywilów w 1983 r., zostali zwolnieni lata temu. Traktowanie Janusza jest kolejnym przykładem na podwójne standardy prawne w kraju. Co więcej, Masutha oznajmił, że jeśli Janusz ostatecznie zostanie zwolniony, to zostanie deportowany do Polski. Janusz był naturalizowanym obywatelem RPA, kiedy zabił Chrisa Haniego – on jest tak samo afrykanerem jak każdy urodzony tutaj. Jeśli pojechałby do Polski po zwolnieniu, to powinien być jego wybór, nie rządu ANC. Opinie na temat Janusza różnią się, ale ma on wiele wsparcia, ponieważ większość afrykanerów wierzy, że ochronił nas przed staniem się komunistyczną dyktaturą po śmierci Mandeli. Wygląda na to, że teraz staje się to znowu realnym zagrożeniem.

Jaka przyszłość czeka RPA?

Przy obecnej liczbie polityków popadających w skrajności, zarówno lewicowych, jak i prawicowych, nie można wykluczyć możliwości konfliktu. Ustawa wywłaszczeniowa również niesie realną możliwość konfliktu plemiennego, kiedy dojdzie do wywłaszczania terenów plemiennych. Jedyną drogą, w której widzimy możliwość pokojowego współistnienia, jest uznanie podstawowych praw wszystkich grup w tym kraju do samostanowienia. Różnice po prostu są nie do pogodzenia. Afrykanerzy są

głównie chrześcijanami, narodem Zachodu z europejską kulturą. Nie możemy zaakceptować rządu z kulturą, która prosi zmarłych przodków o polityczne wskazówki, która uznaje korupcję za zachodnią zbrodnię, która akceptuje lekarzy przygotowujących leki z części ludzkiego ciała jako coś normalnego i która wierzy, że indywidualne prawa człowieka powinny być podporządkowane korzyściom lidera. Poza tym wierzymy w nierasistowską równość wszystkich ludzi. Obecny rząd – nie. Niedawno biała kobieta Vicky Momberg została skazana na trzy lata więzienia za nazwanie czarnego policjanta słowem „kaffir” (czarnuch). W tym samym czasie czarny oficer wojska MV Molala napisał w mediach społecznościowych, że oczy starszego białego człowieka powinny zostać wydłubane, a jego język wycięty z ust za wspieranie apartheidu. Nigdy nie został nawet oskarżony o mowę nienawiści czy rasizm. Dopóki nie uznamy, że pomysł jedności wielokulturowego państwa zakończył się fiaskiem i że musimy rozpoznać nasze różnice i szanować je, dopóty widzę pęsną przyszłość dla RPA i za nie dłużej niż dekadę afrykanerzy jako naród przestaną istnieć.

Czy jest szansa na utworzenie w zachodniej części RPA państwa dla afrykanerów?

Tak, możliwe jest założenie samodzielnego państwa. Gdzie miałoby ono powstać – to jeszcze do ustalenia. Prowincja Przylądkowa Zachodnia jest możliwym miejscem, ale są jeszcze inne regiony, które również mogłyby zostać wzięte pod uwagę, takie jak KwaZulu-Natal. Była także dawna Republika Ohrigstad we wschodnim Transwalu, dawna Republika Stellalandu w północno-zachodnim Transwalu, graniczącym z Botswaną, jak i region południowego przylądka w okolicach zatoki Mossel i George, gdzie demograficznie koncentrują się afrykanerzy. Gdy tylko samostanowienie zostanie uznane, będziemy przyglądać się obszarowi geograficznemu, do którego mamy solidne roszczenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Daniel Lötter

– rzecznik prawicowego Frontu Narodowego w RPA.



IZRAELSKIE MUZEUM CHOWA DINOZAURY

Izraelskie Natural Museum History ma specjalne różowe płachty, którymi od czasu do czasu zasłania część wystawy poświęconej ewolucji – gdy zapragną ją zwiedzać grupy ortodoksyjnych Żydów. Zakrywane zostają m.in. fragmenty i skamieliny dinozaurów. Ortodoksi wierzą bowiem, że świat został stworzony co najwyżej 6 tys. lat temu, więc nie uznają istnienia tych stworzeń. Trzeba chować też część wystawy dotyczącej ewolucji człowieka – również dlatego, że nie ucząją dzieci o narządach służących do reprodukcji.

FOT. FOTOLIA

80 RANNYCH NA POZĄTEK TURNIEJU

W ubiegłym tygodniu we Włoszech odbywały się mistrzostwa świata w rycerskich walkach. Na turniej do Santa Severa zjechało ok. 700 przedstawicieli z 33 krajów, by brać udział w takich konkurencjach jak okładanie się bronią masowo i w pojedynkach jeden na jednego. Już po pierwszym dniu rycerskich konkurencji miejscowa służba zdrowia miała pełne ręce roboty – według doniesień mediów do izby przyjęć przewieziono aż 80 osób.

113 FAŁSZYWYCH POLICJANTÓW

Meksyk jest krajem zadziwiającym. Prokuratorzy i żołnierze zrobili nalot na lokalny posterunek policji w centralnej części kraju i odkryli zdumiewającą rzecz – aż 113 na 185 zatrudnionych tam funkcjonariuszy okazało się ludźmi, którzy nigdy policjantami nie byli. Przedstawiciele Departamentu Publicznego w stanie Puebla zapowiedzieli, że 113 osób usłyszy zarzuty podszywania się pod funkcjonariuszy. Prawdopodobnie

wielu z nich zapłaciło łapówki, by otrzymać posadę.

ZNIKAJĄCA NOWA ZELANDIA

Nowozelandczycy uruchomili akcję przypominającą, że ich kraj w ogóle istnieje. Okazało się bowiem, że na wielu nowo wydawanych mapach Nowa Zelandia nie jest zaznaczana. W sprawę zaangażowała się rządowa agencja New Zealand Tourism i nawet premier kraju zaapelowała o pomoc.

FILMIKI O SEKSIE

Szwedzkie Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Seksualnej chce uczyć animacjami uchodźców o tym, że można uprawiać seks bezpiecznie i dla przyjemności. Do tej pory nakręcono 11 filmików, część z nich już opublikowano w serwisie YouTube. Jest tylko jeden problem – mimo tłumaczeń na 14 języków niewiele osób te spoty ogląda. Jednak to nie przeszkadzało szwedzkiemu ministerstwu spraw społecznych przyznać kolejnego dofinansowania na filmową seksualną edukację. Stowarzyszenie dostanie w przeliczeniu ok. 1,5 mln zł. © ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Brasiorstwo

Zawodowym tropicielem głupoty, czyli felietonistom, redakcje powinny obniżyć stawki. Jeszcze niedawno temu, żeby wytropić jakiś atrakcyjny, wykwinny idiotyzm, trzeba było się napracować. Dzisiaj można spokojnie zasiąść w fotelu, kręcić młynka palcami, pokrzepić się zacnym trunkiem, a po chwili monstrialne postępowe kretyństwa zgłoszą się same. Wystarczy wziąć do ręki gazetę, włączyć TV albo zadzwonić do kogoś mądrego.

Zadzwoniłem do Paryża i dowiedziałem się, że Francuska Rada Równouprawnienia Kobiet i Mężczyzn (HCE) walczy o zmianę ostat-

nego członu w hasło rewolucji francuskiej „Liberté, Égalité, Fraternité” („Wolność, Równość, Braterstwo”). Poszło o to, że braterstwo dotyczy braci, a więc mężczyzn, postępując siostry, czyli panie. Uradzono więc, że trzeba „fraternité” zastąpić wymyślonym specjalnie na tę okazję „adelphité”, które łączy braterstwo z siostrzeństwem. Po naszymu „brasiorstwo”.

Jeszcze chwila, a postępowcy zaczną majstrować przy „Odzie do radości”, która przecież ocieka odrażającym męskim szowinizmem („Wszyscy ludzie będą braćmi”, „Aby kochał brata brat” etc.). A swoją drogą bardzo ciekaw stanowi-

ska mniejszości seksualnych w tej sprawie. Kretyństwo francuskiej Rady rymuje się świetnie z wciąganiem na indeks ksiąg zakazanych albo „poprawianiem” utworów napisanych dawno temu („Chata wuja Toma”, „Murzynek Bambo” etc.), bo nie odpowiadają „duchowi naszych czasów”.

Mimo to mój prywatny order za idiotyzm tygodnia przyznaję nie francuskiej Radzie, lecz pewnemu Hindusowi z Nabarangpur, który postanowił zrobić sobie selfie z dzikim niedźwiedziem i miś go pożarł. Konkurs rozstrzygnęła fotokomórka. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Witajcie w Europie epidemii



FOT. FOTOLIA



Łukasz Zboralski

Czesi zmagają się z epidemią odrę. A to dopiero początek powrotu dawno zapomnianych chorób, bo coraz więcej osób nie szczepi dzieci i jedyna odporność, którą mają, to ta na wiedzę naukową

W ubiegłym tygodniu znów głośno zrobiło się o wirusie, na który dziś nie ma jeszcze skutecznej szczepionki ani skutecznego leczenia. W Kongu wrócił bowiem wirus ebola. Jednak to, czego bardziej powinniśmy się obawiać, rozprzestrzenienia się w Europie – to odra, która po latach nieobecności nagle wróciła. W ubiegłym roku liczba chorych na tę zakaźną chorobę wzrosła trzykrotnie w porównaniu z rokiem 2016. Najpoważniejsze problemy z zakażeniami do tej pory miały Ukraina, Rumunia i Włochy. Teraz z epidemią zmagają się Czesi.

Do uznania epidemii wywołanej wirusem ebola wystarczyło siedem przy-

padków, tymczasem w Czechach na odrę zachorowało już ponad 100 osób. Czeski resort zdrowia przyznał, że ta skala pozwala już mówić o epidemii na poziomie kraju, w którym po prowadzonym od końca lat 60. ubiegłego wieku programie szczepień ta choroba nie istniała. W przypadku tej zakaźnej choroby, przenoszonej drogą kropelkową, jedna osoba może зараzić kilkanaście następnych.

WOJSKO NA POMOC

Sytuacja stała się więc na tyle poważna, że w jednym z praskich szpitali kilkadziesiąt osób – w tym służby medyczne – przechodziło kwarantannę i dla ochrony pacjentów rząd poprosił o pomoc wojskowych lekarzy. Przeszkolono ich w sprawie tej choroby i przygotowano nawet do ewentualnego tworzenia szpitali polowych. W ubiegłym tygodniu można już było otworzyć zamknięty oddział ratunkowy jednego z praskich szpitali i medycy nie potrzebowali już pomocy wojska. Trwa wciąż rządowa akcja szczepień przeciw odrze dla personelu medycznego. Do tej pory zaszczepiono blisko ćwierć tysiąca osób, a szczepionkę dostanie jeszcze ok. 500. To ważne, na zachorowanie na odrę najbardziej są bowiem narażone małe dzieci, ludzie nieszczepieni oraz dorośli, u których

szczepienie po latach przestało już spełniać swoją funkcję (odporność organizmu spada po 30–40 latach od szczepienia).

Dlaczego czeski rząd zareagował tak stanowczo? Odra bowiem szerzy się dziś w Europie m.in. przez dużą migrację ludzi, którzy nie byli szczepieni. A państwowe programy szczepień nie są w stanie zapobiec wszystkim zachorowaniom (zawsze pozostaje jakaś część osób, które np. nie zostaną zaszczepione ze względu na rozmaite niedobory), chodzi w nich jednak o coś innego – a mianowicie o to, by w przypadku pojawienia się choroby nie rozprzestrzeniała się ona wśród mieszkańców. Przyjmuje się, że tama dla odrę to zaszczepienie ok. 95 proc. populacji. Tymczasem w Czechach według szacunków odsetek ludzi zaszczepionych spadł już do ok. 90 proc.

Odra to choroba, która tak jak ospa wietrzna zakończyć może się powikłaniami. Do najczęstszych z nich należą zapalenie płuc, zapalenie ucha środkowego, utrata wzroku. Może się także skończyć zapaleniem wątroby czy mięśnia sercowego. A czasem zachorowanie kończy się zgonem (0,1–1 na 1000 zachorowań). Od początku 2016 r. w Europie na odrę zmarło już 49 osób. Mało? Warto przypomnieć, że w Polsce przed wprowadzeniem obowiąz-

kowych szczepień na odrę co dwa–trzy lata pojawiały się epidemie i chorowało 130–200 tys. osób. Podczas epidemii umierało 200–300 dzieci, a tysiące z powikłaniami musiano hospitalizować.

ANTYSZCZEPIONKOWE ŻNIWO

Nie ma wątpliwości, że do masowego wzrostu zachorowań w Europie przyczyniają się osoby niezaszczone. Kto dokładnie? Wiadomo, że w Polsce to migranci, głównie z Ukrainy, gdzie na odrę choruje ponad 12 tys. osób rocznie. W latach 2015–2016 odnotowano w naszym kraju odpowiednio 110 i 133 zachorowania na odrę, głównie wśród osób ubiegających się o status uchodźcy. W 2017 r. w Polsce zachorowały 63 osoby. W styczniu tego roku w Ostródzie zdiagnozowano cztery przypadki odry, wszystkie u obywateli Ukrainy, którzy byli pracownikami działu produkcyjnego firmy Animex Morliny. Powiatowy inspektor sanitarny zdecydował o zaszczepieniu pozostałych pracowników – do podania szczepionki zakwalifikowano 700.

Problemem są też mniejszości romskie, które nie szczepią dzieci. Ogniska epidemiczne odry pojawiały się w społecznościach romskich w 2009 r. w Puławach, w 2012 r. we Wrocławiu, w 2014 r. w Poznaniu. W tym ostatnim mieście pod koniec ubiegłego roku znów notowano wśród Romów przypadki odry.

Cegielkę do narażania nas na epidemie dokładają dodatkowo ci, którzy dali się zwieść rosnącym w siłę ruchom antyszczepionkowym podważającym naukowe dowody i wiedzę medyczną. Wśród wszystkich przypadków zachorowań zgłoszonych w Europie w 2017 r. wśród osób, u których można było potwierdzić, czy zostały zaszczepione, czy nie, aż 87 proc. chorych nie przeszło szczepienia.

Inne dane wskazują, kogo narażają ci, którzy m.in. w strachu przed wydumany autyzmem (nie stwierdzono związku szczepionek z tą chorobą) nie szczepią dzieci. 45 proc. osób, które zachorowały na odrę w Europie, było starszych niż 15 lat (i często niezaszczone), ale większość zachorowań odnotowano u niemowląt poniżej pierwszego roku życia, które nie mogą być jeszcze zaszczepione – a to one są najbardziej narażone na ciężkie powikłania i zgony.

I kiedy już się wydawało, że dzięki programom szczepień udało się odrę wyeliminować z Europy, ta zaczęła wracać. Rozpoczęło się od 2010 r. i głównie

od Francji. Liczba chorych w Europie skoczyła do 6,5 tys., a w 2011 r. było to już blisko 29 tys. przypadków. I nic nie wskazuje na to, że ten trend wyhamuje. W ubiegłym roku liczba chorujących na odrę w Europie wzrosła bowiem trzykrotnie w stosunku do roku 2016. Najwięcej zachorowań odnotowano w Rumunii (5560), we Włoszech (5004), w Grecji (967) i Niemczech (929).

W Polsce też nie możemy czuć się bezpieczni. Według wstępnych szacunków Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny w ubiegłym roku odsetek zaszczepionych przeciwko odrze spadł u nas poniżej bezpiecznego progu 95 proc. populacji. Odsetek zaszczepionych jedną dawką szczepionki MRR (odra, świnka, różyczka) to dziś 94 proc., a dwiema dawkami – 93 proc. A grono antyszczepionkowców powiększa się z roku na rok i szacuje się, że liczba osób uchylających się od szczepień sięgnęła już w ubiegłym roku 30 tys.

Część europejskich krajów zaczęła już reagować. Włosi zwalczyli antyszczepionkowców ustawowo – od marca do przedszkoli i szkół publicznych nie są przyjmowane niezaszczone dzieci. W Polsce władze publicznie zapowiedziały, że takiego rozwiązania nie podejmą. Mało tego – gdy na własną rękę próbował zrobić to samorząd Częstochowy, wojewoda zablokował taką uchwałę. Polscy politycy wolą mówić, że problem istnieje, ale obawiają się zadziałać.

Włosi takich zahamowań w walce o zdrowie obywateli nie mają i nie tylko wprowadzili ustawę w sprawie

przyjęć do placówek opiekuńczych, lecz także niedawno Włoska Izba Lekarska uruchomiła kampanię zwalczającą fake newsy o medycynie. Używa się w niej m.in. nagrobków z napisami. Jeden z nich głosi: „Nie zaszczepili mnie z obawy, że zachoruję na autyzm”.

Eksperci od epidemiologii zastanawiają się także – również w Polsce – nad rewizją dwudawkowego systemu szczepienia. Pojawiają się propozycje, by wcześniej szczepić niemowlęta, m.in. już w dziewiątym miesiącu życia, oraz by drugą dawkę szczepionki podawać wcześniej, w szóstym roku życia, by do szkół szły już dzieci dobrze uodpornione.

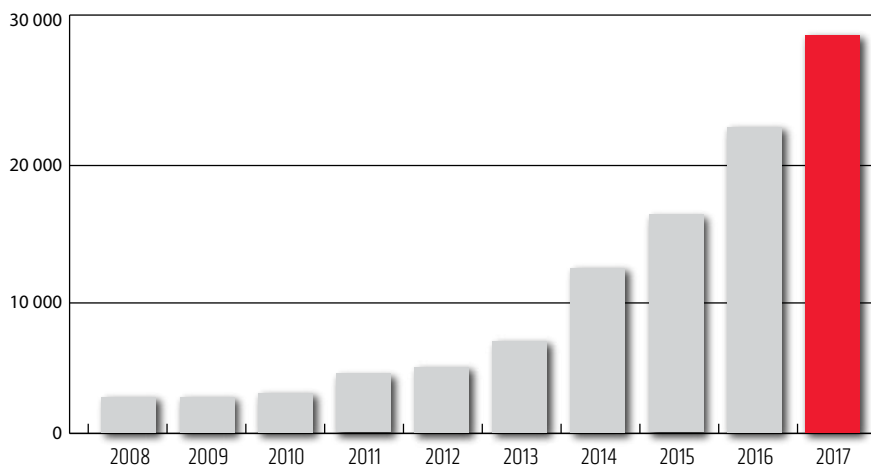
Tymczasem Europejskie Centrum Prewencji i Kontroli Chorób podsumowało już występowanie odry i różyczki w 2017 r. W krajach UE zgłoszono 14,6 tys. zachorowań na odrę, odnotowano 37 zgonów. Najwyższa zapadalność na chorobę była wśród dzieci do pierwszego roku życia i w wieku roku–czterech lat. Najwyższa zapadalność była w Rumunii, Grecji, we Włoszech i w Belgii.

Na różyczkę w Europie chorowało mniej osób niż w poprzednich dwóch latach. Niestety, spośród wszystkich zachorowań większość dotyczyła Polski (71 proc.). Nasz kraj ma też najwyższą zapadalność na różyczkę – ponad 30 przypadków na milion mieszkańców. Większość zachorowań dotyczyła dzieci.

A w kolejce do wielkiego europejskiego powrotu są przecież inne choroby, ograniczone lub wyeliminowane wcześniej dzięki szczepieniom – polio, krztusiec, gruźlica...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Liczba osób uchylających się od obowiązkowych szczepień w Polsce



Źródło danych: Biuletyn roczny „Szczepienia ochronne w Polsce” (wyd. NIZP-PZH, GIS)



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wskaźnik
dziadostwa

Państwo można psuć na wiele różnych sposobów i trudno rozstrzygać, jaką drogą szybciej prowadzi do jego całkowitej destrukcji. Ba, można je jednymi decyzjami psuć, osłabiać, a w tym samym czasie innymi decyzjami naprawiać, wzmacniać. Wtedy jeszcze trudniej ocenić bilans tych działań.

Państwo można psuć, po prostu je powoli likwidując (a choćby zamykając posterunki policji i wszelkiego rodzaju urzędy) albo „tylko” doprowadzając do abdykowania formalnie istniejących instytucji państwa z wykonywania zadań, do których zostały one powołane (np. sprawiając, że nie likwiduje się w porę luk podatkowych, a CBA nie zwalcza korupcji). To była specjalność ekipy Tuska.

Można je też psuć, składając jakość państwa – dla utrzymania się u władzy – na ołtarzu populizmu: a to „oszczędzając” na zakupie bezpiecznych samolotów dla władz państwa (na szczęście to już historia), a to – tak jak ostatnio – na pensjach dla tych ludzi, którzy pracując dla państwa, powinni dbać o jego jakość.

Nie wiem, jak bardzo – precyzyjnie rzecz ujmując: o ile procent – pogorszy się jakość polskiego państwa po zmuszeniu ministrów i wiceministrów do zwrotu premii oraz po wejściu w życie narzuconych przez Jarosława Kaczyńskiego cięć dochodów parlamentarzystów i samorządowców. Czy będzie to równo 20 proc., czyli w sam raz tyle, o ile mają

zostać obcięte ich zarobki, czy też trochę lub dużo więcej albo trochę lub dużo mniej? Obstawiam, że raczej to drugie, to znaczy jakość naszego państwa, państwa już i tak przecież teoretycznego – co z brutalną szczerością po imieniu nazwał w nagranej rozmowie jeden z ministrów rządu Tuska – spadnie bardziej niż o 20 proc., bo selekcja negatywna do polityki, od dawna przybierająca w Polsce zastraszające rozmiary, po tej decyzji z pewnością mocno przyspieszy.

Jednak przecież, zgódźmy się, można psuć państwo jeszcze szybciej niż w tempie 20 proc. W końcu dlaczego płace parlamentarzystów i samorządowców nie miałyby zostać obniżone o 50 proc.? PSL już nosi się z zamiarem „przebicia” Kaczyńskiego i proponowania, by gaże posłów i senatorów zrównać ze średnią krajową. Wszelako dlaczego nie zredukować ich o, dajmy na to, 80 proc.? Czy prawdziwi – prawdziwi, a nie malowani – patrioci, nie mogliby – dla wspólnego dobra – jeszcze bardziej powściągnąć swych finansowych apetytów? Czy nie mogliby jeszcze bardziej oszczędzić na ubraniach, jedzeniu oraz wakacjach? Albo nie zakładać rodzin lub – w najgorszym przypadku – starać się mieć jak najmniej dzieci, które przecież generują wydatki? Ba, najlepsi z najlepszych mogliby pracować dla Polski za darmo. A wtedy nasz wskaźnik dziadostwa – bo trudno to inaczej nazwać – zbliżyłby się do rekordowego poziomu 100 proc. Albo nawet go osiągnął. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Intuicja
matematyczna

Wczasach, gdy coraz więcej miejsc pracy jest automatyzowanych dzięki sztucznej inteligencji i robotyzacji, kluczowe stają się kompetencje z dwóch dziedzin: analiza danych z zastosowaniem matematyki i statystyki oraz kompetencje cyfrowe, czyli umiejętność wykorzystania komputerów do realizacji różnych celów.

Z tym różnie bywa, weźmy jeden z najprostszych przykładów ze statystyki, czyli średnią. Jak należy odpowiedzieć na pytanie, ile nóg przeciętnie mają ludzie. Oczywiście dwie, prawda. Otóż nie. Ponieważ nie ma osób z trzema nogami, to wystarczy, żeby była chociaż jedna osoba z jedną nogą, i już średnia liczba nóg na jednego człowieka na świecie wynosi 1,999999... Zatem średnio człowiek ma mniej niż dwie nogi. Gdy do baru wchodzi miliarder, w tym momencie średnio każdy w barze staje się milionerem. Jednak czy to znaczy, że powinien zamówić butelkę szampana za 5 tys. zł? Jak widać, prosta intuicja różni się z wnioskowaniem statystycznym. Warto o tym pamiętać, gdy przeczytamy, że średnie wynagrodzenie wyniosło X albo średnia długość życia wynosi Y.

Weźmy inny przykład. Jakie jest prawdopodobieństwo, że pacjent ma AIDS, jeżeli test pokazał wynik pozytywny, a dokładność testu wynosi 99 proc., czyli 99 proc. chorych na AIDS otrzymuje wynik pozytywny i 99 proc. zdrowych ma wynik testu negatywny? To prawdopodobieństwo jest bardzo

wysokie, graniczące z pewnością, prawda? Nieprawda. Żeby to policzyć, brakuje informacji, jak często AIDS występuje w danej populacji. Jeżeli choruje tylko 0,1 proc. populacji, czyli 100 osób na 100 tys., to w danej populacji wynik pozytywny testu otrzyma 99 osób (99 proc. ze 100 chorych), ale też 1 proc. z 99,9 tys. zdrowych, czyli 999 osób. Zatem jeżeli pacjent ma wynik pozytywny testu na AIDS, to ma 10-krotnie większą szansę, że jest zdrowy (jest w grupie 999 osób), niż chory (w grupie 99 osób).

Powtórzmy, jeżeli mamy test o dokładności 99 proc., ale choroba jest rzadka (obejmuje 0,1 proc. populacji), to prawdopodobieństwo, że pacjent ma AIDS, wynosi ok. 9 proc., a że jest zdrowy – ok. 90 proc.

Natomiast jeżeli choroba jest bardziej powszechna i obejmuje 1 proc. populacji o liczebności 100 tys., to pozytywny wynik testu o dokładności 99 proc. dotyczy 990 osób z tysiąca chorych, ale także 990 z 99 tys. zdrowych (1 proc. zdrowych ma wynik pozytywny). W takiej sytuacji pozytywny wynik testu to prawdopodobieństwo choroby równe 50 proc., bo obie grupy są jednakowo liczne.

Jeżeli chcemy przygotować młodzież do wyzwań XXI w., to program szkolny powinien wyrabiać intuicję matematyczną i statystyczną. Stolicę krajów lub daty można sprawdzić w Google, ale intuicji matematycznej wygooglować się nie da. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Polskie społeczeństwo szybko się starzeje, a odsetek osób powyżej 60. roku życia nieubłagane rośnie. W 2014 r. ponad 22 proc. Polaków będzie miało 60 i więcej lat, a do 2050 r. już ponad 40 proc. – alarmuje GUS. Dożywanie coraz późniejszej starości byłoby wyłącznie dobrą wiadomością, gdyby nie szło w parze ze spadkiem zastępowalności pokoleń i niepewnością co do wysokości przyszłych ZUS-owskich emerytur. Nic dziwnego, że rządzący coraz bardziej interesują się sytuacją i potrzebami osób w jesieni życia. Jedną z kluczowych inicjatyw jest będący na etapie konsultacji społecznych projekt ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych (wejdzie w życie od 2019 r.). Mają one nie tylko uszczelnić polski system emerytalny, ale przede wszystkim zachęcić Polaków do oszczędzania. Ekspertsi przekonują także, że środki wpłacane do PPK trafiają na rynek kapitałowy, zapewniając wzrost bazy finansowania polskich przedsiębiorstw oraz zauważalny wzrost PKB.

PRYWATNY I DOBROWOLNY

Przedstawiając założenia systemu PPK, premier Mateusz Morawiecki podkreślił, że tak kompleksowego, solidarnościowego i uczciwego rozwiązania, dzięki któremu Polacy niewielkim kosztem wypracują sobie miesięcznie od kilkuset do kilku tysięcy złotych dodatkowego świadczenia do emerytury ZUS-owskiej, nikt im przez ostatnich 27 lat nie zaproponował. Bo PPK to powszechny, prywatny i przede wszystkim dobrowolny system oszczędzania, będący częścią Programu Budowy Kapitału zapowiedzianego w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Program 60+



FOT. FOTOLIA

Długoterminowe oszczędności były dotychczas piętą achillesową polskiej polityki społeczno-gospodarczej. Mają to zmienić Pracownicze Plany Kapitałowe, największy po „500+” rządowy program, który wzmocni bezpieczeństwo finansowe polskich rodzin

– To program w pełni prywatnego, systematycznego oszczędzania i długoterminowego budowania zamożności Polaków. Te środki oczywiście będą uzupełnieniem wypłat emerytalnych, ale ich rola jest wyraźnie inna niż np. obowiązkowych składek na ubezpieczenie społeczne – klaruje Ewa Małyszko, prezes PFR Towarzystwa Funduszy Inwestycyjnych.

Jak więc to działa? System angażuje trzy strony: pracownika, pracodawcę i państwo. Każdy z 11 mln pracujących Polaków, dla których tworzone są PPK, otrzyma 250 zł wpłaty podstawowej oraz 240 zł za każdy

rok oszczędzania. W ciągu 40 lat pracy to prawie 10 tys. zł dopłat. Natomiast osoby, które zrezygnują z PPK, będą proszone o kolejną deklarację co dwa lata. W ten sposób decyzja o zawieszeniu będzie świadoma. Same czynności po stronie pracownika ograniczono do minimum. Do PPK zostanie on zapisany automatycznie, a wyborem funduszu i wpłatami zajmie się pracodawca. Wysokość składek zależy od dwóch elementów – podstawowej składki pracodawcy i podstawowej składki pracownika. Pierwsza to minimalnie 1,5 proc., druga – 2 proc. Obie mogą być powiększone do 4 proc.

I tak przez lata kapitał będzie się składał, aby po 60. roku życia można go było wypłacić jednorazowo lub w ratach i żyć spokojnie na starość. Co jednak jeśli będziemy chcieli wypłacić zgromadzone środki wcześniej? 25 proc. uzbieranej kwoty otrzymamy w szczególnych przypadkach: w sytuacji choroby pracownika lub jego najbliższej rodziny, a także gdy zechce on skorzystać z tych pieniędzy jako z nieoprocentowanej pożyczki na wkład własny przy zakupie mieszkania.

Bardzo istotnym słowem kluczem w tym systemie jest prywatność. Twórcy pomysłu PPK używają go przy wielu okazjach, ponieważ chcieliby przewyciężyć złe skojarzenia Polaków z OFE. Dlatego środki zgromadzone w PPK będą prywatne, zapisane na indywidualnych kontach pracowników, dziedziczone, z możliwością ich wypłaty w każdej chwili. Uczestnik może w każdej chwili bez specjalnych formalności wycofać zgromadzone przez siebie środki oraz 70 proc. składek finansowanych przez podmiot zatrudniający wraz z wypracowanym zyskiem. 30 proc. składki finansowanej przez pracodawcę trafia na indywidualne konto uczestnika w ZUS.

Ważną zasadą przyjętą w projekcie ustawy o PPK jest też „kryterium szczególnego bezpieczeństwa” dla inwestowanych pieniędzy. Oferta funduszy inwestycyjnych będzie musiała być dopasowana do wieku oszczędzających (tzw. fundusze zdefiniowanej daty). Chodzi o to, aby wraz ze zbliżaniem się uczestnika programu do wieku emerytalnego polityka inwestycyjna była coraz bardziej konserwatywna i dostosowana do profilu ryzyka oszczędzającego. To zapewni przyszłemu emerytowi spokojny sen na poduszce finansowej.

Marta Szuma

NASZ TEST: KIA STINGER 2.0

Seksowna, szybka i komfortowa. Kia Stinger to pierwszy model tej koreańskiej marki, do którego na parkingu podchodzą obcy ludzie, aby zrobić sobie zdjęcie z ładnym wozem. Najfajniejsza Kia w dotychczasowej historii tej firmy to jednocześnie auto dla ludzi, którzy zawsze chcieli mieć piękną, usportowioną limuzynę, ale pogodzili się już z tym, że nie będzie ich na to stać.

W KABINIE

W mierzącym 4,831 m długości i 1,869 m szerokości aucie przestrzeni jest sporo zarówno z przodu, jak i z tyłu. W wersji GT-Line wykończenie niewiele odbiega od o wiele droższych aut z segmentu premium: jest dużo aluminium, miękkie tworzywa oraz sporo skóry. Do tego wentylowane lub podgrzewane fotele, niezłe głośniki oraz intuicyjny w obsłudze dotykowy wyświetlacz systemu multimedialnego.

Minusem jest stosunkowo mały bagażnik. Wprawdzie wydaje się duży, ale w rzeczywistości ma on zaledwie 406 l pojemności, istotnie mniej niż np. w Audi lub w Jaguarze.

Podczas tygodniowego wypadu za miasto bez problemu zmieszczą się co prawda walizki pięknej ukochanej, ale z miejscem na kuferek kierowcy może być już kruczo.

JAZDA

Testowany egzemplarz z turbodoładowanym dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 255 KM na rozpędzenie się od zera do pierwszej setki potrzebuje 6 s, a najszybciej może się poruszać z prędkością 240 km/godz. Spora moc pod maską, bardzo niska pozycja za kierownicą i napęd na tylną oś sprawiają, że Stinger może być konkurentem dla niemieckich producentów.

Auto świetnie radzi sobie na ostrych zakrętach. Co prawda na długich prostych przydałoby się jeszcze trochę więcej mocy, ale jak na polskie warunki nawet dwulitrowa jednostka spokojnie wystarczy. Precyzyjny układ kierowcy oraz bardzo dobrze zestrojone sportowe zawie-



szanie sprawiają, że usportowiona „kijanka” trzyma się asfaltu niczym przyklejona. Poziom frajdy z kółkiem zwiększa też to, że w Stingerze można całkowicie wyłączyć układ ESP i cieszyć się z poślizgów umożliwiających „jazdę bokiem”.

Dzięki adaptacyjnemu zawieszeniu do wyboru jest pięć trybów jazdy (m.in. ekonomiczny, inteligentny, komfortowy, sportowy i sportowy plus).

Podczas podróży autostradą auto bez trudu może pełnić funkcję komfortowej limuzyny. Radość z jazdy byłaby jeszcze większa, gdyby Koreańczykom udało się poprawić sposób działania automatycznej skrzyni biegów, która zbyt

często się waha. Średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym wynosi ok. 12 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Kia Stinger zdobyła komplet pięciu gwiazdek (otrzymała 93 proc. punktów za ochronę dorosłego podróżnego i 81 proc. za ochronę dzieci).

Już w bazowej wersji zainstalowano system autonomicznego hamowania – pomaga on uniknąć zarówno kolizji z samochodem poprzedzającym, jak i potrącenia pieszego, który nagle wtargnie na jezdnię. Elektroniczni asystenci ostrzegają też przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu oraz samochodami w martwym polu lusterek. W droższych wersjach zaletą jest też wyraźny wyświetlacz head-up, dzięki któremu można sprawdzić, z jaką prędkością się poruszamy, bez odrywania wzroku od drogi.

CENA

Za najtańszego Stingera z dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 255 KM, napędem na tył i automatyczną skrzynią biegów trzeba zapłacić 149,9 tys. zł. Sporo, ale znacznie taniej niż u konkurencji i ze znacznie dłuższą gwarancją.

Najtańszy model z silnikiem Diesla o pojemności 2,2 l i mocy 200 KM to wydatek co najmniej 179,9 tys. zł. Najszybsza Kia w historii, czyli Stinger z silnikiem 3,3 T-GDI V6 o mocy 370 KM oraz napędem na wszystkie koła, kosztuje 234,9 tys. zł. Za tę cenę otrzymujemy auto, które od 0 do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 5,1 s i które na niemieckich autostradach można rozpędzić do 269 km/godz.

KONKURENCI

Alfa Romeo Giulia, Audi A4, Audi A5, BMW serii 4, Infiniti Q50, Jaguar XE S, Lexus IS, Mercedes CLS ☹

Jacek Przybylski



> **10** LAT
na rynku

> **15**
inwestycji w portfolio,
w tym 4 w realizacji

> **100** MLN PLN
czynszów najmu
wyłaconych nabywcom
pokoi i apartamentów

> **1000**
pracowników

> **1250**
pokoi i apartamentów

*„W biznesie nie ma gwarancji zysku.
Nie wierz w zawyżone stopy zwrotu.
Wybierz sprawdzonego partnera.”*

Zdrojowa Invest & Hotels to twórca
i lider rynku condo hoteli w Polsce.
Condo hotele mają rozbudowane usługi
hotelowe zapewniające wysokie obłożenie,
czym różnią się od mieszkań na wynajem.
Jedyni obsługujemy rynek wtórny, więc
zwiększamy płynność lokali condo.

 **ZDROJOWA®**
INVEST & HOTELS

CONDO HOTELE &
APARTAMENTY WAKACYJNE

Lider rynku
dochodowych pokoi
i apartamentów.
Największa sieć
hotelii w polskich
kurortach.

MARINE® HOTEL & ULTRA MARINE®

DUNE
HOTEL
RESORT

sand hotel ****®

J
JANTAR
HOTEL & SPA

Ustka
BOULEVARD
by RESIDENCE

Baltic Park®
MOJO apartments

CRISTAL RESORT®
SZKLAŃSKA PORĘBA

Radisson BLU

OPERATOR
Zdrojowa Hotels Central Pomerania



Katarzyna Pinkosz

Rak płuca to zabójca numer jeden wśród nowotworów. Trzeba go szybciej diagnozować, lepiej leczyć i skuteczniej zniechęcać ludzi do palenia papierosów – mówili eksperci podczas debaty, która odbyła się w „Do Rzeczy”

Każdego roku ok. 23 tys. osób w Polsce dowiaduje się, że ma raka płuca, a ponad 19 tys. umiera z powodu tego nowotworu. Wyniki leczenia są tak złe, ponieważ w zdecydowanej większości przypadków diagnoza zostaje postawiona już wtedy, gdy rak jest bardzo zaawansowany. – Choroba przebiega późno, stąd późne rozpoznawanie. Tylko 15 proc. osób, u których zdiagnozujemy raka płuca, możemy zaproponować leczenie operacyjne, co daje szansę na wyleczenie – podkreśliła prof. Joanna Chorostowska-Wynimko, kierownik Zakładu Genetyki i Immunologii Klinicznej oraz zastępca ds. nauki dyrektora Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc.

Rak płuca może pojawić się u osoby, która nigdy nie paliła papierosów. Jednak zdecydowana większość chorych to palacze, którzy duszność czy przewlekły kaszel wiążą z nałogiem i odwołują wizytę u lekarza. Często również lekarz rodzinny, widząc takie objawy, zaleca antybiotyki, a gdy ten nie pomaga – kolejny. Dopiero gdy to nie przynosi skutku, kieruje pacjenta do poradni chorób płuc. Oczekiwanie na wizytę, badania diagnostyczne, wyniki, powtórna wizyta u lekarza – zanim zostanie postawiona diagnoza, mijają miesiące. – Chorzy opowiadają, że miesiącami dostawali antybiotyki, chodzili od lekarza do lekarza, a nikt nawet nie wspominał o nowotworze. Bywało, że dopiero kardiolog sugerował, że warto zająć się płucami – mówiła Elżbieta Kozik, prezes stowarzyszenia Polskie Amazonki Ruch Społeczny.

– W Polsce średnie opóźnienie onkologiczne, czyli czas od momentu, kiedy chory idzie do lekarza, do rozpoznania raka płuca, wynosi od jednego miesiąca do trzech miesięcy. To bardzo długo – potwierdził prof. Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum



Walka o życie

Onkologii-Instytutu w Warszawie oraz prezes Polskiej Grupy Raka Płuca. – W niektórych przypadkach ten okres dochodzenia do diagnozy trwa nawet ponad 180 dni. Znacznie zmniejsza to szanse na skuteczne leczenie. Przez to też niektóre badania diagnostyczne, takie jak tomografia komputerowa czy rezonans magnetyczny, muszą być powtarzane. Wyrzucamy pieniądze, które moglibyśmy przeznaczyć na skuteczne leczenie – podkreśliła prof. Chorostowska-Wynimko.

Dużym problemem jest też niedostateczna jakość wykonywanych badań diagnostycznych, zwłaszcza patomorfologicznych oraz molekularnych, które są niezbędne, by wykryć, na jaki podtyp raka płuca choruje pacjent, i zaproponować mu odpowiednie leczenie. – Szpitale często zlecają diagnostykę laboratoriom, które oferują najniższą cenę, a nie tym, które posiadają międzynarodowe certyfikaty i dbają o najwyższą jakość. Błędy ważą na wiarygodności wyniku, a przecież to na jego podstawie jest ordynowane leczenie – zaznaczyła prof. Chorostowska-Wynimko.

Czynniki jakościowe do tej pory nie były brane pod uwagę przy ustalaniu wysokości kontraktu między NFZ i szpitalami. – Dzisiaj nie ma systemu jakościowego w systemie ochrony zdrowia. Najwyższy czas to zmienić. Chcielibyśmy uwzględnić jakość, kontraktując świadczenia. Czekamy na ustawę o jakości w ochronie zdrowia. Mamy nadzieję, że wejdzie ona w życie jeszcze w tym roku – mówił prezes NFZ Andrzej Jacyna.

POTRZEBNA KOORDYNACJA

– Raport NIK pokazał, że wyniki leczenia raka płuca w Polsce są dużo gorsze niż

w Europie Zachodniej i USA. Jednak w Polsce kontrakty na leczenie onkologiczne podpisało prawie 900 ośrodków, z których 90 realizuje leczenie 80 proc. chorych. Czyli w kilkuset ośrodkach jest leczonych po dwóch, trzech chorych rocznie! Jak one mogą dobrze leczyć, skoro nie mają żadnego doświadczenia? – zastanawiał się prof. Kowalski.

W ogłoszonej w styczniu 2018 r. „Strategii walki z rakiem płuca” eksperci podkreślili, że po to, by poprawić wyniki leczenia, należy wprowadzić koordynowaną opiekę nad chorym i współpracę wielu specjalistów: onkologów, torakochirurgów (chirurgów klatki piersiowej), pulmonologów, genetyków, radiologów, radioterapeutów, patomorfologów. – Bardzo bym chciał, żeby opieka koordynowana nad pacjentem z rakiem płuca wystartowała jeszcze w tym roku. Realny termin to 1 października, jednak wymaga to intensywnych prac na poziomie NFZ i Ministerstwa Zdrowia – mówił podczas debaty prezes Jacyna.

Zaznaczył, że zawsze w drugiej połowie roku NFZ uruchamia dodatkowe środki finansowe, w tym roku też tak powinno być, gdyż przewiduje się większe wpływy ze składki zdrowotnej. Dzięki temu jest szansa na wdrożenie kilku programów opieki koordynowanej, w tym dla pacjentów z rakiem płuca. – Z optymizmem patrzę w przyszłość: ustawa o doświadczeniu do 6 proc. i zapowiedź nowelizacji tej ustawy, co jeszcze przyspieszy ten proces, to szansa, że budżet dołoży do opieki zdrowotnej kolejne miliardy złotych. Projekt opieki koordynowanej w przypadku raka płuca jest jednym z wielu, który czeka na możliwość sfinansowania – mówił prezes Jacyna.

Szybkie postawienie diagnozy i określenie podtypu raka płuca jest kluczowe dla efektów leczenia. Rak płuca nie jest bowiem jednorodnym nowotworem. W zależności od typu komórek wyróżnia się raka drobnokomórkowego i niedrobnokomórkowego, a w każdym z nich są liczne podtypy.

CZEKAJĄC NA LEKI

Przez wiele lat w zaawansowanym raku niedrobnokomórkowym oprócz radioterapii dostępną była w zasadzie tylko klasyczna chemioterapia, obarczona wieloma działaniami ubocznymi, a przy tym mało skuteczna (mediana przeżycia chorych to ok. roku). Ostatnie lata przyniosły jednak wysyp innowacyjnych terapii, dzięki którym rak płuca w niektórych przypadkach już dziś z choroby śmiertelnej staje się chorobą przewlekłą. – W ściśle dobranej populacji dzięki leczeniu sekwencyjnemu (podawaniu kolejnych leków jeden po drugim) mediana całkowitego przeżycia może sięgać nawet 79 miesięcy, czyli ponad 7–8 lat. A przecież mówimy o zaawansowanym, rozsianym raku płuca – podkreślił prof. Kowalski.

Niestety, polscy pacjenci do terapii innowacyjnych mieli bardzo ograniczony dostęp. – W zasadzie dysponujemy jedynie nowymi opcjami leczenia dla ok. 15 proc. pacjentów, u których wykryto mutację aktywującą receptor genu EGFR, oraz dla ok. 5 proc. chorych, u których wykryliśmy tzw. rearanżację genu ALK (w Polsce dostępny jest tylko jeden z kilku leków). Brakuje jednak kolejnych opcji, które można podać w przypadku pojawienia się oporności na leczenie – zaznaczył prof. Kowalski.

Przełomem w leczeniu raka płuca mogą stać się leki immunologiczne (pembrolizumab, niwolumab, atezolizumab). Dzięki nim układ immunologiczny, który został „oślepiiony” obecnością nowotworu, ulega odblokowaniu. Zaczyna z powrotem widzieć komórki nowotworowe i efektywnie je niszczyć. Są to więc nie tyle leki stricte przeciwnowotworowe, ile leki, które reaktywują układ odpornościowy.

Dla pacjentów, u których choroba szybko postępuje i którzy nie mogą otrzymać immunoterapii, szansą są leki antyangiogenne. Nie pozwalają one na rozwinięcie się sieci naczyń krwionośnych wokół guza, więc nie może on rosnąć. – To leki, które moglibyśmy stosować u pacjentów, którzy nie odpowiedzieli na zastosowaną chemioterapię lub mieli szybki nawrót

Iga Lipska, dyrektor Departamentu Polityki Lekowej i Farmacji Ministerstwa Zdrowia

W leczeniu raka płuca bardzo ważne jest kompleksowe podejście, obejmujące zarówno profilaktykę, jak i diagnostykę, leczenie operacyjne, chemio- i radioterapię oraz leczenie farmakologiczne. Jeśli chodzi o farmakoterapię, to dużym sukcesem – wręcz przełomem – jest wprowadzenie od maja tego roku do programu lekowego dwóch nowych leków z zakresu immunoterapii, na co bardzo czekały środowiska pacjentów i ekspertów klinicznych. Mam nadzieję, że już wkrótce przełoży się to na poprawę parametrów dotyczących długości życia pacjentów z tym rozpoznaniem, takich jak np. przeżycia pięcioletnie.

W resorcie nadal trwają prace nad kolejnymi wnioskami refundacyjnymi dotyczącymi nowych farmakoterapii stosowanych w leczeniu raka płuca, które znajdują się na różnym etapie procedowania w ministerstwie.

choroby. Podanie im leku z tej grupy (nintedanib) razem z chemioterapią zdecydowanie poprawia wyniki leczenia. Odsetek przeżyć jednorocznych jest cztery razy większy niż w przypadku chorych otrzymujących samą chemioterapię – mówił prof. Kowalski.

Przez wiele lat leczenie raka płuca w Polsce zdecydowanie odstawało od tego, co mogli zastosować pacjenci w innych krajach UE. Majowa lista refundacyjna przyniosła jednak dobrą wiadomość: w nowym programie lekowym uwzględniono dwa leki immunologiczne (pembrolizumab, niwolumab), co bardzo zmieni możliwości leczenia raka płuca w Polsce. Zarówno lekarze, jak i pacjenci cieszą się ze zmian, mając jednocześnie nadzieję, że w kolejnych miesiącach program lekowy jeszcze się rozszerzy. Z nowych terapii na razie zabrakło trzeciego leku immunologicznego (atezolizumab), rozszerzenia możliwości leczenia w przypadku pojawienia się oporności przy rearanżacji genu ALK oraz leku antyangiogenne (nintedanib). Ten ostatni lek to szansa dla pacjentów, których choroba postępuje szybko, a chemioterapia nie działa. Dla grupy chorych z najszybciej postępującą chorobą nie ma dziś innej opcji niż leki antyangiogenne nowej generacji.

– Do tej pory na programy lekowe dla raka płuca przeznaczane było tylko 2,7 proc. wszystkich wydatków na programy lekowe w onkologii. To trzeba zmienić – mówił prof. Kowalski.

– Po wielu latach stagnacji, jeśli chodzi o nakłady na ochronę zdrowia, mamy ścieżkę dochodzenia do 6 proc. PKB. Pojawiają się dodatkowe duże sumy do zagospodarowania, musimy wybierać terapie, których finansowanie ma największy sens. Nie możemy jednak zapominać o tych pacjentach, których leczenie się nie udaje i którzy będą musieli mieć terapię paliatywną, do której w Polsce również jest

słaby dostęp – podkreślał prezes Andrzej Jacyna.

MNIEJ ZACHOROWAŃ

Epidemii raka płuca nie da się powstrzymać, jeśli nie uda się zmniejszyć liczby osób palących papierosów. – Spada liczba palących Polaków, ale rośnie liczba palących kobiet. Ponad 25 proc. 13-latków już miało kontakt z papierosami. Do tej grupy osób powinniśmy jak najszybciej trafić – zaznaczyła prof. Chorostowska-Wynimko.

Pieniądze na dobre programy profilaktyczne powinny pochodzić z akcyzy na papierosy. – 1 proc. akcyzy tytoniowej miał być przeznaczony na zapobieganie palenia. To 80 mln zł rocznie: za te pieniądze można zrobić dobre kampanie antynikotynowe, trafić z przekazem o szkodliwości palenia do każdej szkoły, do każdego dziecka – mówiła Elżbieta Kozik. – Państwo polskie czerpie duże pieniądze z akcyzy, a system ochrony zdrowia ich nie widzi. Najwyższy czas to zmienić – przekonywał prezes Jacyna.

Konieczna jest też skuteczniejsza pomoc osobom, które chcą rzucić palenie. Nie będzie to łatwe, skoro w Polsce funkcjonuje tylko sześć certyfikowanych poradni antynikotynowych, w dodatku niedoinwestowanych. To musi się zmienić, jeśli chcemy wygrać z rakiem płuca.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W debacie „Do Rzeczy” o strategii walki z rakiem płuca w Polsce wzięli udział: prof. Dariusz M. Kowalski (kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii-Instytut w Warszawie), Elżbieta Kozik (prezes Polskich Amazonów Ruchu Społecznego), Andrzej Jacyna (p.o. prezes NFZ), prof. Joanna Chorostowska-Wynimko (zastępca dyrektora Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc ds. nauki) oraz prowadzący: Katarzyna Pinkosz („Do Rzeczy”) i Zbigniew Wojtasiński (PAP).



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Sprawa Obuchowicza

Dawna Rzeczpospolita też miała swoją sprawę smoleńską, czyli sąd sejmowy nad **wojewodą Filipem Obuchowiczem**, którego obwiniano o poddanie Moskalom Smoleńska w 1654 r., po zaledwie trzymiesięcznym oblężeniu. W ten sposób stracono jedną z trzech największych twierdz, obok Kamieńca i Gdańska, otwierając carowi drogę do zawojowania całej Litwy. W 1655 r. przyjęto konstytucję stanowiącą, że wojewoda i inni obrońcy twierdzy będą sądzeni na kolejnym sejmie, jednak Obuchowicz wkrótce zmarł i nie doczekał

miejszch nieprzyjacieli „jako przez wrota otwarte mógł wjechać”. Choć artyleria liczyła 42 działa, to część z nich pozbawiona była łoża, a lufy walały się po ulicach.

Do tego wszystkiego wojewodą smoleńskim odpowiedzialnym za obronę twierdzy mianował król Jan Kazimierz w 1653 r. Filipa Obuchowicza, człowieka starego, o małych doświadczeniach wojennych. Piotr Kroll uważa, że zawiniła polityka. Król skłócony z hetmanem Januszem Radziwiłłem chciał oddać tę ważną funkcję człowiekowi, który miał być całkowicie posłuszny.

W rzeczywistości obrona Smoleńska okazała się zadaniem ponad jego siły. Najpierw doszło do starcia z hetmanem, który w listach do brata Bogusława wyśmiewał wojewodę, twierdząc, że sam Obuchowicz „zdumiewa się” tej nominacji jako człowiek mizernej kondycji – wszak jego ojciec albo dziad był w Mozyrzu zaledwie pogardzanym woźnym. Później nie chciał oddać mu władzy nad twierdzą – wysyłając tam Wilhelma Korffa z wojskiem, nakazał mieszkańcom, aby byli posłuszni tylko jego oficerowi. W dodatku stronniki hetmana Wiaziewicz w ogóle nie chciał wpuścić Obuchowicza do miasta, a potem przekazał klucze do bram, cekhauzu i komendę nad piechotą wojewodzieńskiej Korffowi. Także duża część miejscowej szlachty zobowiązanej do obrony Smoleńska odmawiała uznania władzy nowego wojewody. Dopiero uniwersały królewskie i groźba nadchodzącej wojny z Moskwą, która zawarła z Kozakami Chmielnickiego unię w Perejasławiu, wpłynęły na ostudzenie nastrojów. W kwietniu rozpoczęto naprawę umocnień i artylerii, przygotowywania do obrony – bardzo już spóźnione. W czerwcu, tuż przed oblężeniem, Janusz Radziwiłł przekazał wojewodzie kontrolę nad miastem. Do tego czasu w Smoleńsku znalazło się ok. 3,5 tys.

obrońców, jednak zapasy żywności i prochu nie wystarczyły na długo.

4 lipca pod miastem pojawiły się pierwsze oddziały carskie. Cztery dni później rozpoczęły się oblężenie i ostrzał. Wkrótce wykonano pierwsze podkopy, które – choć nieudane – wzбудziły jednak niepokój obrońców. Mimo wszystko dokonali oni kilku wycieczek – tak jak w nocy z 27 na 28 lipca, zdobywając szanice wroga. Prawdziwy szturm rozpoczął się dopiero 26 sierpnia nad ranem i zakończył się niepowodzeniem, choć mało brakowało do zdobycia miasta. Niestety, obrońcy ponieśli tak wielkie straty, że nie starczało już sił do obsadzenia wszystkich baszt i murów. Tymczasem doszły do nich też wieści o klęsce armii litewskiej pod Szepielewiczami – nadzieja na odsiecz Radziwiłła zawałała się w gruzy.

W beznadziejnej sytuacji Obuchowicz kompletnie sobie nie poradził. Wkrótce szlachta, żołnierze i pozostali obrońcy Smoleńska zawiązali dwa obozy. Część z nich, w tym – co ciekawe – mieszczanie, chciała za wszelką cenę kontynuować obronę. Byli tak zdesperowani, że zaofiarowali się, iż oddadzą żołnierzom wszystkie posiadane towary i żywność, aby tylko nie poddawać miasta carowi. Jednak szlachta chciała rokować, a co gorsza – pojawiło się też stronnictwo moskiewskie, które otwarcie namawiało do przyjęcia carskiej władzy.

W takiej oto sytuacji Filip Obuchowicz poddał Smoleńsk 29 września 1654 r., podejmując decyzję, która zaciążyła na jego godności i honorze. Nie cała wina była jednak po jego stronie. To niezgoda, zawiść i małość doprowadziły do tragedii, która stanowiła tylko preludeum do późniejszych podbojów Rzeczypospolitej przez Moskwę. Smoleńska wszak nigdy już nie odzyskaliśmy. ©



swoistej „komisji smoleńskiej” mającej rozstrzygnąć o jego winie i karze. Pozostałych obwinionych oczyszczono z zarzutów dopiero w 1658 r.

Czy rzeczywiście 17. wojewoda smoleński winny był katastrofie, przez którą granice Litwy stanęły otworem przed wrogiem?

Jak podaje Piotr Kroll, stan umocnień Smoleńska, który zaledwie 43 lata wcześniej został odzyskany po dwuletnim oblężeniu, przedstawiał się tragicznie. Mury były popękane i polatane gliną, „baszta mała czterograniasta bliska upadku”, brakowało pomostów, w dachach widniały dziury, a wały były zrujnowane tak bardzo, że w wielu

QUICHE POSŁA JERZEGO POLACZKA

Mistrzem kulinarnym w naszym domu, cenionym przez całą rodzinę i przyjaciół, jest moja małżonka Małgosia. Ja i nasze dzieci cały czas się od niej uczymy. Lubimy rodzinne gotowanie przeplatane uroczymi rozmowami w miłej atmosferze. Zdarza się nam gotować wspólnie, kiedy najstarsze studiujące już dzieci przyjeżdżają do rodzinnego domu, ale czasem już jadąc w kierunku rodzinnych stron, pytają, co będzie do jedzenia w domu, i zawsze są zadowolone, gdy odpowiadamy, że będzie quiche. Przepis zaczerpnęliśmy od naszych przyjaciół z Francji i zawsze doskonale się sprawdza. My preferujemy quiche'a z nadzieniem na bazie łososia i szpinaku, ale można improwizować i wybierać dodatki wedle upodobania. Danie doskonale sprawdza się podane na ciepło, jak również jako zimna przekąska.

Składniki:

- ciasto francuskie
- filety łososia
- szpinak
- różne rodzaje sera
- śmietana 18-procentowa
- jajka
- zioła prowansalskie
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Ciasto francuskie układamy na dnie oraz po brzegach naczynia żaroodpornego i nakłuwamy widelcem, by nie podnosiło się podczas pieczenia. Kładziemy na nie papier do pieczenia i obciążamy, np. grochem. Wstawiamy do piekarnika i pieczemy ok. 15–20 min w 180 st. C. Zdejmujemy papier

i groch. Na ciasto wykładamy kawałki łososia i szpinak. W osobnym naczyniu mieszamy śmietanę 18-procentową z jajkiem w proporcji jedno jajko na 100 ml śmietany. Ilość zależy od wielkości naczynia żaroodpornego, u nas jest to ok. 300 ml śmietany. Możemy dodać nieco rozgniecionego czosnku, soli i pieprzu. Mieszamy, wlewamy na ciasto francuskie. Następnie dodajemy ulubione rodzaje sera w kawałkach. Idealnie nadaje się camembert, sery pleśniowe czy twaróg. Uzupełniamy kawałkami żółtego sera i przyprawiamy ziołami prowansalskimi. Ponownie pieczemy ok. 20 min w temperaturze 180 st. C. Podawane na ciepło doskonale smakuje z sałatą lodową i lampką dobrego białego wina. ©

*oprac. raw
Jerzy Polaczek
jest
posłem
PiS, był
ministrem
transportu.*



FOT. ANDRZEJ WANCZUK/REPORTER



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Seniorze, pij sok?

Wiedza o tym, że jakość i długość naszego życia w 75 proc. zależą od stylu życia, a tylko w 25 proc. od genów, jest – wydawałoby się – powszechna. Piramida Zdrowego Żywienia została mocno nagłośniona – na dole warzywa i ruch, pieczywo z pełnego przemiału, kasze, owoce, mało soli i cukru itd. Jednak wiadomości te nie docierają do osób, którym naprawdę by się przydały, czyli do polskich seniorów. O zdrowy styl życia dbają raczej młodszy, starsi się tym nie przejmują.

Przekonana się o tym Iwona Ignacak, studentka psychologii SWPS w Katowicach, która jako wolontariuszka w domach opieki społecznej badała nawyki żywieniowe starszych ludzi. Wnioski nie były optymistyczne. Seniorzy żywią się głównie kanapkami z bułek pszennych posmarowanych margaryną, mięsem wieprzowym, piją dużo słodkiej herbaty i kawy. Owoce i warzywa je niewielu. Często w ciągu całego dnia starsi ludzie nie jedzą żadnego ciepłego posiłku.

A przecież Piramidę Zdrowego Żywienia i Aktywności Fizycznej dla osób w starszym wieku opracował Instytut Żywności i Żywienia oraz rozesłał ją do prasy. Jest to zalecenie firmowane przez naukowców, do którego możemy podchodzić z pełnym

zaufaniem. Jednak informacja rozesłana do prasy wydała mi się podejrzanie jednostronna. Oczywiście jest w niej mowa o warzywach, o ruchu, ale coś za dużo o jednym. O sokach – „u podstaw Piramidy znalazły się owoce i warzywa, które częściowo można zastąpić sokami. W przypadku osób starszych można spożyć nawet do dwóch szklanek soku dziennie”.

W dalszej części tego komunikatu jest już mowa wyłącznie o sokach. Nawadniają, są bogate w mikroelementy i witaminy, urozmaicają jadłospis. Senior, jak nic, powinien zaopatrzyć się w karton, mało – skrzynię soków i uczynić je głównym składnikiem menu. Obok kanapek i bułek pszennych z kiełbasą, jak się domyślam.

Na dole tego komunikatu niedużym drukiem Instytut Żywności i Żywienia zawiadamia, że informacja została sponzorowana ze środków Funduszu Promocji Owoców i Warzyw. Pojawia pytanie: Czy mamy do czynienia z treścią naukową czy z reklamą?

Katastrofy nie będzie. W końcu nie sugerują seniorom diety składającej się z żeberek, ale z soku pomidorowego. Tylko co, jeśli następny komunikat prasowy sfinansuje Philip Morris, Żywiec albo Zakłady Mięsne w Morlinach? ©



TEST „DO RZECZY”: BOSE SOUNDSPORT FREE

Za oknem pogoda dla biegaczy. A że pokonywaniu dłuższych dystansów sprzyja muzyka, producenci sprzętu wypuszczają na rynek coraz ciekawsze modele dousznych słuchawek dla aktywnych. Jednym z takich modeli są BOSE SoundSport Free, które wyróżniają się tym, że są zupełnie bezprzewodowe – kabla nie potrzeba nie tylko do połączenia ze smartfonem, lecz także obie słuchawki ze sobą łączą się bez żadnego przewodu.

Słuchawki sprawiają wrażenie masywnych i wystają z uszu o wiele bardziej niż podobne produkty konkurentów. Na szczęście są jednak wystarczająco lekkie (każda waży 15 g) i wygodne (dobrze dostosowują się do ucha), aby móc je nosić nawet podczas wielogodzinnych treningów. Słuchawki nie wypadają z uszu nawet wtedy, gdy na siłowni wykonujemy wiele gwałtownych ruchów. Plusem tego modelu jest również odporność na deszcz czy pot (zgodnie z normą IPX4).

Sam dźwięk jest czysty i jak na niewielkie bezprzewodowe słuchawki zaskakująco dobry. Miłośników żwawych rytmów ucieszy głęboki, potężny bas. Niezła jest też jakość dźwięku podczas rozmów telefonicznych.

Jedno ładowanie wystarcza mniej więcej na pięć godzin. Jeżeli



jednak podczas wiosennego wyjazdu pod namiot nie będziemy mieli dostępu do elektrycznego gniazdka, to z ratunkiem przyjdzie praktyczny pokrowiec, który po wcześniejszym naładowaniu może uzupełnić energię w słuchawkach na kolejne godziny.

A minusy? Przede wszystkim bardzo niewygodne w obsłudze są przyciski służące do ściśnięcia lub podgłoszenia muzyki, a także przycisk wielofunkcyjny pozwalający np. uruchamiać lub wstrzymywać kolejne utwory oraz kończyć połączenia telefoniczne.

Przyciski są trudne do wyczcucia pod palcem. Często reagują też na nacisk ze zbyt dużym opóźnieniem.

Sporadycznie zdarza się również, że nagle bez powodu podczas treningu przerywa się bezprzewodowe połączenie między prawą a lewą słuchawką. To najpoważniejsza wada tego zestawu. Bo choć można biegać z jedną słuchawką, a drugie uchem słuchać, co się dzieje wokół, to w słuchawkach za tak duże pieniądze wada tego typu może być bardzo irytująca. Cena: 849 zł. © © Jacek Przybylski



PIWO UKSZTAŁTOWAŁO...

„... to wspaniałe ciało” itp. koszulki z motywem piwa w latach 90. były tak popularne, że można było je kupić w każdym sklepie i każdym straganie typu szczeka, a nader chętnie obnosili się w nich panowie z charakterystycznym mięśniem

piwnym dobrze ukształtowanym licznymi toastami. Moda na solidny brzuch, przez niektórych uważana za oznakę dojrzałości, niestety przeminęła z wiatrem maratonów. Szczęśliwie nie przeminęła moda na piwo. Zwłaszcza to warzone samodzielnie w domu. HOPi to sposób na zrobienie dobrego, zimnego piwa w warunkach jak najbardziej amatorskich, i to bez wiedzy na temat browarnictwa. W zasadzie urządzenie działa podobnie jak kawowe ekspresy kapsułkowe, tyle że do urządzenia należy włożyć kupiony wcześniej zaczyn, wybrać odpowiedni proces fermentacji, odczekać odpowiednią chwilę, a następnie odkręcić kurek.

Zestaw zawiera trzylitrową beczkę na piwo, suchy chmiel, drożdże, sanityzator i odczynniki smakowe, zaś HOPi w zależności od wybranego programu warzenia piwa dostosowuje automatycznie i kontroluje przez cały proces: temperaturę, ciśnienie, stopień zmieszania. Jest też dodatkowy tryb, w którym można eksperymentować, próbując nawarzyć własnego piwa, z alternatywnymi

dodatkami i smakami. HOPi pozwala także na przygotowanie lubianej przez wielu kombuchy i podobnych sfermentowanych napojów. Minus może zwarzyć nieco cena – gadżet w najprostszej wersji kosztuje ok. tysiąca złotych. Zamawiać go można na Kickstarterze, dostawa w czerwcu.

ABY ZDROWE ZĘBY MIEĆ

Od piwa nie tylko głowa się kiwa, ale i zęby ponoć żółkną. Od kawy i herbaty reszta też. Zęby je skutecznie wyczyścić, eksterminować bakterie i oślnić znajomym śnieżnobiałym uśmiechem, nie potrzeba już kosztownych „wybielających” wizyt u dentysty. Wystarczy ponoć V-WHITE Teeth Whitening & 360 Automatic Toothbrush i 10-sekundowa nązebna terapia. Urządzenie przypomina kształtem ochraniacz na zęby zakładany przez sportowców uzupełniony pojemnikiem na specjalną wybielającą pastę i diody stwarzające czyszczący efekt tzw. zimnego światła. Wystarczy włożyć wkładkę do ust, nacisnąć przycisk i odczekać 10 sekund! I zmieści się w kieszeni. Na portalu Indiegogo. kosztuje ok. 340 zł. © ©

Wojciech Wybranowski



Poland Daily

BUSINESS

Financial, market & economic news

EVERYDAY on Telewizja Republika

10:10 PM, 12:10 AM, 2:10 AM, 4:10 AM
(Warsaw time)

MARCIN MAKOWSKI: Zapytam wprost, bez zbędnych wstępów. Czy twoim zdaniem w Ameryce mamy obecnie do czynienia z rosnącym w siłę antypolonizmem?

MATTHEW TYRMAND: Myślę, że nie będę za tę opinię specjalnie lubiany na prawicy, ale nie obserwuję żadnego renesansu antypolonizmu. Ani w USA, ani na świecie. Jeśli takie zjawisko w ogóle istnieje, to jedynie marginalnie. Nie zauważyłem również w Ameryce rasowej ani etnicznej nienawiści wymierzonej w Polskę jako naród. Większość osób, która cokolwiek wie o naszym kraju, szanuje jego historię, etykę pracy, opowiada o zażytkach. Problem istnieje gdzie indziej i dotyczy ataków, którym przewodzi zideologizowana, liberalna lewica. Gdy Polską rządziło SLD albo eurocentryczna Platforma, nie było przecież problemu z „łamaniem demokracji”, nie było agresywnej narracji czy wytykania palcem. Wystarczyło jednak, aby władzę przejął populistyczno-narodowy PiS, i właśnie w tym momencie – jakby ktoś przełączył w głowach tych ludzi pstryczek o nazwie „zagrożenie faszyzmem” – zaczęły się ataki. Jeśli sytuacja wyborcza się zmienia, a PiS przegra wybory, wszystko wróci na stare tory. Dlatego istota problemu, z którym zmagają się obecny rząd, nie leży w etniczności, ale w polityce.

To aż tak proste?

Oczywiście zmiana sposobu postrzegania jakiegoś kraju nie odbywa się w tydzień, towarzyszy temu wiele innych czynników, ale cały problem dobrze obrazuje sytuacja z przenosinami Pomnika Katyńskiego w Jersey City. Jestem niemal pewny, że burmistrz Steven Fulop nie pozwoliłby sobie na obelgi w kierunku marszałka Senatu oraz tak agresywne zachowanie wobec Polonii, gdyby nie słuchał od miesięcy o Polsce „jako kraju, który chce napisać historię na nowo i tuszuje Holokaust”. A taki stan rzeczy to pośrednio przyczyna nieudanej i niepotrzebnej nowelizacji ustawy o IPN, która zakładała penalizowanie stwierdzeń niezgodnych z faktami historycznymi. Dzięki tej ustawie lewica dostała pałkę do okładania po głowie rządu Zjednoczonej Prawicy, a Fulop po prostu z niej skorzystał.

Kim jest burmistrz Jersey City, który od tygodni nie schodzi z czołówek polskich mediów?

Steven Fulop to liberalny demokrat, którego pierwszym stanowiskiem politycznym w karierze jest właśnie



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Fulop przegra, atakując Polskę

pełnienie funkcji burmistrza Jersey City – drugiego co do wielkości miasta w stanie New Jersey. Przez lata przeszło ono swoistą rewolucję, od „sypialni Nowego Jorku” dla imigrantów i klasy pracującej do zagłębia biznesu bankowego. Stało się tak po atakach z 11 września 2001 r., gdy ze względu na odbudowę dolnego Manhattanu wiele firm z Wall Street przeniosło swoje siedziby na drugi brzeg rzeki Hudson.

Wiem, że znacie się osobiście...

Fulopa poznałem na początku lat dwutysięcznych. Był sprzedawcą dla firmy SC Bernstein, z którą pracowałem na Wall Street. Dystrybuował algorytmiczne programy do obrotu akcjami... mało ambitne zajęcie. Nie chodzi o same programy, bo analityka ilościowa na giełdzie to skomplikowana sprawa, ale on nie rozumiał matematyki, która za nią stoi. Po prostu starał się wcisnąć klientom instytucjonalnym tyle oprogra-

twierdził – z pobudek patriotycznych. Jestem niemal pewny, że było inaczej, a z Goldmana go po prostu wylali za lenistwo i brak etyki pracy, natomiast krótki pobyt w wojsku świetnie wygląda w CV kogoś, kto ma apetyt na karierę burmistrza albo gubernatora. Jednego nie można mu odmówić – od zawsze popierał Hillary Clinton i był zdeterminowany, żeby lokalnie pójść w jej ślady. Gdy kilka lat później okazało się, że wygrał wybory w zagłębiu demokratów – Jersey City – i zasiadł w ratuszu, nie byłem specjalnie zaskoczony.

Dlaczego, choć pomnik stoi w tym samym miejscu od 1991 r., nagle zapragnął go przenieść?

Oficjalnie chodzi o budowę parku w rejonie miasta zwanym Exchange Place, z którego rozciąga się widok na dolny Manhattan, a swoje siedziby mają tu m.in. JP Morgan, Bank of America czy Goldman Sachs. Nie muszę chyba tłumaczyć, jak bardzo atrakcyjny jest

Dla ideowych lewicowców, takich jak burmistrz Jersey City, atak na „złą, nacjonalistyczną Polskę” to świetny pretekst do lansu

mowania i licencji, ile się da. Pamiętam, jak w desperacji oferował potencjalnym kupcom wyjścia na kolacje, obiecywał nie wiadomo jakie wyniki. Tymczasem podobnych narzędzi na rynku, z analogicznymi modelami, było wiele. Zdarzało się, że rozmawialiśmy, ale temat schodził dosyć szybko na politykę, gdzie właściwie nic nas nie łączyło. Fulop był w swoich stanowiskach niekonsekwentny. Od początku jednak dawał do zrozumienia, że polityka to jego długoterminowy cel, kiedy dorobi się już pieniędzy na giełdzie. W międzyczasie pracował również dla Goldman Sachs, a po 11 września wstąpił do armii – jak

ten kawałek gruntu. Według pierwotnych zapowiedzi Fulopa pomnik miał być przeniesiony tylko na czas budowy. Kiedy jednak zacząłem grzebać przy sprawie, korzystając z wiedzy moich informatorów w Jersey City oraz ludzi z rynku deweloperskiego, okazało się, że ma ona drugie dno i na imię jej: Michael DeMarco. To wpływowy biznesmen prowadzący firmę Mack Cali, zajmującą się rynkiem nieruchomości w New Jersey, który prawdopodobnie w porozumieniu ze Stevenem Fulopem przemyślał całą akcję z pomnikiem jako zastonę dymną przed wykorzystaniem tego rejonu do budowy nowych biurowców. Dlaczego

tak sądzić? Są ku temu dwie przesłanki. W grudniu 2016 r. Mack Cali aktywnie lobbowało za wprowadzeniem prawa, które umożliwiło „przeorganizowanie i ulepszenie” do tej pory niezagospodarowanych rejonów Jersey City, na których miały wyrosnąć nieruchomości przeznaczone dla biznesu. Akurat w jednym z takich miejsc, na samym środku, stoi obecnie Pomnik Katyński. Druga sprawa – całkowicie przypadkowo Mack Cali podczas kampanii wyborczej Fulopa było jego jednym z największych darczyńców – wpłaciło 250 tys. dol.

Brzmi jak spisak z regionalnej wersji „House of Cards”. Skoro chodziło o szemrane biznesy, po co był Fuloopowi ten cały rozgłos?

Z głupoty. Dla ideowych lewicowców, takich jak burmistrz Jersey City i jego współnicy, atak na „złą, nacjonalistyczną Polskę” to świetny pretekst, żeby polanosować się na modnym temacie. W takim duchu piszą „The New York Times”, „The Washington Post”, podobne relacje ogląda się w BBC, dlatego zapewne Fulop pomyślał, że w żaden sposób mu to nie zaszkodzi. Szczególnie że Polonia w Jersey City – niedużo liczna – to już historia. Obecnie miasto zamieszkiwane jest przez Latynosów oraz mniejszości ze wschodniej Azji, które i tak wypierane są przez białe kołnierzyki, przeprowadzające się w pobliże Manhattanu, gdzie są miejsca pracy w sektorze bankowym. Dlatego Fulop, uderzając w marszałka Karczewskiego, zlekceważył wpływ Polonii na obrót spraw. Wydaje mi się, że gdyby rzecz dotyczyła pomnika innej grupy etnicznej, ważniejszej dla niego pod względem głosów albo wrażliwszej pod względem poprawności politycznej, do całej sprawy w ogóle by nie doszło.

Czyli sprawa odbije się dla niego czkawką pod względem wizerunku, ale nie zagrozi stanowisku?

Myślę, że to go jednak będzie kosztować pod względem przyszłej kariery. Bycie burmistrzem to nie jest jego punkt docelowy. Już raz, w ostatnim cyklu wyborczym, próbował startować w prawyborach na gubernatora stanu New Jersey, ale był na tyle niepopularny i antypatyczny, że odpadł z wyścigu, zanim ten się zaczął. Co ciekawe, po akcji z pomnikiem zgłaszają się do mnie politycy demokratyczni z New Jersey, którzy opowiadają mi historię o jego kontaktach z deweloperami. Trzeba też pamiętać, że w przeciwień-

stwie do Jersey City, gdzie nie ma zbyt wiele Polonii, w samym stanie sytuacja wygląda inaczej. Gdyby Fulop próbował raz jeszcze swoich sił jako kandydat na gubernatora, polska społeczność nie zapomni, czym się dla niej „zasłużył”. Mówiąc skrótowo – facet przeszarżował. Sądził, że walka z faszystowskim rządem PiS umocni jego wizerunek w partii, ale na razie pokazuje raczej jego nieudolność.

Na razie broni się, pokazując „antysemicki hejt”, który spływa na niego w mediach społecznościowych.

Czy to nie ironiczne? Polityk, który bez żadnych podstaw nazwał trzecią osobą w Polsce „antysemitą, białym supremacjonistą i negacjonistą Holokaustu”, nagle żali się na obrażających go internautów. Na miejscu Stanisława Karczewskiego nie zostawiłbym jego oszczerstw bez odpowiedzi. O ile wolność słowa jest dla mnie wartością nadrzędną i sprzeciwiam się jej ograniczaniu ustawowo (stąd moja negatywna opinia o ustawie o IPN), o tyle w sprawach godzenia w czyjś prywatny wizerunek za pomocą kłamstw nie miałbym litości. Tak rażący przypadek zniesławienia powinien być w sądzie łatwy do wygrania i również ten wymiar kary powinien spotkać Stevena Fulopa, któremu do tej pory wydawało się, że może mówić cokolwiek bez konsekwencji, o ile zakłada płaszczki postępowości.

Jakie miałeś zdanie na temat pomnika, jeszcze zanim doszło do całej debaty? Mieszkasz na Manhattanie, zapewne nie raz go widziałeś. Przeciwnicy twierdzą, że jest zbyt dosłowny, a „matki z dziećmi nie wiedzą, jak go wytłumaczyć”.

Myślę, że jest bardzo ważnym świadectwem brutalności zbrodni katyńskiej. Tego typu pomniki są po to, aby uczyć historii, a nie po to, aby ludzie nie musieli zadawać kłopotliwych pytań. Amerykanie również stracili wielu żołnierzy podczas II wojny światowej, dlatego powinni rozumieć dramat polskich oficerów podczas tego samego konfliktu. Oczywiście żaden postument nie ma danego od Boga prawa, żeby na zawsze pozostać w jakimś miejscu. Jeśli miałby zostać przeniesiony, to tylko po decyzji rady miasta oraz debacie z lokalną społecznością, a nie dlatego, że burmistrz samowolnie, w imię interesów dewelopera podjął taką decyzję. Niestety tak działa Steven Fulop, który niedawno powiedział w lokalnym programie radiowym, że gdyby każdą decyzję musiał konsultować z ludźmi, niczego by w mieście nie zrobił. To nie jest prawdziwy duch demokracji. Dobrze, że w sprawę aktywnie włączyły się Polonia, ambasador Wilczek, konsul Golubiewski i mecenas Platta. Środowiska żydowskie w Polsce i USA razem stanęły po stronie pomnika. Tak się wygrywa podobne sprawy – presją prawną, społeczną i polityczną oraz zainteresowaniem mediów. To cenna lekcja dla Polski na przyszłość.

© ® Wszelkie prawa zastrzeżone

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





OKIEM BLOGERKI

Rodzice gorszego sortu

KATARYNA

BARTOSZ MARCZUK: *Jesteśmy głęboko przeświadczeni, że rodzice są najlepszymi przyjaciółmi swoich dzieci i wiedzą, na co przeznaczać te pieniądze. Niespecjalnie widzimy sens przekazywania tych kwot w formie paragonowej czy bonowej. Każda komplikacja systemu jest kosztowna.*

JACEK ŻALEK: *Problem z logicznym myśleniem. Jest oczywiste, że 500 zł ma służyć tylko i wyłącznie tym dzieciom. Kiedy państwo chce zrealizować skutecznie, musi mieć gwarancje, że pieniądze nie będą przeznaczone na inne cele.*

Dary w naturze kosztują państwo tyle, ile państwo zadeklaruje, że je kosztowały

To niestety nie jest wewnętrzkoalicyjny dwugłos na ten sam temat. Wypowiedź Marczuka pochodzi sprzed dwóch lat, kiedy trzeba było uzasadnić wypłacanie „500+” w gotówce, wypowiedź Żalka jest sprzed kilku dni, kiedy trzeba było wytłumaczyć, dlaczego rodzicom dzieci niepełnosprawnych absolutnie nie można zaufać z gotówką, bo nie wiadomo, na co ją przepuszczą.

Można sobie oczywiście wszystko racjonalizować, tłumaczyć, że te świadczenia są nieporównywalne, ale wszystko się i tak sprowadza do dwóch oczywistości. Pierwsza jest taka, że rodzice dzieci niepełnosprawnych nie stanowią wyborczej masy krytycznej, więc nie trzeba ich obdarowywać. Druga zaś taka, że dary w naturze kosztują państwo tyle, ile państwo zadeklaruje, że je kosztowały. Jeśli rząd powie, że każdej rodzinie zostanie w portfelu 520 zł, to jest to taka sama prawda, jakby powiedział, że zostanie jej 5 tys. zł. Nie do zweryfikowania, a więc nie do zakwestionowania. Gdyby intencją rządu było faktycznie wsparcie rodzin kwotą 500 zł, musiałby zastosować tę samą logikę co przy „500+” – rodzice wiedzą najlepiej, a każda komplikacja systemu jest kosztowna.

Moja przyjaciółka ma niepełnosprawnego syna, ale z rządowego wsparcia nie skorzysta, bo syn pieluchomajtek nie potrzebuje, a wszystkie terapie, z jakich korzysta, są świadczone przez wyspecjalizowane organizacje pozarządowe – nawet w dużym mieście publiczna służba zdrowia nie ma dla niego realnej oferty, a różne zajęcia rehabilitacyjne są tak zorganizowane, że jako matka dziecka z indywidu-

alnym nauczaniem właściwie nie ma możliwości podjęcia normalnej pracy. Gdyby rząd uwierzył, że jako matka naprawdę nie chce okraść swojego dziecka, i dał jej te 500 zł w gotówce, miałaby na przejazd do innego miasta, na opłacenie zindywidualizowanej terapii, na bardzo potrzebną jej synowi rehabilitację społeczną. Zamiast realnego wsparcia w czekającej ją do końca życia walce o normalność dla swojego syna, słyszy dzisiaj od posła Żalka, że takie jak ona są często zwyrodniałe i – kto wie – mogą chcieć nawet zamordować swoje dzieci. Takiej pogardy nie doświadczyli nawet beneficjenci „500+”, bo im zarzucano „tylko”, że pieniądze na dzieci przepiją. Rodzicom dzieci niepełnosprawnych – że mogą je wręcz skrzywdzić.

Jedyny sensowny scenariusz dla rodziców dzieci niepełnosprawnych w obecnym systemie to zrzeczenie się praw rodzicielskich do swoich dzieci i zgłoszenie chęci bycia dla nich rodziną zastępczą. Dostaliby od państwa kilkakrotnie więcej, niż się obecnie domagają, bo państwo czuje się w obowiązku utrzymywać niepełnosprawne dzieci i płacić ich opiekunom, ale tylko wtedy, gdy są to obcy. I to jest dopiero chore. ©©

PODSŁUCHANE

Już milknę

No i jak tam, panie Adamie? Powołał pan już to stowarzyszenie?

Tak jest, panie prezesie! Ku chwale wielkiej Polski! Wbrew obstrukcji strachliwych kunktatorów, którzy...

Już dobrze, dobrze, proszę tak nie krzyczeć.

Przepraszam. Jak ja się tak zapalę, tak patriotycznie, to się trochę zapominam.

No już dobrze. Ja też byłem kiedyś młody. To ile pan tam może mieć ludzi w tym swoim stowarzyszeniu?

Dla dobra Polski, przeciw mal-kontentom, zgromadzimy setki tysięcy, miliony młodych szabel! Pójdą za nami wszyscy odważni, prawi i sprawiedliwi Polacy, dla których dobro naszej ojczyzny jest...

Prosiłem już, niech pan tak nie krzyczy. Tutaj nie ma nikogo prócz mnie, a ja siedzę metr od pana.

Tak, panie prezesie, bardzo przepraszam.

Ilu?

Tak realnie? Na początek 50 osób, ale będzie więcej, gdy tylko pokażemy, jak pięknie można realizować... Już milknę.

Mnie interesuje jedno: jak będzie demonstracja, żeby wsadzić Tuska, to ilu mi pan ludzi przywiezie?

A kiedy by to było?

Powiedzmy – za trzy miesiące.

To może być 200 osób.

Za 200 osób to ja panu mogę dać miejsce na liście do rady miasta

Pcimia. Chociaż nie, Pcm to

za dużo. Stamtąd jest prezes

Orlenu. ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Gazety donoszą, że Kaczyński rządzi ze szpitala. W chorym państwie to rzeczywiście odpowiedni model zarządzania”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



P i S k !

żanego roku, błędy tej formacji, lecz również (może nawet bardziej) sposób reagowania na nie partii Jarosława Kaczyńskiego. Przykłady takie, jak wielotygodniowa zawierucha po niefortunnej nowelizacji ustawy IPN-owskiej, już tu omawiałem, wżemy tedy rzecz najświeższą: wielotygodniową okupację Sejmu przez niepełnosprawnych i ich opiekunów. Nie doszłoby do niej, gdyby dzisiejsza władza nie łamała słowa. Cytuję (nie ja pierwszy) ważne wystąpienie w kwestii protestu kalek na wózkach:

„ — Przedwczoraj rozmawiałem z paniami i panami, którzy tutaj [wewnątrz Sejmu] protestują w sprawie wsparcia państwa dla opiekunów dzieci niepełnosprawnych. Wczoraj przedstawiciele naszej partii przedstawili i przekazali im projekt ustawy, która by rozwiązywała te problemy. Chciałbym bardzo mocno podkreślić, że będziemy wykorzystywać wszystkie możliwości, by zmusić rząd i samego premiera do rozwiązania tej palącej i niezwykle ważnej z punktu widzenia interesów dzieci niepełnosprawnych, ale też niezwykle ważnej moralnie kwestii. To jest taka sprawa, która jest swego rodzaju wskaźnikiem, wykładnikiem działania państwa tam, gdzie kwestie moralne, kwestie zobowiązań wobec tych, którzy zostali po-



Otto von Bismarck:

„Dajcie Polakom rządzić,
a sami się wykończą”



traktowani przez los szczególnie okrutnie — pokazują jakie to państwo jest, jaka ta władza jest. Jeżeli ta władza nie potrafi wyka-zać empatii, nie potrafi okazać współczucia — mówię tutaj o współczuciu czynnym, takim, które prowadzi do konkretnej poprawy losu — to taka władza ukazuje po prostu swoją twarz!”

Kto cisnął te mocne frazy rządzącym w twarz, neglizuując nieuczulą władzę? Schetyna, Lubnauer, Zandberg czy Czarzasty? Nie — to był szef innej partii, zwanej Prawo i Sprawiedliwość, Jarosław K. Piętnował tymi słowami Platformę w marcu roku 2014, stojąc przed pękiem kamer i mikrofonów wewnątrz Sejmu (gdzie trwał protest analogiczny do okupacji cztery lata później), a ja sfałszowałem cytaty wycinając imię oraz nazwisko ówczesnego premiera — w trzecim z zacytowanych zdań odpowiedni fragment brzmiał następująco: „by zmusić rząd Donalda Tuska”. Później (2015) również Andrzej Duda kandydujący na stanowisko prezydenta wytykał swemu przeciwnikowi, urzędującemu wtedy prezydentowi RP, Bronisławowi Komorowskiemu, i całej formacji Komorowskiego (PO), obojętność wobec postulatów dzieci niepełnosprawnych, grzmiąc: „ — Proszę państwa, to wstyd!”. Trudno się dziwić, że w kwiet-

niu 2018 jemu tudzież „Prezesowi” okupująca Sejm grupa zarzuciła, iż są „ludźmi bez honoru”. Dwadzieścia kilka miesięcy rządzenia nie wystarczyło im, by dotrzymać słowa i wcielić „ustawę, która by rozwiązywała te problemy”. A potem się dziwią, że słupki im spadają, falują, wibrują konwulsyjnie...

Sondażowy spadek PiS-u (marzec-kwiecień bieżącego roku — kilkanaście procent, licząc od pułapu rekordowego wcześniej) został spowodowany całą gamą przyczyn. Generalna diagnoza lansowana przez media mówi o odejściu najbardziej lewicowej części pisowskiego elektoratu do SLD (stad rosnące słupki SLD), jednak również części centrowej nie wszystko się podoba („talibanu” realnie prawicowego nic nie ruszy, to elektorat twardy niby granit) — od przegięć w tzw. „religii smołńskiej”, lansowanej swego czasu „na ura”, zbyt brawurowo, do „przesady w państwowym, pomnikowym kulcie śp. Lecha Kaczyńskiego” (Marcin Hałas, 2018). Ewidentną słabością partii „Kaczora” (identyczną co u rządzących niegdyś PO, PSL, SLD, AWS czy UW) jest brak biegłych polityków (współpracowników lidera, funkcjonariuszy centralnych oraz prowincjonalnych, itd.). Kłania się przedwojenne sarkniecie popularnego pisarza Tadeusza Dołęgi-Mostowicza: „Mówią, że między Piłsudskim a niektórymi piłsudczykami jest taka różnica jak między grandem a grandziarzami” (1927). A do tego ci pretorianie „naczelnika” PiS-u żrą się wzajemnie — „walka buldogów pod dywanem” (elegancko zwana „frakcyjnością”) eichaczem rozwarstwia partię Kaczyńskiego, choć póki on sam, zwornik całej budowli, ma siłę i twardą pięść, są to wody podskórne, niewywekane na estradę, więc jej nie zalewają, tylko podtapiają brzegowo (bo „cicha woda brzegi rwie”). Przyjrzyjmy się temu:

Rywalizacja wewnątrzpartyjnych klik vel koterii to rytualny proces ścierania się głównych sił każdej formacji rządzącej; dawniej mocowały się tak kamaryle dworskie monarszych faworytów, dzisiaj prowadzą tę gierki prymusi klanów partyjnych. Premier Morawiecki ma tu szczególnie ciężko, nie jest bowiem kochany przez „zakon” weteranów PiS-u (traktują go jako „obcy element”), a do tego wadzi się z trzema innymi frakcjami: kręgiem Antoniego Macierewicza (zdołał wymóc dymisję ministerialną despotycznego szefa MON), grupą Mariusza Kamińskiego (ministra koordynatora służb specjalnych) i paczką Zbigniewa Ziobry (ministra sprawiedliwości, którego prokuratorzy badają związane z bankiem BZ WBK oskarżenia pod adresem ojca premiera). Szepcze się o cichym pakcie premiera z prezydentem, ponieważ Duda także nie lubi Ziobry i Macierewicza („wrogi mojego wroga jest moim sprzymierzeńcem”). Istotne pytanie: czy wszechmocnemu „naczelnikowi” te tarcia dogadają, bo ułatwiają „dzielenie i rządzenie” („divide et impera”), czy raczej psują humor, bo osłabiają (dekonsolidują) rządzący „team”?... ©

Waldemar Łysiak

Szczodre rozdawanie pieniędzy ma zawsze ten sam finał: ustawia się kolejka chętnych do inkasowania premii, podwyżek, zasiłków. Jeżeli stać państwo na 500+, „piórnikowe” i podobne bonusy — czemu my nie mielibyśmy wyciągnąć ręki, wszyscy, od opiekunów do pilotów? Będzie tych „roszczeniowców” coraz więcej, to dopiero początek: gdy tylko skończą się wakacje, ruszy lawina bojowników o różne „plusy”. PiS wpadło bowiem w pułapkę swojej strategii i swego „pijaru”. Za pomocą rozdawnictwa kupiło sobie wierny (na razie) elektorat, lecz przez codzienny TVP-owski krzykacz o fantastycznych wynikach gospodarczych/finansowych, o puchnącym budżecie, o rekordowo skutecznej ekonomice, o „krzywych wzroście”, „wpływach”, „zyskach” i „dywidendach” — upewniło masę, że w państwowej kasie się przelewa, więc tylko frajer nie chciałby czerpać z tego Sezamu. Dłonie Nemezis (antycznej greckiej bogini karzącej za sukces) powoli dławią szyję „Prezesa”...

Dziedzina polityki stosowanej ma pewne reguły nie mniej twarde aniżeli prawa fizyki (np. prawo grawitacji). Wśród nich jest reguła „wahadła wyborczego”, bazująca na „zmęczeniu elektoratu”, zaś sekunduje jej „zmęczenie materiału” tyjące władzy (korozja siły rządzących). Prędzej czy później bowiem każda partia zaczyna zużywać się nieakceptowalnie dla społeczeństwa, nimb jej frontmenów błędnie, jej szachrajstwa biorą górę nad zasługami/osiągnięciami, monolitowi grozi próchno, szerzy się frakcyjność, marnieją słupki sondażowe — Grobformat ist kaputt, la gloria è finita. Do tracących poparcie dociera to zazwyczaj z opóźnieniem, i to sporym, gdyż „pycha kroczy przed upadkiem”, zaślepiając. Kiedy w drugiej połowie 2017 roku sondażowe słupki PiS-u szybowały nawet powyżej 50%, rządzącym się wydawało, że wolno im wszystko. Ale „skrzecząca rzeczywistość” szybko dała im po łapkach, a wkrótce po zadkach — skopała im tyłki bez litości.

Twórcy i motorniczowie „dobrej zmiany” bardzo solidnie (pracowicie) — niby przysłowiowy „Grzegorz Dymdała” — zasłużyli sobie na to, że po dwuletniej hossie puka im do drzwi pani bessa. Co prawda jeszcze niewyrośnięta (małolata), lecz gdy będzie się tuczyć kolejnymi błędami PiS-u, równie szkodliwymi jak cała seria wcześniejszych — szybko urośnie do rozmiarów groźnej megierdy, baby-Horpyiny, i to będzie dla Nowogrodzkiej „zła zmiana”. Dużym problemem PiS-u są zresztą nie tylko wspomniane, mnożące się w pierwszej połowie bie-

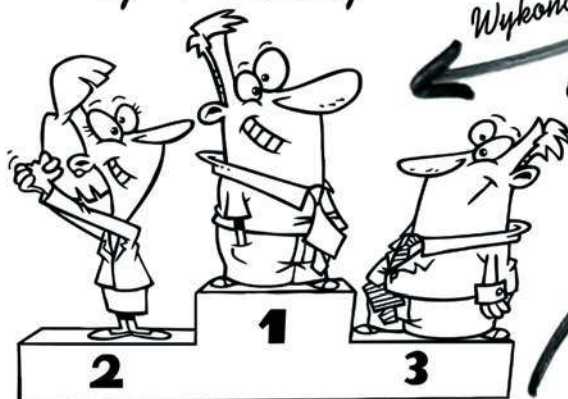
Wyzwanie



Projekt



Ty + 2 osoby



Wykonawcy



Deadline

10/06/2018

1,5 km

40 km

10 km



www.5150warsaw.pl/sztafety

Wygras
Być w pierwszej
trójce

Ukończyć triathlon!

To może być
najlepszy projekt
w Waszym teamie!

PARTNER STRATEGICZNY



SPONSOR TYTULARNY



SPONSOR OFICJALNY



SPONSORZY



citi handlowy



PATRONI MEDIALNI



Multikino

HOST HOTEL

THE WESTIN
WARSAW